NIEŚMIERTELNE ŚWIECZNIKI NARODU POLSKIEGO

NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ, WARSZAWA, WILNO, LUBLIN.

Anthony F. Lewandowski.

Anthony F. Lewandowski.

Date Due

Demco 293-5

NIEŚMIERTELNE ŚWIECZNIKI NARODU POLSKIEGO

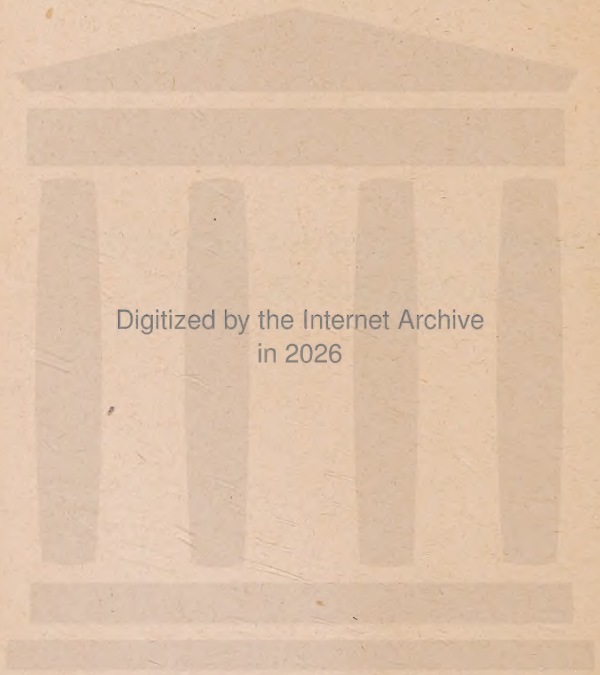
Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/niesmiertelneswi0000adam_c5d9

Grobowiec św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej.

(Nieśm. św.)

ST. STANISLAUS PAROCHIAL SCHOOL LIBRARY
CHELSEA, MASS.

ADAM KOMPF

NIEŚMIERTELNE ŚWIECZNIKI NARODU POLSKIEGO

30 OPOWIADAŃ Z ŻYCIA POLSKICH ŚWIĘTYCH
I BŁOGOSŁAWIONYCH, Z 9 ILUSTRACJAMI

WYDANIE TRZECIE
(tysiąc 7—9)

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN
1925

POLISH BOOK IMP. CO., INC.
38 UNION SQ., NEW YORK, N.Y.

POZ
K
772

Wolno drukować. Ks. Kanonik Ruciński w. z. Wikarjusz Generalny. Poznań, 29 lipca 1924 r. (L. S.) L. Dz. 6769/24.

Czcionkami Drukarni św. Wojciecha.

„Świętych zacnych żywot tobie zwłaszcza, narodzie polski, ku sławie twojej i zbudowaniu, a pobudce do życia pobożnego, pilnie przypominać należy."

X. Piotr Skarga.

PRZEDMOWA.

„Nieśmiertelne świeczniki narodu polskiego" — to chlubny poczet Świętych i Błogosławionych Polaków i Polek wszystkich czasów — tych synów Światłości i orędowników naszych u tronu Przedwiecznego, którzy, wzbogaceni osobliwą łaską Pana Boga, wzniesieni ponad poziom znikomości, bezgranicznem uwielbieniem Jego chwały niebieskiej, z niezachwianą wiarą i mocną nadzieją wiedli zaciętą i uporną walkę z nieprzyjacielem swego zbawienia, zdobywając niebo.

Oni to ogarniają tkliwą miłością ziemię i święte zsyłają jej natchnienia. To też imiona ich złotemi zapisane są głoskami w dziejach naszego kraju.

Opowiadania niniejsze przeznaczone są na to, aby zaznajomić, zwłaszcza młodzież polską, z świątobliwem życiem i wzniosłemi czynami

Wybranych Pańskich, których szczątki Kościół św. wyniósł na ołtarze, a naród polski otacza czcią najwyższą.

Chcąc skutecznie i z ufnością udawać się do Świętych Ziomków naszych o pomoc i pośrednictwo u Pana Jezusa, lub pragnąc naśladować ich cnoty i doskonałość, należy przedewszystkiem wiedzieć, czem się każdy z nich na świecie odznaczał, jak walczył, jak cierpiał i zwyciężał i jakiemi cudami wsławił go Pan Bóg po śmierci. Nie odmówią oni z pewnością nikomu możnej swej opieki, gdyż jak nas uczy wiara święta: „Będąc w niebie, nie zerwali Święci Pańscy łączności z nami tu na ziemi".

Wkońcu wyrażamy życzenie, aby książeczka nasza przyczyniła się do jak największej chwały Bożej i gorącego umiłowania Ojczyzny.

ŚW. WOJCIECH

(ur. r. 956 † r. 997).

Jeszcze przy schyłku dziewiątego stulecia przyjęli Czesi za sprawą św. Metodego, arcybiskupa morawskiego, wraz z księciem swym Borzywojem wiarę chrześcijańską, a chociaż pewna część narodu nawróciła się tylko dla pozoru, trwając dalej w błędach pogańskich, wyróżniały się liczne znakomite rodziny czeskie prawdziwie religijnem życiem, dobremi uczynkami i gorliwością w wszelkich cnotach. Do tych należał również bogobojny Sławnik, hrabia na Łubiczu, i małżonka jego Strzyżysława.

Z tak szlachetnych rodziców urodził się r. 956 św. Wojciech. Ojciec postanowił wychować chłopca na rycerza, lecz zamiary jego nie miały się urzeczywistnić. Dziecko niespodzianie ciężko zachorowało i kiedy stracono już nadzieję utrzymania go przy życiu, nakłoniła Strzeżysława męża, aby syna, jeżeli wyzdrowieje, ofiarować Bogu. Gorące modły rodziców

zostały wysłuchane. W tej samej prawie chwili ustąpiły cienie śmierci z lic małego Wojciecha, a miejsce ich zajęła barwa zdrowia i życia. Widać Stwórca Wszechmocny sam przeznaczał sobie przyszłego męczennika na sługę.

Chował się Wojciech w Niemczech u arcybiskupa magdeburskiego Adalberta. Pod okiem świątobliwego męża robił nad wiek rozumny chłopiec zadziwiające postępy, ćwicząc się zarazem pilnie w pobożności, miłości Boga i bliźnich. Dziewięć lat przebywał w Magdeburgu, gdzie wytrwałą pracą i cnotami pozyskał sobie wkrótce serce dostojnika, który mu na bierzmowaniu dał swoje imię.

Śmierć ojca spowodowała młodzieńca roku 981 do powrotu. Przybywszy do Pragi, wyświęcony został przez ówczesnego biskupa Dytmara na kapłana. Niestety Wojciech, nie zważając na swój stan duchowny, zaczął wszystek czas wolny zużywać na zabawy i biesiady. Skutek to był rozluźnionych obyczajów otoczenia, w jakiem się młody kapłan obracał. Bolała nad tem bardzo pobożna matka i modliła się gorąco o powrót zbłąkanego syna na dobrą drogę. Dopiero widok strasznej śmierci Dytmara wywołał zmianę w jego usposobieniu. Umierający biskup, z obawy przed wiecznem potępieniem, oskarżał sam siebie głośno, że za mało troszczył się o powierzone swej pieczy owieczki, a za wiele dbał o zaszczyty i doczesne bogactwa.

Przejęty do głębi, usunął się wtenczas Wojciech od świata, aby rozpamiętywać swoje grzechy i wkrótce nabył takiej doskonałości, że zwrócił na siebie uwagę całego duchowieństwa. To też, gdy przystąpiono do obsadzenia osieroconej stolicy, wybór padł jednomyślnie na niego. Z rąk mogunckiego arcybiskupa Wiligisa przyjął święcenia biskupie w Weronie r. 983.

Najpierwszą czynnością nowego pasterza po wstąpieniu na tron był podział dochodów z biskupstwa na cztery części, z których jedną przeznaczył na ubogich, drugą na opuszczone kościoły, trzecią na wykupno niewolników, a czwartą dopiero zatrzymał dla siebie.

Wiek, w którym żył św. Wojciech, odznaczał się niesłychaną dzikością obyczajów, a wiara Chrystusowa za słabo jeszcze wrosła w dusze, aby panować mogła nad grubą powłoką zmysłów. W Pradze i w całych Czechach działo się wiele przestępstw i zbrodni, wszelkie zaś upomnienia biskupa nie odnosiły pożądanego skutku. Zniechęcony pracą na roli tak niewdzięcznej, postanowił opuścić stolicę i odbyć pielgrzymkę do grobu Zbawiciela, w nadziei, że może w tym czasie promień łaski oświeci zbłąkanych.

Rozdzieliwszy hojną jałmużnę ubogim, udał się św. Wojciech najpierw do Rzymu, chcąc zwiedzić nieznane sobie jeszcze miasto wieczne. Po drodze wstąpił do sławnego klasztoru be-

nedyktynów w Monte Casino. Zakonnicy tamtejsi, którym opowiedział, że porzucił biskupstwo i zamierza odbyć daleką pielgrzymkę, nie radzili mu tego czynić, mówiąc: „Staraj się zbierać owoce cnót w miejscu, w którem cię Pan postawił!" „Nie w Jerozolimie żyć, ale gdziekolwiek dobrym być, chwalebnie jest i zbawiennie!"

Zastanowił się Wojciech nad temi słowami, a przyglądając się bliżej regule zakonnej benedyktynów, upodobał ją sobie i prosił o przyjęcie go do klasztoru. Opat polecił mu jednak pobyć wpierw jakiś czas w Rzymie i namyślić się dobrze nad krokiem, który chce uczynić. Niełatwo przecież było odwieść pobożnego męża od raz powziętego świątobliwego zamiaru, bo i w Rzymie nie zaniechał swego postanowienia i zamienił tam wkrótce szaty biskupie na prosty habit zakonny.

Pięć lat pozostał w klasztorze, odznaczając się bogobojnością, pokorą i doskonałością w cnotach chrześcijańskich.

Czesi, dowiedziawszy się o miejscu pobytu pasterza, słali gońców do Ojca św. z obietnicami poprawy i prośbą, aby im przywrócił biskupa. Posłuszny woli papieża, objął Wojciech po raz drugi rządy w Pradze. Zastał tam jednak serca ziomków tak samo zatwardziałe w złem i nieskłonne do poprawy, jak przedtem. Opuścił więc ponownie kraj i udał się na Wę-

gry, gdzie w Ostrzyhoniu ochrzcił króla Gejzę i jego rodzinę a prawdopodobnie i Stefana, późniejszego króla, zaliczonego w poczet Świętych.

Po kilku latach wrócił do Rzymu, osiadł w klasztorze benedyktynów i objął stanowisko przeora. Z czasów tych opowiadają o czynach miłosierdzia i o cudach, jakiemi zasłynął św. Wojciech. I tak pewnej kobiecie, która go prosiła o wsparcie, oddał własną suknię, a dziewczynie chorej na oczy przywrócił wzrok dotknięciem ręki.

Po upływie dłuższego czasu, wskutek prośby cesarza, zawezwał papież Grzegorz V św. Wojciecha do powrotu na biskupstwo praskie, zapewniając, że jeżeli w Czechach i nadal będzie miał trudności, przeznaczy go na apostolstwo wśród ludów pogańskich.

Wracał tedy niestrudzony biskup przez Niemcy, gdzie w Moguncji spotkał się z cesarzem Ottonem III, poczem przez Śląsk, znacząc drogę swoją cudami i uczynkami miłosiernemi, przybył do Gniezna na dwór Bolesława Chrobrego. Aby się przekonać o usposobieniu ziomków dla siebie, wyprawił posła do Czech, z zapytaniem, czy życzą sobie jego powrotu; lecz odpowiedź brzmiała odmownie. Obawiali się widocznie w kraju surowości biskupa, ponieważ niedawno wymordowano tam prawie cały ród Sławników, z którego św. Wojciech pochodził. Król Bolesław Chrobry przyjął bi-

skupa w Gnieźnie z wielką czcią i okazałością. Na życzenie monarchy obrał sobie św. Wojciech za cel przyszłej swej działalności apostolskiej kraje pruskie i wyruszył niebawem w podróż.

Płynęła łódź cicho po Wiśle, niosąc ludom pogańskim skarby miłości, wiary i nadziei. Kiedy się zatrzymała u podnóża sterczącej ponad wybrzeżem góry, wysiadło z niej trzech wędrowców w habitach zakonnych: św. Wojciech, brat jego Radzym i kapłan Benedykt.

— Skoro już szczęśliwie stanęliśmy u kresu naszej podróży — rzekł św. Wojciech — błagajmy Pana, aby błogosławił i dalszym naszym zamiarom.

Uklękli wszyscy trzej, wznosząc serca do nieba, poczem puścili się nieznaną ścieżką w dalszą drogę. Długo szli, nie napotykając nikogo, aż nagle otoczyły ich tłumy krajowców.

— Skąd jesteście i czego żądacie? — zawołali dziko, podnosząc wiosła.

— Idziemy z Polski — odparł św. Wojciech — sługami jesteśmy Boga żywego, który stworzył niebo i ziemię i wszystko co na niej jest, uznajcie Go, a będziecie zbawieni!

Rozśmiali się poganie w odpowiedzi na mowę, której nie rozumieli, a jeden z nich uderzył biskupa tak silnie wiosłem w głowę, że ten upadł zemdlony na ziemię.

Przyszedłszy do siebie, dziękował Bogu za zesłane cierpienia. Prusacy wsadzili go potem wraz z towarzyszami do łodzi i wywieźli rzeką na brzeg morza.

Długo głosili słudzy Pańscy po kraju niewiernych ewangelję ślepym, dla których jeszcze nie nadszedł czas łaski. Strudzony wreszcie daremną pracą, postanowił św. Wojciech udać się na Litwę i tam próbować szczęścia. Przed opuszczeniem ziemi pruskiej, zapragnął jednak odprawić mszę świętą za zatwardziałych mieszkańców i wybrał ku temu piękny cienisty gaj święty Prusaków, zwany Romowe, położony niedaleko miejscowości Fischhausen.

Już zabłysły na ołtarzu, ułożonym z polnych kamieni, krwawe rany Ukrzyżowanego, już pobożny pasterz podzielił się mistycznym chlebem z towarzyszami, już wznosił ręce, aby im pobłogosławić, gdy rozległ się dziki okrzyk i siedem włóczni utkwiono w ciele jego. Ubezwładniony ranami, wyzionął św. męczennik ducha 23 kwietnia r. 997. Padł skrapiając krwią męczeńską ołtarz ofiarny, a poganie wołali:

— Jak śmieliście znieważać waszemi obrzędami gaj święty bogów naszych?

Od Radzyma i Benedykta, którzy zdołali się wyrwać z rąk rozwścieczonych Prusaków, dowiedział się Bolesław Chrobry o męczeńskiej śmierci swego serdecznego przyjaciela. Opłakawszy jego stratę, ofiarował na wykup

zwłok tyle srebra, ileby ważyło ciało św. biskupa. I otóż stał się cud! Gdy bowiem śmiertelne szczątki Świętego złożono na wadze, okazały się tak lekkie, że Prusacy zawiedli się sromotnie w swoich rachubach.

Zwłoki św. Wojciecha spoczęły początkowo w Trzemesznie. Po dwóch latach przeniesiono je do katedry gnieźnieńskiej, gdzie dotąd spoczywają. Przy grobie męczennika, tak zwanej konfesji, śpiewają księża po dziś dzień w każdą niedzielę pieśń Boga Rodzica, przypisywaną naszemu apostołowi.

Cesarz niemiecki Otton III odprawił r. 1000 pielgrzymkę do grobu wielkiego Wyznawcy.

W r. 1923 targnęła się ręka nieznanego łupieżcy na starożytny relikwjarz, w którym się mieściła głowa św. Wojciecha. Okrzyk grozy rozległ się w całej Polsce. Rozpoczęto usilne poszukiwania, których dotąd nie uwieńczył jeszcze pomyślny rezultat. Nie tracimy jednak nadziei, że najcenniejsza ta relikwja się odnajdzie.

ŚW. ANDRZEJ ZÓRAWEK

(ur. r. 978 † r. ?).

Król węgierski Stefan, zaliczony później w poczet Świętych, prowadził jako dobry pasterz lud swój drogą wiodącą do wyżyn niebieskich. Starał się on pozyskać dla kraju mężów bogobojnych ze wszech stron, przekonany, że cnotliwy przykład lepiej działa niż najzbawienniejsza nauka, bo niewolnicy ciała wierzą tylko w to, co podpada pod ich zmysły. Osadzając w klasztorze nitreńskim benedyktynów pilnie baczył na dobór zakonników, którzy też zasłynęli niezadługo w ościennych krajach wielką świątobliwością.

Andrzej Żórawek, syn zamożnej rodziny z Opatówca, czując od lat najmłodszych skłonność do cichego i samotnego życia, porzucił ziemię ojczystą i udał się do klasztoru nitreńskiego, aby tam przywdziać szatę zakonną. W obranym zawodzie odznaczał się żarliwością ducha, surowością obyczajów i anielskiem pobłażaniem dla ułomności bliźnich. Nawracał

też niemałą liczbę grzeszników słowem i czynem. Leczył cudotwórczą modlitwą choroby duszy i ciała, a sława jego rosła tak, że tłumy ludu napływały do klasztoru z prośbą o radę i pociechę.

Uważając jednak taki rozgłos jako przeciwny pokorze zakonnej, postanowił pobożny kapłan pójść na pustynię, oddać się tam wyłącznie modlitwie, rozpamiętywaniu i ostrej pokucie i zbierać w ten sposób bez przeszkody nieśmiertelne plony. Na usilne nalegania pozwolił mu przełożony osiąść w Żelaznej Górze, wśród niedostępnych lasów nitreńskich, zamieszkałych przez dzikich opryszków, dopuszczających się wielu zbrodni i rozbojów.

Andrzej Żórawek chcąc uzyskać dusze te tonące w morzu nieprawości dla Pana Boga, ciężkie za swe nauki cierpiał od nich prześladowania. Gdy nie mógł tego dokazać słowem i widział, że nie nadszedł jeszcze czas łaski dla tych wykolejonych, podwoił łzy i umartwienia, ofiarując je za występnych. Wybudował sobie własnoręcznie chatę, urządził przy niej maleńki ogródek, którego jarzyny, chleb przynoszony z klasztoru i woda czerpana z pobliskiego źródła, stanowiły całe jego pożywienie. Pragnąc cierpieć, opasał się żelazną obręczą. Zczasem wrosła mu ona w ciało i sprawiała tak dokuczliwy ból, że nieraz omdlewał. Na-

ST. STANISLAUS PAROCHIAL SCHOOL LIBRARY
CHELSEA, MASS.

wiedzający go wtenczas ubodzy wieśniacy widywali anioła, który skrapiał skroń nieprzytomnego i przywoływał go do życia.

Pewnego razu ujrzał cudowne to zjawisko wódz opryszków Gejza. Zadumał się głęboko i zastanowił nad tem, czy w istocie świętym był żywot tego starca, któremu aniołowie nie wahali się nieść pomocy. Po raz pierwszy żałował za swe grzechy i byłby może nawet pokornie błagał o przebaczenie, gdyby świst posłyszany nagle nie powołał go do legowiska zbójców. Widok nagromadzonego tam złota, które towarzysze wydarli właśnie podróżnym, stłumił wkrótce budzące się w nim dobre uczucia.

I przeszły znów lata całe Andrzejowi na modłach i zachwyceniach. Wiele złego nabroił znów Gejza, a jednak opryszek nie zapomniał widzenia na Żelaznej Górze, gdzie w obliczu owego jasnego anioła zaświecił mu odblask doskonałego szczęścia wybranych. Nie mogąc wreszcie zwalczyć coraz częściej nawiedzającej go myśli, skierował kroki swe ku upragnionej pustelni. Im dalej zachodził w bór cienisty, tem ciemniejszy rysował się na tle długo uśpionego sumienia obraz popełnionych występków, aż wkońcu pękły okowy krępujące serce, oczy zwilżyły się dawno niewidzianemi łzami i zbój postanowił w żarliwej spo-

wiedzi wyznać winy swe świątobliwemu starcowi.

Właśnie kilka dni przedtem zaniemógł Żórawek ciężko, a czując, że się już zbliża upragniona chwila oglądania chwały Przedwiecznego, prosił jednego z wieśniaków, którzy go odwiedzali, aby przywołał zakonników nitreńskich. I lekko było starcowi na duszy, jakgdyby już aniołowie unosili ją na srebrzystych piórach.

Na wezwanie umierającego przybyli niebawem bracia, a opat przyniósł mu drogocenny upominek w podróż tajemniczą: Ciało i Krew Niepokalanego Baranka. Zaiste piękny i uroczysty był zgon sprawiedliwego! Z błogim uśmiechem spoczywał na garstce słomy, niby król potężny na wszechwładnym tronie. Zwycięzca świata, szatana i ciała zdawał się wołać z Pawłem świętym: O! śmierci! gdzie oścień twój? gdzie moc twoja?

Tymczasem Gejza zbliżał się do chaty i otworzył drzwi w chwili, kiedy dusza nieśmiertelna uleciała na łono Stworzyciela.

— Zginąłem! — zawołał ponuro — Bóg mnie odrzuca i potępia, zabierając kapłana, któremu chciałem wyznać zbrodnie moje!

I lotem strzały uszedł zpowrotem do lasu. Biegł bez myśli, prosto przed siebie, aż znalazł się wśród towarzyszów, wiodących bój z zastępem pielgrzymów, którzy wracali z odpustu.

Zbójcy ujrzawszy wodza, wydali okrzyk radosny, zaś przeciwnicy ich rzucili się ku zwalczaniu nowego a strasznego wroga. Nie odpierał jednak Gejza zadawanych sobie ciosów i upadł wkrótce ugodzony śmiertelnie. Przelękli zbójcy rozbiegli się natychmiast, unosząc martwe zwłoki herszta.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zamierzali zająć się pogrzebem, nie starczyło jednak czasu. Nie chcąc więc, aby ciało wodza stało się pastwą zwierząt leśnych, postanowili zanieść je do chaty pustelnika. Złożyli trupa w opuszczonej celi i poszli nie troszcząc się więcej o niego.

Ale choć zwłoki Andrzeja zabrali zakonnicy do klasztoru, duch jego czuwał nad żałującym grzesznikiem i wkrótce jakby ze snu ciężkiego zbudził się Gejza z pozornej śmierci. Rozpoznawszy miejsce, w którem się znajdował, padł na kolana i dziękował Bogu, że mu zachował życie dla opłakiwania zbrodni. Powstał potem i pobiegł do klasztoru, gdzie u grobu bł. Andrzeja ślubował, że nie opuści już pustelni jego do śmierci. Wyznał następnie ciężkie swoje winy i otrzymał zezwolenie opata do powrotu na Żelazną Górę.

Tutaj dokonał, po wielu latach ostrej pokuty, ku zbudowaniu wszystkich, pobożnego żywota.

Wiele jeszcze innych cudownych wydarzeń za przyczyną Andrzeja Żórawka doznanych sprawdzono w owych czasach, a wierny lud polski poleca się z ufnością opiece Świętego, który i w raju pamięta o ziemskiej swej ojczyźnie.

ŚW. STANISŁAW SZCZEPANOWSKI

(ur. r. 1030 † r. 1079).

Na wysokiem wzgórzu bielały mury nowozbudowanej, wspaniałej świątyni. Drogą, prowadzącą do niej, posuwały się wozy ładowne zbożem i wszystkiemi płodami urodzajnej ziemi krakowskiej. Tuż za wozami postępował na czele gromady wieśniaków mężczyzna w sile wieku, a obok niego niewiasta, piękna jeszcze, chociaż czas starł już z jej oblicza krasę pierwszej młodości. Snać byli panami wsi, którą było widać opodal wśród zielonych drzew.

Skoro stanęli u progu kościoła, uklękli i ślubowali uroczyście składać co rok dziesięcinę na utrzymanie służby Bożej. Wraz z kapłanem, który przybył ich powitać, weszli potem do wnętrza świątyni. W wielkim ołtarzu jaśniały odrodzone pokutą rysy Magdaleny, którą pobożni założyciele naśladować pragnęli w jej miłości dla Zbawiciela. Kiedy pod wysokiem sklepieniem przebrzmiała pieśń wysnuta z serc napełnionych gorącą wiarą, powstali

wszyscy i powrócili do dworu, gdzie przygotowano już tymczasem biesiadę dla wieśniaków. W dziedzińcu, ocienionym lipami, zastawiono stoły, uginające się pod ciężarem mięsiwa, kołaczy i dzbanów miodu. Zaproszeni krzątali się koło nich ochoczo, radując się nietyle obfitością jadła i napojów, ile błogą opieką dziedziców, którzy ich podejmowali. I zaprawdę mieli się czemu radować, bo trudno było znaleźć podobnych panów na wiele mil wokoło. Uważali oni swój ludek jako powierzony sobie od Boga, który doprowadzić byli winni do nieba. Nietylko więc rozciągali pieczę nad zdrowiem i chudobą chłopków, lecz nadto nie szczędzili im serdecznego słowa ku podniesieniu ducha. Gdy dzbany miodu częściej krążyć zaczęły wśród biesiadników, zabrał głos stary, w gromadzie zasłużony wójt, chwaląc wdzięczną Bogu i ludziom zacność i dobroć swych chlebodawców.

— Jednej tylko rzeczy nam brak — mówił — do prawdziwej pomyślności!

— I czegóż? — pytali zaciekawieni słuchacze.

— Otóż nie jesteśmy pewni, czy dzieci nasze będą tak szczęśliwe jak my, skoro nasi państwo nie mają potomka i spadkobiercy ich cnót i włości!

— Prawda święta! — odrzekli drudzy, potrząsając głowami — lecz któż co poradzi przeciw woli Bożej?

— Nie idzie tu o to, aby jej stawać naprzekór — mówił stary Paweł, — ale wolno nam prosić pokornie. Przyszło mi więc na myśl, abyśmy się złożyli wszyscy i zakupili pierwszą solenną wotywę w naszym nowym kościele, celem wymodlenia opiekunom naszym następcy!

— Dobrze mówicie, Pawle! Złożymy się, złożymy ochotnie, dziś nawet — wołały liczne głosy.

Niezwykły gwar usłyszeli dziedzice i pytali, o coby chodziło? Wieśniacy rzucili się do nich tłumnie, chcąc opowiedzieć o powziętym zamiarze, lecz stary Paweł nie dopuścił do tego i sam rzecz całą przedstawił. Uśmiechnęła się na to smutnie pani. Snać długie lata bolała nad osamotnieniem swego domu, a pan odparł, tłumiąc głębokie wzruszenie:

— Dziękuję wam, moje dzieci, za waszą przychylność i dobre serce, ale dwadzieścia lat już minęło, jak ślubowaliśmy sobie wiarę, a kiedy dotąd nie dał Stwórca potomstwa, już go nam pewnie odmówił na zawsze. Chociaż frasowaliśmy się tem niejedną chwilę, nie wyrzekamy przeciw świętej Jego woli, bo i tak obdarował nas hojnie obopólną miłością.

— Skoro jednak niema nic niepodobnego u Pana Boga, może raczy wysłuchać próśb naszych — rzekł znów, obstając przy swojem, wieśniak.

— Składalibyśmy Stwórcy dzięki w miłości i pokorze — odparł pan.

— I jako dziesięcinę z ziemi, ofiarowalibyśmy dziecię nasze Jemu na służbę — dodała pani, wznosząc ku niebu łzami zwilżone oczy.

W rok potem wysłuchał Pan Bóg modłów wdzięcznych chłopków, a szlachetny Wielisław z Szczepanowa i pobożna jego małżonka Bogna radowali się przyjściem na świat syna, któremu na chrzcie św. dali imię Stanisław.

Młodzieniaszek rósł w lata, łaskę Bożą i miłość u ludzi, i szybko zbliżał się czas, w którym opuścić miał strzechę rodzinną.

Pokonawszy mężnem sercem boleść rozstania się z jedynakiem, wysłali go rodzice najpierw do Gniezna, a potem zagranicę do Paryża, gdzie przebywało wielu ludzi w mądrości Bożej doskonałych.

Po powrocie do ojczyzny, zwrócił na siebie Stanisław oczy wszystkich ziomków prawdziwą nauką a zarazem nieodstępną od niej pokorą. Ówczesny biskup krakowski Lambert polubił bardzo młodzieńca i zachęcał go do stanu kapłańskiego. Wzbraniał się jednak czas jakiś Stanisław zostać księdzem świeckim, gdyż chcąc żyć zdaleka od świata, nosił się z zamiarem wstąpienia do zakonu. Uległ przecież wkońcu namowom zacnego męża i przyjął z rąk jego święcenia.

Zasłynął też wkrótce pomiędzy duchowieństwem żywotem anielskiej czystości i kaznodziejską wymową.

Sędziwi rodzice radowali się jeszcze lat kilka spełnieniem najgorętszych życzeń swego serca, poczem zasnęli w Panu na rękach bogobojnego syna, który objął po nich rządy nad pozostałą włością.

Długie lata sprawował je sumiennie, chociaż zdala od swego dziedzictwa, ponieważ biskup Lambert nie puszczał go z Krakowa.

Po śmierci Lamberta uznało całe duchowieństwo, że nie było nad Stanisława nikogo godniejszego, ktoby objął biskupstwo. Wzbraniał się on długo przyjąć tak wysoką godność i uległ dopiero zniewolony prośbami całego narodu. Liczył trzydzieści i sześć lat, gdy go papież Aleksander II potwierdził na biskupa krakowskiego.

Zaszczyty, zamiast wbić w dumę młodego kapłana, były mu pobudką do jeszcze większej doskonałości. Kierował się zawsze tą wielką prawdą, że przykład więcej działa na serca ludzkie, niż słowa. Dom jego był odtąd domem ubogich, których opatrywał w potrzebie. Zapisane miał nazwiska wszystkich wdów i sierot swego biskupstwa. Czas wolny od prac kościelnych spędzał na modlitwie i rozpamiętywaniach. Pełen cnót chrześcijańskich i doskonałości kapłańskiej, świecił w ówczesnym Kościele

jako jasna pochodnia przed oczyma narodów, zanim Pan Bóg ku większej chwale ozdobił jego skronie krwawym wieńcem męczeństwa.

W Polsce panował w tym czasie prawnuk Bolesława Chrobrego, Bolesław, dla świetnych czynów wojennych „Śmiałym" nazwany. Był on wybitnym przedstawicielem swej epoki, obfitej zresztą w podobne postacie. Zarodki cnót i zbrodni brały naprzemian górę w dzikiej i nieokrzesanej naturze, w którą wiara chrześcijańska nie wniknęła jeszcze dostatecznie. Powodzenie oręża wyrodziło w nim niezrównaną dumę i mnóstwo innych wad. Występki króla przybrały wreszcie takie rozmiary, że biskup postanowił go w łagodny sposób upomnieć. Odradzali mu tego kroku ci, którzy znali porywczość Bolesława, lecz Stanisław nie chciał odstąpić od swego zamiaru, mając zawsze na myśli wpierw obowiązek, aniżeli własne bezpieczeństwo.

W dniu, w którym miał się udać na zamek, przetrwał kilka godzin na modlitwie. Stanąwszy przed królem Bolesławem, starał się przemówić do jego sumienia, lecz słowa poczciwe nie przeniknęły serca władcy, otoczonego pancerzem dumy, rozjątrzyły je raczej i pobudziły do zemsty. Ze względu na wielkie cnoty i świątobliwość biskupa, nie śmiał wprawdzie Bolesław okazać mu jawnie swego gniewu i nawet podziękował mu za upomnienie, w duszy zachował jednak głęboką urazę do Stanisława i czekał

tylko na sposobność, aby wywrzeć na nim swą zemstę.

Na potrzeby Kościoła i sług Bożych kupił św. Stanisław wieś od Piotra zwanego Piotrowinem, który wziąwszy należytość, wkrótce umarł. Król namówił synowców zmarłego dziedzica, Jakóba i Sulisława, aby się upominali od biskupa zwrotu posiadłości. Pozwano tedy św. Stanisława przed króla, który w Solcu odbywał sądy, lecz świadkowie, na których się biskup powoływał, zastraszeni powagą królewską, nie chcieli zeznawać. Wtedy mąż święty, natchniony duchem Bożym, odważył się na rzecz niesłychaną, a jednak u Pana Boga podobną.

— Ponieważ u ludzi żywych prawda i bojaźń Boża ginie — rzekł — ucieknę się do umarłych. Z pomocą Pana nad pany obiecuję stawić tu po trzech dniach od kilku lat nieżyjącego Piotrowina, od którego wieś kupiłem, aby dał świadectwo prawdzie, a jeżeli tego nie uczynię, niechaj wtenczas upada moja sprawa.

Król i obecni, słysząc te słowa, wybuchnęli śmiechem i przypisywali biskupowi szaleństwo.

Św. Stanisław jednak modlił się i prosił przez trzy dni wraz z duchowieństwem, dnia zaś trzeciego poszedł w uroczystej procesji, ubrany w szaty biskupie do grobu Piotrowina. Po długiej, gorącej modlitwie, kazał otworzyć grób i odkryć ciało już prawie zepsute, wołając:

— Boże Wszechmogący, u Ciebie wszystko podobne. Ty, który sam prawdą będąc, prawdę miłujesz, a fałsz i nieprawość potępiasz, zbudź Kościołowi Twemu świadka! — Zwracając się potem ku nieboszczykowi, rzekł: — Piotrowinie, w imię Boga w Trójcy Świętej jedynego, Ojca, Syna i Ducha Świętego rozkazuję ci, wstań!

I stała się rzecz dziwna! Zmarły się podniósł, a biskup powiódł go przed oblicze królewskie.

Zdumiał się monarcha, przelękli się wszyscy patrząc na cud niepojęty!

Piotrowin zeznał, jak się rzecz miała z kupnem i król musiał rozstrzygnąć sprawę na korzyść biskupa, który następnie zmarłego zpowrotem do grobu odprowadził.

Nietylko w Polsce całej, lecz i po za jej granicami rozeszła się wieść o niebywałym cudzie, a sobór w Bazylei przeciwstawił zdarzenie to twierdzeniom Husa.

Niesposób było wtenczas nie ukorzyć się przed świątobliwością męża Bożego. To też i Bolesław uległ pod wpływem uczucia, jeżeli nie skruchy, to trwogi.

Powrócił biskup znów spokojnie do pracy na niwie Pańskiej, a król rozpoczął nową wojnę z książętami Rusi, krewnymi zmarłej swej żony Wisławy. Niedługo wsławił się świetnemi czynami oręża, zdobywając Kijów. Początkowo rzą-

dził tam przykładnie, ale wkońcu uległ złym podszeptom i nie widział, jak anioł stróż jego uleciał daleko, zakrywając łzawe oblicze śnieżnemi skrzydły.

Na zamku szlachetnego Dobiesława z Kurozwęk zebrali się liczni przyjaciele i krewni, uświetniając swą bytnością zrękowiny jedynej córki właściciela. Była to dzieweczka niepospolitej urody, wielkich przymiotów serca i duszy. Ubiegała się o jej rękę liczna młodzież, a było pomiędzy nią wielu rycerzy, znakomitych rodem i bogactwem. Nadobna Krystyna jednak wybrała sobie na męża skromnego młodzieńca, dziedziczącego jedynie cnoty chrześcijańskie i dzielność po pradziadach. Już zamienili w jednej z najobszerniejszych komnat starego zamku, Mścisław z Bożenina z piękną właścicielką Kurozwęk wobec wspaniałego grona niewiast i rycerzy pierścienie, gdy jeden z domowników oznajmił przybycie pielgrzyma z dalekich krajów, który pragnie udzielić młodej parze swego błogosławieństwa. Szlachetny Dobiesław rozkazał go natychmiast wprowadzić.

— Witajże nam, mężu święty! — zawołał — zoczywszy gościa w progu. — Zapewne powracasz od grobu Zbawiciela lub z Rzymu? —

Za całą odpowiedź zrzucił pielgrzym kaptur, który mu zakrywał twarz, a obecni z przestrachem rozpoznali w nim króla Bolesława Śmiałego.

Nikt nie wiedział, kiedy opuścił Kijów, bo chorągwie walczących porzuciły go wpierw jeszcze, nie mogąc wytrwać dłużej bezczynnie zdala od zagród rodzinnych.

Dumny zdobywca musiał tedy opuścić potajemnie miasto, nie czując się w niem już zupełnie bezpiecznym. Wściekłość jego nie miała granic i przemyśliwał tylko o ukaraniu winnych za powrotem do kraju. Droga wypadała mu na Kurozwęki; wstąpił więc do zamku, w nadziei, że w gronie wesołych biesiadników napotka którego ze swych rycerzy i gniew swój będzie mógł chwilowo nasycić. Obejrzał się chmurnym wzrokiem dokoła, lecz zamiast nienawistnych mu postaci ujrzał jasne wejrzenie Krystyny, która stała niby trwożna gołębica pomiędzy ojcem a narzeczonym. Rysy króla złagodniały pod wpływem uroczego wdzięku dzieweczki, a widząc prócz niej same nieznane sobie twarze, zaczął się uspokajać. Przystąpił wtedy Dobiesław i powitał króla swego, jak na pana zamku przystało. Wkrótce nadciągnął też nieliczny orszak dworski i wszyscy zasiedli do przygotowanej uczty. Król był dobrej myśli i powoli rozweseliły się twarze reszty biesiadników. Jeden tylko Mścisław z Bożenina był smutny i zasępiony.

Żałosne jęki i narzekania rozbrzmiewały po całym kraju. Krwawy miecz królewski zawisł ciężko nad głowami winowajców. Karano

nietylko zbiegów z wojny kijowskiej, lecz i tych, którzy pozostawszy w domu, dopuścili się w tym czasie jakichkolwiek przestępstw. Zdawało się, że Bolesław dopełnił już miary bezbożności i okrucieństwa. Codziennie nieomal broił w oczach całego ludu bezkarnie to, co u drugich potępiał surowo.

Naradzało się całe duchowieństwo nad tem, w jaki sposób położyć tamę bezprawiu, a biskup Stanisław modlił się i bolał srodze, że na nic się nie przydały jego upomnienia. Rozważał już nawet, czy nie chwycić się ostatecznego środka, aby powstrzymać króla na pochyłej drodze i zatrwożyć go, lecz wahał się jeszcze, bo środkiem tym było rzucenie klątwy kościelnej na bezbożną głowę.

Pewnego poranku wracając z kościoła, spotkał w przedsionku rycerza okrytego czarną zbroją. Gdy wojownik uchylił przyłbicy, wyjrzało z pod niej tak blade i napiętnowane boleścią oblicze, że biskup przejęty do żywego dał znak przybyłemu, aby poszedł za nim do osobnej komnaty. Tutaj zapytany, czegoby żądał, opowiedział Mścisław z Bożenina, że niedawno jeszcze będąc najszczęśliwszym narzeczonym pięknej Krystyny, z radością witał już zbliżający się dzień, w którym miał stanąć obok niej na ślubnym kobiercu, gdy król, olśniony podczas przejazdu przez Kurozwęki urodą Krystyny, przysłał do niej swatów.

Szlachetny Dobiesław wraz z córką nie wahali się ani chwili dać odpowiedź odmowną na ofiarowany im zaszczyt. Rozgniewany król przysłał zbirów, którzy uprowadzili młodą dziewczynę gwałtem w nieznane strony, a sędziwy ojciec zginął w jej obronie.

— Niestety nie było mnie wtenczas przy nich — mówił dalej Mścisław. — Gdy zapłakani domownicy uwiadomili mnie o nieszczęściu, pośpieszyłem w pościg za zbójcami, lecz śladu ich nie znalazłem. Bez zwłoki przybywam więc do Krakowa, aby u was, ojcze, szukać rady i pomocy w mej ciężkiej niedoli.

Zaledwie młodzieniec słów tych domówił, zachwiał się i byłby upadł na ziemię, gdyby biskup nie był go podtrzymał i doprowadził do łoża. Rozpacz Mścisława była tak wielką, że utraciwszy przytomność niebezpiecznie zaniemógł. Biskup powierzył go opiece domowników i pośpieszył natychmiast do zamku królewskiego. Odbywała się tu właśnie hałaśliwa biesiada, gdy święty mąż przestąpił progi, aby grozić gniewem Bożym i domagać się wykrycia miejsca pobytu córki nieszczęsnego Dobiesława. Odpowiedziano mu szyderczo, że nie grozi jej nic, bo już się połączyła z ojcem w grobie. I tak też było w istocie. Szlachetna dziewica, nie chcąc złamać wiary narzeczonemu, znalazła śmierć w nurtach Nidy podczas przeprawy przez rzekę.

Przejęty zgrozą i boleścią na takie bezprzykładne lekceważenie zbrodni, osądził biskup, że nadeszła chwila, w której jako dobry pasterz nie powinien się dłużej wahać z oddaniem życia za swoje owieczki. Lekceważąc grożące mu niebezpieczeństwo, wzniósł ręce ku niebu i zbrojny w majestat powagi Kościoła, wyłączył występnego króla ze społeczeństwa wiernych i zabronił wpuszczać go do świątyni.

Gdy się Bolesław dowiedział o rzuconej na siebie klątwie, uniósł się niepohamowanym gniewem i pobiegł w otoczeniu swych zbirów na Skałkę, gdzie św. Stanisław odprawiał właśnie mszę św. Żołnierze, którzy mieli wywlec wpierw biskupa z kościoła, wahali się z wypełnieniem rozkazu. Wtenczas wpadł sam Bolesław do świątyni i uderzeniem miecza zabił św. Stanisława modlącego się przy ołtarzu. Zwłok biskupa, które po dokonanej zbrodni żołnierze wzięli z kościoła i rozsiekali, strzegły, jak niesie podanie, przez trzy dni cztery orły, a światłość dziwna unosiła się nad niemi.

Początkowo złożono szczątki męczennika w kościele św. Michała na Skałce, skąd po latach dziesięciu przeniesione zostały do katedry św. Wacława na Wawelu.

Biskup krakowski Prandota i król Bolesław Wstydliwy spowodowali r. 1249 rozpoczęcie procesu kanonicznego św. Stanisława, a papież Inocenty IV zaliczył go r. 1253 w po-

czet Świętych podczas uroczystego obrzędu odbytego w kościele św. Franciszka w Asyżu. Relikwje Świętego złożono r. 1254 do srebrnej trumny ofiarowanej przez Elżbietę, matkę króla Ludwika. W dniu wspomnianego obrzędu w Asyżu przynieśli zmartwieni rodzice umierającego jedynaka do kościoła. Papież, który wtenczas sam odprawiał mszę św., usłyszawszy bolesne łkania, odważył się na taką modlitwę: Potwierdź, o Panie, to, com słyszał o męczenniku Twoim Stanisławie, a przez zasługi i za przyczyną jego powróć rodzicom syna. Zaledwie namiestnik Chrystusowy skończył modły, znikła bladość z twarzy konającego. I powstał młodzieniec, jakgdyby nigdy nie chorował. Wielkie było zdziwienie zgromadzonego ludu, ale większa jeszcze radość rodziców. Na pamiątkę cudu kazali oni odmalować całą historję życia i męczeńskiej śmierci patrona Korony polskiej na jednej ze ścian kościoła św. Piotra w Rzymie. Bolesław Śmiały wyklęty przez papieża Grzegorza VII, opuścił kraj, udając się po długiej tułaczce do klasztoru w Osjaku, gdzie pozostał do końca życia, czyniąc pokutę.

BŁOG. BOGUMIŁ

(ur. około r. 1116 † r. 1182).

Rodzony brat św. Wojciecha, Poraj Sławnik, uszedłszy rzezi praskiej, osiadł w Polsce, gdzie potomkowie jego doszli wkrótce do wielkiego znaczenia i zamożności. Jedyny syn jego, również Poraj, pozostawił dwóch synów: Boguchwała i Radosta, a dziećmi pierwszego z nich byli: Radost, biskup krakowski, i Boguchwał, kasztelan gnieźnieński. Ten ostatni, ożeniwszy się z Katarzyną z Gryfów, siostrą arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana, miał dwóch synów: naszego Bogumiła i Boguchwała, późniejszego zakonnika w klasztorze cystersów w Łeknie. Bogumił, arcybiskup gnieźnieński, pochodził więc z rodziny św. Wojciecha.

Urodził się w dziedzicznej wsi Koźminku, w pobliżu Dobrowy, czyli Dąbrowy, w dawnem województwie sieradzkiem, na początku dwunastego wieku. Wychowany wraz z bratem Boguchwałem pod okiem świątobliwych rodziców, od samego dzieciństwa odznaczał się głę-

boką pobożnością, rzadką skromnością, łagodnością i anielską niewinnością życia, w których to cnotach brat pilnie go naśladował. Wysłany wraz z nim do Gniezna, ukończył tam chlubnie nauki pod okiem wuja swego, arcybiskupa Janisława czyli Jana, poczem z woli jego i rodziców udał się do Paryża, gdzie pilnością i nieskażonemi obyczajami zwrócił na siebie powszechną uwagę.

Wróciwszy do kraju, pozostał Bogumił w domu jako przyszły dziedzic znacznej fortuny i poświęcił się gorliwie praktykom religijnym oraz dobrym uczynkom. Po śmierci rodziców obrócił część majątku na uposażenie probostwa w Dobrowie i wystawił tam kościół parafjalny pod wezwaniem Św. Trójcy, konsekrowany przez arcybiskupa Jana. Spostrzegłszy z okazji bytności w Dobrowie rzadkie cnoty synowca, zachęcił go wuj do poświęcenia się stanowi duchownemu.

Z radością przyjął Bogumił wezwanie i wyruszył na dwór arcybiskupa, a przysposobiwszy się należycie wśród postów, surowych umartwień i gorącej modlitwy, odebrał z rąk Janisława święcenia kapłańskie. Zapewne na własne prośby otrzymał zarząd parafji w Dobrowie. Na skromnem tem stanowisku pracował młody kapłan z niezmordowaną gorliwością i stał się wkrótce wzorem prawdziwego pasterza, słynnym na całą okolicę kaznodzieją

i sługą Chrystusowym, jaśniejącym wszelkiemi cnotami.

Tak świetnie rozpoczęty zawód duchowny i rozchodząca się na wszystkie strony sława młodego kapłana, spowodowały arcybiskupa, że go wbrew jego woli i wiedzy powołał na dziekana metropolitalnego do Gniezna, chcąc go mieć w swoim senacie duchownym. Pomimo to pozostał Bogumił nadal proboszczem dobrowskim zwłaszcza, że Janisław nie chciał wioski tej pozbawić tak bogobojnego pasterza.

Sumienność jego i gorące pragnienie, aby obowiązki obydwu urzędów należycie wypełnić, raczył Pan Bóg poprzeć i nagrodzić następującym cudem. Kiedy razu pewnego po odśpiewaniu z dostojnikami w katedrze gnieźnieńskiej godzin kanonicznych udał się Bogumił pieszo na nabożeństwo do Dobrowy, odległej przeszło piętnaście mil od Gniezna, zdążył jeszcze, po odprawieniu mszy świętej w swej parafji, przybyć zpowrotem na wspólny z kanonikami obiad do miasta, unoszony na rękach anielskich.

W czasie wielkich wylewów Warty przechodził suchą nogą po wodach oblewających naokół kościół w Dobrowie: nietylko sam, lecz nawet owieczki swoje w ten sam cudowny sposób tam i zpowrotem przeprowadzał. Podanie niesie, że na głos jego mnóstwo ryb zbierało się nad brzegi Warty, które wydobywając

z łatwością, rozdzielał pomiędzy biednych i zgłodniałych.

Nie dziw więc, że wobec świątobliwości uwielbionej takiemi cudami, nietylko w Gnieźnie, ale w całej Polsce głośnemi, kapituła gnieźnieńska, po śmierci arcybiskupa Jana, nie widziała godniejszego następcy nad Bogumiła i wybrała go jednomyślnie r. 1167 na arcypasterza.

Wzbraniał się mąż święty przyjąć tę godność i błagał, aby go od niej zwolniono, upatrując jednakże w usilnem naleganiu wolę Bożą, przyjął wreszcie wybór, który papież Aleksander III, uprzedzony o jego nadzwyczajnych cnotach, jak najchętniej potwierdził.

Jako książę Kościoła nietylko nie złagodził dotychczasowej surowości życia, ale ją jeszcze obostrzył. Spoczywając zaledwie kilka godzin, wstawał o świcie i przygotowywał się do mszy świętej. Czas przedpołudniowy poświęcał sprawom kościelnym, posłuchaniom, opiece ubogich i nieszczęśliwych. Przez resztę dnia załatwiał sprawy publiczne i zwiedzał kościoły. Pilnie wglądał w potrzeby duchowne pojedyńczych parafij, przyświecając kapłanom zawsze wzorem cnót wszelkich, silniej niż wymową pociągając ich do naśladowania siebie. Pięć wsi z ojczystego swego majątku ofiarował zakonowi cystersów na ręce brata swego Boguchwała, zakonnika w Łeknie, jako fundusz na założenie

Bł. Wincenty Kadłubek, biskup krakowski.

(Nieśm. św.)

nowego klasztoru w Polsce w miejscu wyznaczonem przez kapitułę tegoż zakonu.

Po kilku latach mozolnej i odpowiedzialnej pracy na arcybiskupstwie gnieźnieńskiem, zapragnął Bogumił zwolnić się z tych ciężarów, zwłaszcza, że oddawna wzdychał on do życia pustelniczego, chcąc się całkowicie poświęcić Bogu w bezustannej modlitwie, rozmyślaniu i surowem umartwieniu ciała na wzór uczniów św. Romualda, którzy podówczas świątobliwością, ostrością życia i zaparciem samych siebie w zdumienie wprawiali świat chrześcijański. Ponieważ uważał niezłomny ten pociąg do życia pustelniczego za wyższe natchnienie, postanowił zrzec się godności. W tym celu udał się osobiście do bawiącego w Wenecji papieża Aleksandra III i złożył za jego zezwoleniem r. 1172 urząd arcybiskupi. W przejeździe wstąpił na Węgry, aby się przypatrzeć bliżej życiu pustelników reguły św. Romualda i według ich zasad spędzić w samotności resztę dni swoich.

Powróciwszy do archidiecezji, pożegnał świat oraz wszystko, co go dotąd z nim wiązało, i zamieszkał w pustej okolicy w pobliżu Dobrowy. Przez dziesięć lat wiódł tutaj pobożny biskup żywot pokutniczy na rozpamiętywaniu i modlitwie, trapiąc ciało postami i najrozmaitszemi umartwieniami. Niekiedy wychodził z pustelni swej do licznie zgroma-

dzonego ludu i wzywał na wzór św. Jana Chrzciciela do pokuty i poprawy życia. Zdarzało się także dość często, że uproszony przez plebana dobrowskiego, głosił dawniejszym owieczkom słowo Boże i udzielał im sakramentów św., czyniąc wszystko z namaszczeniem i ku zbudowaniu wiernych.

Po jedenastoletnim pobycie w pustelni, powołał Pan Bóg błog. Bogumiła do swej chwały. Jeszcze tu na ziemi miał odczuć świątobliwy mąż przedsmak rozkoszy niebieskich, albowiem w dzień śmierci objawiła mu się Najświętsza Panienka z Dzieciątkiem Jezus na ręku, otoczona gronem aniołów, w orszaku św. Wojciecha i pięciu pustelników Polaków. Niewymownie ucieszony widzeniem, oddał Bogumił czystą duszę w ręce Stwórcy, 6-go czerwca r. 1182. Ciało jego, przybrane w szaty biskupie, pochowano wśród ogromnego udziału wiernych w kościele dobrowskim.

Przy grobie zachodziły liczne cuda, a lud uznając Bogumiła powszechnie za świętego, tłumnie z najdalszych nawet stron Polski garnął się do Dobrowa, aby za jego przyczyną szukać ulgi i pociechy w potrzebach duszy i ciała.

Arcybiskup gnieźnieński Fulko czyli Pełka (od r. 1232—1258) wydobył, niezawodnie wskutek sprawdzenia cudów i otrzymanego, jak przepisy w tym względzie wymagały, upoważnienia od Stolicy Apostolskiej, ciało pustelnika

uroczyście z grobu i w osobno zbudowanym grobowcu wystawił ku czci publicznej.

Z powodu coraz więcej wzmagających się wylewów Warty i nader trudnego przystępu do kościoła dobrowskiego, doznawała cześć ku błog. Bogumiłowi wielkiego uszczerbku. Aby temu zaradzić, postanowił r. 1663 arcybiskup Wacław Leszczyński przenieść zwłoki do kolegjaty uniejowskiej i wystawił na środku kościoła wspaniały ołtarz, w którym miały spocząć drogie szczątki. Śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu wykonać wzniosłego zamiaru. Dopiero następca jego na stolicy gnieźnieńskiej, Mikołaj Prażmowski, zajął się gorliwie urzeczywistnieniem planu poprzednika. Postarał się o pozwolenie w Rzymie, a poczyniwszy odpowiednie przygotowania, przeniósł 29 stycznia 1668 r. zwłoki błog. Bogumiła wśród okazałych uroczystości z kościoła dobrowskiego do Uniejowa.

Po dziś dzień gromadzi się w rocznicę śmierci wierny lud polski u grobu Błogosławionego.

CZCIG. JUTTA Z CHEŁMŻY

(ur. ? † r. 1264).

Wojciech Sangerhausen, potomek możnych panów turyńskich, którzy już przed wielu wiekami osiedli na ziemi chełmińskiej, niepocieszony po stracie ukochanej małżonki swej, Jadwigi, żył jedynie dla pozostałych dzieci.

Syn najstarszy obrał sobie zawód rycerski, drugi był dziedzicem wielkich włości i cnót swego rodu, a dwunastoletnia Jutta już w latach dziecięcych świątobliwą rokowała przyszłość. Powierzona staraniom wiernej ochmistrzyni, nie odstępowała ojca, który też nierad opuszczał zamek i zawsze z utęsknieniem powracał do lubej dzieweczki.

Kiedy raz po dłuższej nieobecności wstępował w progi swej siedziby, nie zbiegła Jutta, jak zazwyczaj z kamiennych schodów, aby na powitanie uścisnąć jego kolana.

— Gdzież moja córka? — pytał z niepokojem pachołków, zawieszających na ścianie kurzem okrytą zbroję. Przywołano zafrasowaną

ochmistrzynię, panią Dorotę, która oznajmiła, że Jutta przed chwilą wyszła do sadu polewać ulubione kwiaty, jednak obecnie jej tam niema. Wszelkie dalsze poszukiwania okazały się daremne. Gdzież więc znikła dziewczynka?

Młoda wieśniaczka, która chodziła niekiedy po wsparcie i lekarstwa dla chorej matki do zamku, przybiegła zalana łzami w chwili, gdy Jutta zatrudniona była w ogrodzie.

— Ratuj nas, dobra panienko! — wołała — matka moja umiera i pragnie pojednać się z Panem Bogiem. Nie wiem, co począć, bo sąsiedzi wszyscy w polu, a do kościoła daleko; jakże chorą zostawić samą?

— Uspokój się — odrzekła, poruszona smutnem opowiadaniem Jutta — idź zaraz do księdza, a ja przez ten czas zastąpię ciebie w chacie. Rzuciwszy konewkę, zabierała się w drogę. Chociaż Jutta była posłusznem dzieckiem, gorąca chęć ulżenia niedoli bliźniego nie pozwoliła jej zastanawiać się, że działa bez wiedzy ochmistrzyni. Anna płakała tak rzewnie, a chora wyglądała zapewne niecierpliwie jej powrotu, nie było zatem czasu do namysłu.

Wkrótce chora Gertruda przyjmowała z błogim uśmiechem starania panienki, Anna zaś biegła ku odległej wiosce, w której się znajdował kościół.

Cóż dało słabej dwunastoletniej dziewczynce odwagę, aby pozostać przy chorej? Kto

nauczył ją słów niebieskiej pociechy? Święta chrześcijańska powinność i miłosierdzie zalecane tylokrotnie przez samego Zbawiciela!

— Nie trwóż się o twoją Annę! — mówiła do chorej wieśniaczki. — Ojciec mój pozwoli, żeby zamieszkała z nami, sama uczyć ją będę bojaźni Bożej i zamiłowania do pracy. Przyrzekam ci, że nie odstąpi mnie ona nigdy!

W chwilach, gdy chora mniej cierpiała, odmawiała Jutta głośno modlitwy, którym umierająca kobieta wtórowała cichym szeptem.

Nadszedł wreszcie oczekiwany kapłan. Jutta wraz z Anną usunęła się do drugiej izby, dopóki ich nie przywołał głos dzwonka.

Tymczasem pani Dorota, badając napotykanych wieśniaków, dowiedziała się od jednego z nich, że Jutta szła ku chacie Gertrudy. Natychmiast skierowali z panem Wojciechem swe kroki w tę stronę. Ojciec był zachmurzony i niespokojny, ochmistrzyni zaś zagniewana na wychowanicę, że właśnie w chwili powrotu ojca uszła jej pilnej baczności. Wszystkie niechętne uczucia zniknąć musiały jednak na widok, jaki się przedstawił oczom ich w głębi chaty. Gertruda leżała konająca, obok łóżka modliła się zapłakana Anna, a nieco dalej klęczała Jutta. Z oczu jej świecił tak jasny promień miłości, że łatwo było odgadnąć zeń obecność Utajonego. Zanim jeszcze kapłan wymówił: „Oto Baranek Boży!“ — już ojciec z ochmistrzynią

oddali Mu cześć, padając na kolana i chyląc głowy ku ziemi.

W sześć lat po śmierci biednej wyrobnicy młoda opiekunka jej córki, Jutta, opuszczała dom rodzicielski, wychodząc z woli najstarszego brata zamąż za Jana Konopackiego, dziedzica na Bielczanach. Żegnali ją z płaczem domownicy, błogosławił sędziwy ojciec, a tłumy ubogich zasyłały ku niebu gorące modły o szczęście dla ukochanej panienki.

Wysłuchał Stwórca westchnień, pochodzących z serc prostych i pobożnych. Po kilku latach pożycia świecił dom Konopackich cnotliwym przykładem dla możnych i prostaczków. Uczyli się w nim wszyscy zbierać skarby, których, jak mówi Pismo święte: „ani mól, ani rdza nie zepsują".

Anna, córka Gertrudy, pozostała nieodstępną towarzyszką młodej pani. Postępując według wzniosłego prawodawstwa Boga-Człowieka, nie wahała się Jutta zaopiekować ubogiem dzieckiem ludu.

Spokojnie płynęły dni bogobojnym mieszkańcom nadwiślańskiego zamku. Pewnego dnia, wracając od swych ubogich, spotkała Jutta płaczące wśród drogi pacholę. Nie umiało ono wypowiedzieć przyczyny swych łez, lecz Jutta łatwo odgadła, że jest głodne i opuszczone. Zdjęta litością, wzięła chłopca za rękę i poprowadziła z sobą. Usłyszała wówczas jakoby głos

z nieba, powtarzający słowa Chrystusa: „Ktokolwiek w imię moje przyjmie jedno z tych opuszczonych, mnie przyjmie".

— O Panie i Mistrzu mój, rozumiem Cię! — zawołała Jutta, padając na kolana, — nie dałeś mi własnych dziatek, lecz wskazujesz, abym wszystkim sierotom była matką, niech się więc spełni wola Twoja święta!

Niedługo potem zapełniło się kilka próżnych komnat zamku drobną rzeszą, której Jutta sama przewodziła. Nie było to rzeczą łatwą. Człowiek od młodości pochopniejszy bywa zawsze do złego, niż do dobrego. Często bardzo dobre słowa nie przenikają do serc dziecięcych, rzadko kiedy wdzięczność wykwita na nieurodzajnej glebie.

Jutta nie upadła jednak na duchu, chociaż ostre były kamienie i ciernie na jej drodze. Jeżeli zniechęcenie chciało się wkraść do serca, odpychała je, pamiętając, że Zbawiciel z wielu powołanych mało znalazł wybranych, a przecież nie uchylił się od wielkiego dzieła.

Umiłował Pan Bóg szczególniej tę błogosławioną duszę, to też po kilku latach niczem niezamąconego szczęścia ciężko ją zaczął doświadczać.

W jednym z owych jasnych dni lata, w których serca ludzkie zdają się być usposobione do przyjmowania samych radosnych wrażeń, przyniósł kurzem okryty posłaniec smutną wia-

domość, że pan Wojciech walczy ze śmiercią. Jakkolwiek Jutta pośpieszyła natychmiast do domu rodzicielskiego, ubiegły ją śmierć i żałoba. Siostrę powitali ciężko strapieni bracia, bo ojciec już tylko z lepszej krainy mógł ją błogosławić. A przecież tak usilnie błagała o życie i zdrowie dla niego! Wszak sam Zbawiciel powiedział: „Proście, a będzie wam dano". Choć w pierwszej chwili żalu zwątpienie ścisnęło jej serce, głosy niebieskie uspokajającemi słowy odezwały się w duszy, i Jutta powróciła do męża, kornie uchylając czoła przed niezbadanemi wyrokami Stwórcy.

Pan Konopacki nierad opuszczał żonę, mimo to ważne sprawy odwoływały go dość często z domu. W czasie jego nieobecności, Jutta, obyczajem wielu pobożnych niewiast, porzucała ozdobniejsze szaty, poświęcając się jeszcze więcej cierpiącym. Nieuleczalne kalectwo wzbudzało w niej zawsze politowanie, zamierzała więc wznieść przytułek dla ociemniałych, gdzieby staraniami swemi ulżyć mogła nieszczęśliwym. Wskutek strasznej zarazy morowej, jaka nawiedziła wówczas kraj, musiała pobożne dzieło odłożyć na później. Umierający potrzebowali ratunku, pozostali przy życiu opieki i pociechy. Lecz któż zdoła policzyć czyny wszystkich bohaterów chrześcijańskiego miłosierdzia, skoro zamiast szukać rozgłosu, kryli się przed światem?

Ulitował się wreszcie Pan nad ludem i skinieniem wszechmocnej ręki odwołał anioła-niszczyciela. Tu i owdzie jednak pojawiała się jeszcze okropna choroba, przypominając grzesznym karzącą prawicę.

Ostatnie promienie słońca, zaglądającego przez wąskie szyby do komnaty, tworzyły złotą aureolę nad głową młodej kobiety. Wsparta o stół dębowy, spoglądała na rozwinięty pergamin. Obok niej stał mąż wskazując zarysy obszernej budowy.

— Tak więc, droga Jutto, kiedy już mijają ciężkie dni żałoby, stworzymy wymarzone schronienie dla niewidomych. Słodka twa opieka ulży im wreszcie w niedoli. Tu masz oznaczone sypialnie, tu pracownie, a obok kapliczkę.

— O, dzięki ci, panie mój, za to, że dopomagasz słabej kobiecie, która sama niewiele zdziałaćby mogła! — odrzekła Jutta, składając ręce.

— Ja to raczej powinienem dziękować tobie, ponieważ dałaś mi sposobność do wykonania wzniosłego dzieła! Niedarmo mówi Pismo św., że „przez żonę wierną, mąż nawet niewierny zbawionym być może!"

— O nie mów tego, nie mnie należy się nagroda! — odparła Jutta. — Ale kiedy już wszystko tak dalece gotowe, radabym jutro położyć kamień węgielny pod naszą budowę.

— Z największą chęcią, przecież oczekujemy wielce nam miłego brata, nie możemy więc lepiej uczcić pierwszego dnia pobytu jego z nami, jak poświęcając go chwale Bożej i pożytkowi bliźnich.

— Odgadłeś myśl moją — zawołała uradowana Jutta — do jutra zatem! — dodała wskazując na chowające się po za wierzchołki drzew słońce.

Jutro! Ileż łzawych tajemnic spoczywa w tym razie! Czemże jest dla nas nadzieja radosnego jutra? Wątłą tkanką pajęczą, którą lada wietrzyk rozerwie!

Raz tylko okryła się ziemia nocną pomroką i znów wzeszło nad starożytnym zamkiem słońce to samo co wczoraj. Lecz jakże odmienny obraz oświecały jego promienie? Bogobojny pan na Bielczanach, Jan Konopacki, leżał dotknięty śmiertelnie ostatnim ciosem znikającej zarazy! Sędziwy kapłan wlewał w serce jego balsam pociechy na drogę wieczności. Jutta z załamanemi rękoma błagała o siłę wyrzeczenia: „Bądź wola Twoja!“ i o łaskę dla ukochanej duszy, mającej stanąć przed tronem Najwyższego.

Zrozpaczony brat spoglądał bolesnym wzrokiem to na opuszczającego ziemię przyjaciela, to na nieszczęsną siostrę. Anna wraz z domownikami, tłumiąc łkania rzewne, zasy-

łała modły do Boga. I była żałobna, uroczysta cisza w komnacie, w której anioł śmierci zatrzepotał czarnemi jak noc skrzydłami. Błagalnemi prośbami chciała Jutta wstrzymać grom, który miał uderzyć, a nie mogąc wymodlić łaski, cierpiała. Straszną, choć krótką była w niej walka ducha, opierającego się wyrokom Bożym! Chrystus Pan przyszedł wreszcie w pomoc męczennicy swojej, dając jej siłę do wychylenia kielicha goryczy. Rozpaczająca małżonka została wdową chrześcijańską, zgadzającą się z wolą nieba, nieczułą na ponęty świata.

Gdy tak nagle zerwany został najmilszy węzeł, który łączył Juttę z ziemią, postanowiła oddać się cała na usługę Bogu i bliźnim. Chcąc jednak według swej woli rozporządzać czasem, nie składała ślubów zakonnych, tylko przyjęła habit trzeciego zakonu św. Franciszka. Obszerny zamek zamieniła cały na schronienie dla wszelkiej nędzy, pozostawiając wedle pierwotnego planu dogodne pomieszczenie dla ociemniałych.

Trudząc ciało ustawicznemi postami i biczowaniem, miewała Jutta chwile zachwytu, w których dusza jej w cudownych widzeniach unosiła się ku niebu. Znaczne dochody z majętności nie wystarczały jej nieraz na wspieranie i utrzymywanie tylu biednych, musiała wtenczas udawać się o pomoc do obcych. Prosiła

o jałmużnę w imię Chrystusa, którego widziała zawsze w swych ubogich.

W ostatniej chorobie ukazał się jej Pan Jezus w otoczeniu aniołów, wzywając ją do królestwa niebieskiego. Przeszedłszy mężnie wyznaczoną sobie drogę, otoczona przybraną rodziną nieszczęśliwych, z błogim uśmiechem powitała godzinę śmierci. Zasnęła w Bogu 5-go maja r. 1264.

Ciało czcigodnej Jutty złożono w Chełmży, gdzie później stanęła kaplica pod jej wezwaniem.

BŁOG. WINCENTY KADŁUBEK

(ur. r. 1161 † r. 1223).

Ojciec kronikarzy naszych, Wincenty Kadłubek, pochodził z pobożnej i szlachetnej rodziny polskiej. Urodzony r. 1161 w Karłowie pod Opatowem, z ojca Bogusława i matki Bogny, odebrał staranne wychowanie w duchu chrześcijańskim.

Pierwsze nauki pobierał w domu rodzicielskim, a przewyższał pilnością wszystkich swych rówieśników. Po odbytych studjach zagranicą, powrócił ze stopniem doktora teologji do kraju, aby poświęcić się stanowi duchownemu. Wyświęcony na kapłana, wybitnemi zdolnościami zwrócił na siebie uwagę ówczesnego biskupa krakowskiego Pełki, który zaszczycił go swem zaufaniem i mimo młodego wieku powołał na proboszcza przy kościele Panny Marji w Sandomierzu. Król polski Leszek Biały, polegając na roztropności Kadłubka, polecił mu odwieźć córkę swą Salomeę, zaślubioną Kolomanowi, do Węgier. Gdy Koloman, po śmierci ojca,

dobijać się musiał o tron węgierski, przeznaczony mu testamentem, dopomógł mu Kadłubek dzielnie radą swą do tego, namaścił go sam i ukoronował na króla.

Po śmierci biskupa r. 1207, obrała kapituła krakowska Wincentego jednogłośnie pasterzem osieroconej stolicy. Na nowym urzędzie przyświecał Kadłubek, jakgdyby jasna pochodnia, mądrością, pobożnością i dobrym przykładem. W dobrach biskupich mnożył dochody, aby mu potem nie zbrakło funduszów na cele pożyteczne i wsparcia. Z posiadłości swych dziedzicznych darował dwie wsie opactwu jędrzejowskiemu, dwie inne klasztorowi pokrzywnickiemu. Ustanowił fundusz na dwie lampy wieczne dla katedry krakowskiej i kieleckiej, uposażając ostatni kościół jeszcze dziesięciu prebendami. Na urzędy kościelne dobierał ludzi cnotliwych i mądrych. Umiał też odrazu ocenić zasługi braci Odrowążów, Czesława i Jacka, późniejszych Świętych, z których pierwszego mianował kustoszem sandomierskim, drugiego powołał na kanonję krakowską.

Po dziesięciu latach niestrudzonej pracy na stolicy biskupiej, zajęty bezustannie myślą o sądzie Bożym i o wielkiej odpowiedzialności ciążącej na nim przed Bogiem, umyślił światły pasterz zrzec się godności i spędzić resztę życia w klasztorze.

Zamiary jego dojrzały wkrótce, spowodowane następującem zdarzeniem. W katedrę krakowską uderzył piorun i spalił wszystkie sprzęty kościelne, a pomiędzy niemi także bardzo cenne. Biskup uposażył wprawdzie znowu świątynię z własnej szkatuły i złożył znaczną sumę na utrzymanie katedry, lecz dręczył się odtąd ustawiczną obawą, że może Pan Bóg z powodu jego ułomności zesłał takie nieszczęście na kościół.

Za zezwoleniem papieża Honorjusza III złożył urząd i rozdał cały majątek ubogim. Odbywszy następnie u cystersów w Jędrzejowie w głębokiej pokorze rok nowicjatu, podczas którego ostrością życia przewyższał innych braci, złożył śluby zakonne.

Zdarzyło się raz, że podczas gdy wszyscy zakonnicy stawili się według zwyczaju w kościele na jutrzni odprawianej o północy, Wincenty, zatopiony w modlitwie i rozmyślaniach, zapomniał o nabożeństwie i pozostał u siebie. Nieobecność jego zauważył opat, a chcąc się przekonać, co się stało, wstąpił do celi, gdzie ujrzał Kadłubka na klęczkach w zachwyceniu, a światło nieziemskie okalało skroń Błogosławionego. Nikomu nic nie mówiąc, dziękował opat gorąco Panu Bogu i cieszył się w duchu, że tak świątobliwego męża posiada w zakonie.

Wincenty, przyszedłszy do siebie, zmiarkował z przestrachem, że już czas jutrzni minął.

Skruszony przyznał się opatowi do winy, który mu ją chętnie darował, wiedział bowiem, jaki to święty powód wstrzymał Kadłubka od przybycia.

W czasie wolnym od zajęć pisał błog. Wincenty książki i był pierwszym z Polaków, który w języku łacińskim ułożył historję narodu polskiego. Na zjeździe w Łęczycy r. 1179 przyczynił się swym wpływem do ogłoszenia ustaw, broniących Kościoła i ludu.

Przez pięć lat wiódł bogobojny zakonnik życie w murach klasztornych, umartwiając ciało biczowaniem i chodząc w włosiennicy.

Umarł 8 marca r. 1223. Opat jędrzejowski, Teodoryk, pochował zwłoki jego w biskupich szatach i wystawił mu piękny nagrobek.

Czterysta lat po śmierci wyjął Remigjan Koniecpolski, biskup chełmski, w obecności Piotra Gembickiego, administratora biskupstwa krakowskiego, za zezwoleniem papieża, szczątki święte z grobu, aby je przełożyć do ozdobnej trumienki i umieścić w marmurowym grobowcu. Liczne cuda, które zdarzały się przy grobie, spowodowały papieża Klemensa XIII do wyniesienia Wincentego r. 1764 w poczet Błogosławionych.

Niedaleko Karłowa, rodzinnej wioski Kadłubka, jest w lesie na wzgórzu prześliczne źródełko, z którego wypływa orzeźwiający strumień. Ze wzgórza tego jest wspaniały wi-

dok na leżący w dolinie Karłów. Tam to, jak niesie podanie, lubił siadywać Wincenty w pierwszych latach młodości, marząc o niebie i cnotach, zapomocą których do niego dojść można. Mieszkańcy okoliczni uważają wodę źródła za cudowną i obmywają się nią, rozpowiadając rozmaite szczegóły o błogosławionym biskupie, z tą miłością z jaką zwykle lud nasz przechowuje wszystkie wspomnienia o świętych Patronach, tych orędownikach Polski u tronu Przedwiecznego.

ŚW. JACEK ODROWĄŻ

(ur. r. 1185 † r. 1257).

Na rynku krakowskim, w obszernej kamienicy, ozdobionej herbem starożytnego rodu Odrowążów, panował ruch niezwykły. Służba uwijała się po sieniach, znosząc przybory podróżne, a liczne zastępy duchowieństwa i panów zdążały do komnat środkowych.

Biskup krakowski Iwon Odrowąż wybierał się do Rzymu w sprawach Kościoła w Polsce, a ponieważ była to w owych czasach podróż nielada, żegnali go wszyscy, jakgdyby nie mieli go już więcej zobaczyć.

W jednej z obszerniejszych izb zastawiono ciężkie dębowe stoły potrawami i napojami, a skoro srebrne rostruchany napełniły się starym miodem, zrobiło się rojno i gwarno. Obok biskupa zasiadło dwóch młodzieńców w kapłańskiem ubraniu. Oczy biesiadników bezustannie były na nich zwrócone; bo też było na co patrzeć, taki spokój, taka nieziemska błogość jaśniały z ich pięknych twarzy. Byli to rodzeni

bracia: Jacek i Czesław Odrowąże, synowcy Iwona.

Ukończywszy nauki w Paryżu i Bolonji, przyjęli z rąk stryja święcenia kapłańskie, a obecnie zabierał ich biskup z sobą do Rzymu.

Uczta pożegnalna miała się już ku końcowi, gdy wszedł do izby niemłody, barczysty szlachcic, wiodąc za sobą dwóch młodzieńców.

— Witajcie nam, panie Bartłomieju z Tarnowa! — rzekł biskup, wyciągając ku niemu rękę. — Straciliśmy już nadzieję zobaczenia ciebie przed wyruszeniem w podróż!

— Miałem ja zawsze złożyć moje pokorne służby Waszej Miłości! — odrzekł pan Bartłomiej — ale gdy przyszło do wyprawienia z domu tych młodzieńców, niemało było kłopotu z ich matką. Oddawna wprawdzie przeznaczyła ich do stanu duchownego, przecież nie łatwo jej przyszło rozłączyć się teraz z nimi. Zdaje mi się nawet, że wolałaby już była nie korzystać z łaski Waszej Miłości i widzieć ich raczej w Krakowie, jak w tej dalekiej podróży do nieznanego miasta. Skoro jej jednak przedstawiłem, ile światła spłynie na chłopców przez obcowanie z tylu zacnymi i uczonymi ludźmi, pogodziła się wkrótce z losem. Mamy zresztą jeszcze i czemś więcej się frasować, ja jako opiekun, ona jako matka, bo Przybysława z Podgórza musi w swem wdowieństwie oprócz

nich wychowywać jeszcze czworo dziatek na pożytek Bogu i ludziom.

— Powiedzcie jej, — rzekł biskup — że czuwać będziemy nad młodzieńcami, których nam powierza, aby się kształcili w bogobojności. Hermanie i Henryku! dodał zwracając się do braci, którzy ściskali jego kolana — od dzisiaj będziecie towarzyszami mych synowców!

Niespełna rok pozostał Iwon z całym swym orszakiem w Rzymie. Synowie Przybysławy z Podgórza kształcili się przez ten czas w naukach duchownych, a Jacek i Czesław towarzyszyli wszędzie stryjowi. Myślano już o powrocie do Polski, gdy rozeszła się wieść, że głośny wówczas Dominik de Guzman, mąż, który już za życia uchodził za świętego, zamierza przybyć do Rzymu, aby starać się u papieża o potwierdzenie założonego przez siebie zakonu kaznodziejskiego.

Jacek i Czesław chcieli koniecznie poznać świętego męża i uprosili biskupa, aby jeszcze czas jakiś pozostać w Rzymie.

Święty Dominik był mężem pełnym mądrości i posiadał wdzięczną i bardzo gorącą wymowę. Gdzie się tylko pojawił, znajdował mnóstwo uczniów, chętnych do naśladowania wielkiej jego doskonałości. Zaledwie pokazał się w wiecznem mieście, już musiał przyjąć kilkunastu braci do swego zakonu. Pomiędzy innymi wstąpili za pozwoleniem Iwona także

dwaj młodzieńcy, Herman i Henryk, którzy przybyli z biskupem do Rzymu.

Jacek i Czesław również pragnęli gorąco udać się ze św. Dominikiem w dalekie kraje, aby nawracać niewiernych, ale stryj sprzeciwiał się temu, chcąc ich mieć zawsze przy sobie. Mimo to nie tracili nadziei, że go zdołają przebłagać.

Wracając pewnego dnia wraz z biskupem z gościny od kardynała Apuleone do swej gospody, spotkali ludzi niosących zwłoki synowca jego, Stefana, jedynego syna pobożnej wdowy, który stracił życie wskutek upadku z konia. Tłum ludu, zwabiony nieszczęśliwem zajściem, towarzyszył smutnemu pochodowi. Nadbiegła wkrótce i zrozpaczona matka z gronem wiernych domowników. Nagle ukazała się na przeciwnym narożniku ulicy poważna postać męża w białym habicie. Długa biała broda spadała mu na pierś, oczy jego świeciły natchnieniem jak dwie gwiazdy w noc posępną.

— Zróbcie miejsce świątobliwemu Dominikowi! — wołano, rozstępując się przed nim z uszanowaniem.

Usłyszała słowa te nieszczęśliwa matka i padając na kolana, odezwała się głosem, w którym dźwięczało jakieś przeczucie prorocze:

— Mężu Boży, błagaj Pana, aby mi powrócił syna! On nie odmówi twej prośbie!

Zadrżał na to wezwanie starzec, jakby nie śmiał odważyć się na rzecz podobną, lecz po chwili, wzruszony widocznie rozpaczą kobiety, ukląkł i wzniósł ręce i oczy ku niebu.

Zrobiła się wielka, uroczysta cisza.

Przerwał ją nagle niezmierny okrzyk podziwu, pochodzący z tysiąca piersi. Zmarły młodzieniec powstał, jakby ze snu ciężkiego i rzucił się w objęcia matki, która padła zemdlona u nóg św. Dominika.

Po tem cudownem zdarzeniu nie bronił biskup krakowski dłużej synowcom wstąpić w ślady męża, obdarzonego najwidoczniej łaską nieba. Za dobroć swoją został też wkrótce wynagrodzony. Św. Dominik bowiem, wysyłając kaznodziejów w obce kraje, przeznaczył Jacka do Krakowa i dodał mu do pomocy Hermana, podczas gdy Czesława wraz z Henrykiem wyprawił do Pragi.

Jacek i Czesław równocześnie udali się na miejsca swego przeznaczenia, głosząc słowo Boże w krajach, przez które przechodzili. W Tyrolu znaleźli tylu zwolenników, że założyli tam klasztor swej reguły, pozostawiając wielu uczniów.

Mieszkańcy Krakowa powitali Jacka z radością i postawili z pieniędzy składkowych kościół i obszerny klasztor dla nowego zakonu. Jacek umieścił tu braci i został ich przełożonym, a doskonałość jego zajaśniała teraz naj-

żywszym blaskiem. Niezmordowany w pracy, naprzemian uczył się, modlił, kazał, słuchał spowiedzi i nawiedzał chorych. Tak wielką chował w sercu miłość ku bliźnim, że kiedy się zdarzało czasem, iż nie mógł nic uczynić dla ubogich, płakał nad nimi i polecał ich Bogu w serdecznej modlitwie. Pogrążony w umartwieniach i postach, nie miał wyznaczonego miejsca na spoczynek i gdzie znużony pracą upadł, przespał się, aby co rychlej wrócić do pracy. Niekiedy noce całe spędzał na modlitwie w kościele.

Przysposobiwszy w Krakowie godnych siebie współpracowników, wyruszył do Kijowa, chcąc i w tamtych stronach szerzyć z korzyścią naukę Chrystusową. Powiadają, że z powodu wezbrania Wisły, musiał przerwać swą wędrówkę, i nie znalazł się nikt, ktoby Jacka wraz z towarzyszami przeprawił łodzią przez wzburzone fale. Czyniąc znak krzyża świętego, powiódł wtenczas świątobliwy mąż wszystkich suchą nogą przez rzekę, ku zdumieniu licznie nad brzegiem zgromadzonego ludu.

Z niekłamaną radością przyjął wielki książę kijowski apostoła polskiego i dopomógł mu hojnie do zbudowania klasztoru dominikańskiego. Cztery lata zamieszkiwał w nim Jacek, nawracając koczujących w pobliżu Tatarów i rozkrzewiając gorliwie wiarę chrześcijańską w całej okolicy.

Bł. Czesław, zakonu św. Dominika.

(Nieśm. św.)

Z Kijowa udał się do Gdańska, gdzie założył klasztor, a nauką i bogobojnem życiem pobudził wielu ludzi do pobożności. Następne trzy lata przebywał w Sandomierzu w klasztorze swej reguły, wzniesionym przez Adelajdę, siostrę Leszka Białego, poczem wrócił do Krakowa. Ucieszyli się znów rodacy z jego przybycia, lecz radość ta krótko trwać miała, albowiem zbliżał się czas wypoczynku po pracowitym żywocie.

W wigilję Wniebowzięcia Matki Boskiej zwołał Jacek zakonników, mówiąc: „Jutro, najmilsi bracia, rozstanę się z wami!"

Przyjąwszy nazajutrz Sakramenta święte, oddał Bogu czystego ducha 16 sierpnia r. 1257.

Pobożny żywot i sława cudów sprawiły, że kanonizowany został przez papieża Klemensa VIII r. 1604.

BŁOG. CZESŁAW ODROWĄŻ

(ur. r. 1180 † r. 1242).

Czesław Odrowąż, rodzony brat świętego Jacka, wstąpił wraz z nim do zakonu kaznodziejskiego i przeznaczony został przez św. Dominika na apostolstwo do Czech.

Po rozłączeniu się z bratem w Tyrolu, poszedł wprost do Pragi. Wrzały tam wówczas krwawe walki religijne, a król czeski Otokar zamiast sprzyjać Kościołowi, popierał wichrzycieli. Biskup praski Andrzej witał w Czesławie zwiastującego pokój anioła, zesłanego z nieba.

Wkrótce też wymową swoją pojednał światły zakonnik króla z Kościołem i nawrócił wielu zbłąkanych. Do nowo wybudowanego dla siebie klasztoru przyjął stu kilkudziesięciu braci, pochodzących z najzacniejszych rodzin czeskich. Dwudziestu siedmiu z nich wysłał następnie do Bośni, aby nawracali tych Słowian, którzy przyjęli wiarę Mahometa.

Będąc jeszcze w Pradze założył Czesław klasztor panien dominikanek, do którego wstą-

piła pobożna córka arcyksięcia Leopolda, Małgorzata, wdowa po cesarzu Henryku.

Z Pragi udał się na Śląsk, do Wrocławia, witany z czcią przez ludność tamtejszą. Tutaj postawił klasztor i wyruszył do Morawji, Saksonji, na Pomorze i do Prus, niosąc wszędzie słowo Boże i nawołując do pokuty i świątobliwego życia mnóstwo niedbałych chrześcijan. W Prusach i na Pomorzu było jeszcze wielu pogan, których również do wiary św. nawrócił. Ufundowawszy we wszystkich tych krajach klasztory dominikańskie, wrócił do Wrocławia.

Podczas pobytu św. Jacka w Kijowie, wezwali zakonnicy krakowscy Czesława na prowincjała w miejsce brata. Posłuszny woli jenerała zakonu, przyjął Czesław tę godność, choć bardzo spracowany tęsknił do spokojnego zacisza. Po trzech latach, korzystając z przysługującego mu prawa, złożył urząd i osiadł we Wrocławiu, gdzie w samotnej celi oddał się rozmyślaniu i pokucie.

W roku 1241 napadli Tatarzy Śląsk, pokonali pod Lignicą wojska chrześcijańskie z Henrykiem Pobożnym na czele, i nadeszła chwila, w której przerażony lud położyć już miał głowę pod miecz niewiernych. Wtenczas wyszedł Czesław, natchniony przez Boga, na wały. Spostrzegłszy czerń okrutną, wdzierającą się bez oporu do miasta, ukląkł i wzniósł serce do nieba, błagając o łaskę dla nieszczęśliwego narodu.

Kula ognista — jak głosi podanie — miała się w chwili tej ukazać nad głową świątobliwego męża, a popędziwszy stąd nad obóz tatarski, wielkie w nim sprawiła zamieszanie. Rozprysnęła się wkońcu, wzniecając ogień wśród namiotów nieprzyjacielskich. Bezzwłocznie wypadli teraz oblężeni z miasta i pobili Tatarów na głowę.

O cudownem wybawieniu Wrocławia wspominają nietylko kroniki zakonne, lecz i opisy wiarogodnych pisarzy.

Czas jakiś żył jeszcze błog. Czesław w łasce u Boga i miłości u ludzi. Gdy nadeszła ostatnia jego godzina, rzekł: „Panie, Ciebie jednego pożądałem, przyjmij mnie do stóp tronu Twego". Umarł r. 1242, a ciało jego pochowano we Wrocławiu, gdzie wsławił się wielu łaskami wyjednanemi wiernemu ludowi. Papież Klemens XI policzył go r. 1713 w poczet Błogosławionych.

BŁOGOSŁAWIONA
BRONISŁAWA ODROWĄŻÓWNA

(ur. r. 1203 † r. 1259).

Szczególniej przez Boga umiłowana rodzina Odrowążów, dała Polsce prawie równocześnie w biskupie Iwonie światłego i o dobro Kościoła gorliwego pasterza, w synowcach jego, Jacku i Czesławie, wielkich patronów, a wreszcie w krewnej ich, Bronisławie, błogosławioną w niebie orędowniczkę.

Bronisława przyszła na świat r. 1203 w Kamieńcu, wiosce położonej w diecezji wrocławskiej. Ojcem jej był Stanisław Prandota, a matką Anna z domu Jaksów-Gryfów. Od lat najmłodszych garnęła się dzieweczka do Boga, a im była starszą, tem widoczniejszą stawała się jej rzadka doskonałość.

Wzgardziwszy w szesnastym roku życia uciechami świata, oddała się służbie Chrystusa. Idąc za głosem Bożym, przyjęła regułę norbertanek i osiadła w ich klasztorze na Zwierzyńcu pod Krakowem, wiodąc tam żywot pełen bogo-

bojności. Bronisława pałała gorącą, bo opartą na miłości Boga miłością bliźniego i pełniła nieraz dla dobra drugich rozliczne obowiązki, przechodzące siły słabego dziewczęcia.

Święty Jacek odwiedzał często klasztor zwierzyniecki. Z każdych takich odwiedzin odnosiła Bronisława wielką pociechę. Miłowała Jacka jak brata, oddając cześć jego doskonałości. Budowały słuchaczów ich rozmowy o życiu, które się ma rozpocząć w chwili śmierci ciała, o tym dniu bez końca, o światłości, której nigdy nie zakryją chmury, mroczące ziemski żywot upadłej ludzkości.

Zdarzyło się raz, że Bronisława, spędzając dłuższy czas na modlitwie, wpadła w zachwycenie, podczas którego dusza jej czuwała, a ciało było znieczulone. Strwożone siostry zaczęły przywoływać ją do życia.

— Powiedz nam, miła córko — zapytała ją, skoro przyszła do przytomności, przełożona, — czy nie czujesz się chorą, bo lica twoje pobladły?

— Nic mi nie jest, wielebna matko! — odparła Bronisława. — Miałam widzenie tak słodkie i miłe, że się dotąd czuję wzruszoną!

— Opowiedz nam, co widziałaś! — nalegały siostry.

— Nie wiem, czy podołam — mówiła Bronisława — gdyż niełatwo wyrazić martwem

słowem zachwycenie ducha, lecz stanie się zadość waszemu życzeniu.

Ujrzałem więc najpierw wielką jasność nad otwartem niby sklepieniem mej celi, a wśród tej jasności unosiły się chóry aniołów i śpiewały tak cudnie, że podobnych dźwięków nie usłyszy nikt na tym padole, a wiecznie za niemi będzie tęsknił ten, który je raz słyszał. Nagle ucichły pienia niebiańskie i czoła wszystkich duchów pochyliły się w pokorze. Wtenczas ujrzałam w błogim zachwycie, zstępującą Niepokalaną Marję. Wyciągała ramiona ku ziemi, skąd płynęła w górę, na falach obłoków, biała jakaś postać. Jakaż była moja radość, kiedy rozpoznałam w niej brata mego Jacka! Królowa niebios ujęła zbliżającego się do niej za rękę, a w jasnej przestrzeni zabrzmiały cicho, lecz dźwięczniej niż chóry aniołów, te słowa: „Pójdź, sługo mój wierny, odebrać przeznaczoną dla ciebie nagrodę". W tej chwili widzenie znikło.

Podczas gdy siostry zadumały się głęboko nad opowiadaniem Bronisławy, powstał w krużgankach jakiś niezwykły zgiełk. Jedna z zakonnic wybiegła, aby się dowiedzieć, co go spowodowało. Po chwili wróciła zalana łzami z smutną wiadomością, że Jacek Odrowąż zakończył życie doczesne. Wszystkie siostry wybuchnęły płaczem, jedna tylko Bronisława, chociaż najboleśniej dotknięta stratą, uśmiechała się jeszcze

błogo do swego widzenia, tak prędko urzeczywistnionego.

— O bracie mój — szeptała — więc już jesteś wiecznie szczęśliwym! Widzisz już wiekuistą prawdę w całym jej blasku i chwale! O módl się za nami, abyśmy, słabi pielgrzymi, stanęli wraz z tobą u kresu naszej podróży!

Niedługo potem połączyła się pełna zasług Bronisława z gronem aniołów, których śpiewy jeszcze za życia słyszała. Podanie ludowe głosi, że zasnęła w Panu 19 sierpnia r. 1259, modląc się na tak zwanym Sikorniku, wzgórzu, które po dziś dzień nosi nazwę kopca św. Bronisławy. Ciało jej przeniesiono do klasztoru zwierzynieckiego i pochowano przy ołtarzu św. Anny. Na górze zbudowały pobożne zakonnice kapliczkę, w której wierni wzywający pomocy świętej Orędowniczki, zawsze skutecznie jej doznawali. Wskutek licznych cudów i łask, jakiemi Pan Bóg Swą służebnicę wsławił, zaliczył papież Grzegorz XVI r. 1839 Bronisławę w poczet Błogosławionych. Uroczysty obrzęd beatyfikacji odbył się w Krakowie 2 września r. 1840.

Kościół podominikański w Wrocławiu, w którym spoczywają zwłoki bł. Czesława.

(Nieśm. św.)

BŁOG. SALOMEA Z ZAWICHOSTU

(ur. r. 1202 † r. 1268).

Było to w roku 1254. Mały oddział zbrojnych rycerzy, przedarłszy się przez dzikie wąwozy i zarośla, stanął pod murami zamku grodziskiego. Bladoczerwone promienie zachodzącego słońca spoczywały na okolicznych skałach i lasach. Niebo było czyste i spokojne, jak wejrzenie Bogu poślubionej dziewicy, powietrze wonne, jak kwiaty rozsiane po wzgórzach, wodospad cichym szmerem odzywał się wdali, słowem wszystko tchnęło tam jakąś smętną, uroczą poezją. Dowódca, zbliżywszy się do bramy zamku, przyłożył do ust srebrną trąbkę, aby z niej wydać głos, gdy nagle usłyszał śpiew wieczorny pobożnych niewiast. Dźwięczne ich głosy zlewały się harmonijnie w jedną boską melodję. Ponure oblicza wojowników rozjaśniły się powoli, rzekłbyś, że w duszy powtarzają święte słowa pieśni, bo kiedy ostatnie jej echo skonało w dolinie, stali jeszcze nieporuszeni w pobożnem zachwyceniu.

W obszernej komnacie zamkowej naszywało kilka młodych dziewcząt złotem i perłami jedną z tych pięknych ozdób kościelnych, które jeszcze dzisiaj w niektórych skarbcach podziwiać można. Wśród nich siedziała pochylona również nad cudną tkaniną kobieta nie młoda, lecz piękna jeszcze tą pięknością ducha, której śladów czas nie zaciera. Włosy jej przeglądały z pod wdowiej zasłony. Na czarnej wełnianej szacie świecił krzyż złoty, nasadzany rubinami, niby jasny promień wiary wśród ciemnej nocy żywota. W całej jej postaci była jakaś uroczysta powaga, jakaś niebiańska słodycz i rzewna tęsknota. Kiedy podniosła oczy ku niebu, zdawało się, że to anioł wygnany błaga o prędki powrót do swej ojczyzny.

Była to pobożna Salomea, córka króla polskiego Leszka Białego i Grzymisławy, księżniczki ruskiej, a wdowa po Kolomanie, królu halickim, którą później Kościół wojujący na ziemi, w liczbie triumfujących w niebie umieścił. Po śmierci męża wiodła ona z kilku dobranemi towarzyszkami pustelnicze życie w Grodzisku, zanim za jej staraniem wzniesiono w Zawichoście klasztor św. Klary, której regułę zakonną następnie przyjęła.

Zaskrzypiały zlekka drzwi komnaty i weszła Joanna z Pieskowej Skały, ulubiona królowej towarzyszka. Joanna była córką rycerza Szafrańca, poległego w krwawej bitwie z Ta-

tarami, przy boku Henryka, księcia wrocławskiego. Matka Joanny, wychowana razem z Salomeą, powierzyła jej, umierając, jedyne swe dziecię, a królowa halicka zlała na wychowankę cząstkę owego skarbu miłości, którego Pan Bóg tak hojnie jej sercu udzielił.

Dzieweczka przyszła oznajmić królowej przybycie zbrojnego oddziału pod wodzą Sulisława z Ruszczy. Uśmiech radosny rozjaśnił na tę wiadomość blade lica Salomei.

— O, jak pomyślną nowinę zwiastujesz mi, droga moja Joanno! Powiedz Sulisławowi, że rada go powitam w mej pustelni, niech wejdzie!

Wkrótce zgiął sędziwy wojownik w milczeniu kolano przed królową i z rozrzewnieniem całował jej rękę.

— Witaj mi, o pani! — wyrzekł — dzień, w którym cię znów ujrzałem, niech będzie stokroć błogosławiony!

— I dla mnie niemniej on radosny, mój wierny przyjacielu. Lecz cóż cię może sprowadzać z Krakowa, od boku króla, któremu przewodniczysz w radzie, w te odludne miejsca?

— Rozkaz króla Bolesława, w którego imieniu przychodzę błagać cię, pani, abyś według danej mu niegdyś obietnicy, była świadkiem jego zaślubin. Sądzi bowiem, wraz z narzeczoną swą, bogobojną królewną Kunegundą, że twoja obecność w tak uroczystej chwili zjedna im błogosławieństwo niebios.

— Dzięki niech będą Bogu, że król i pan mój nie zapomina o siostrze, która jego i przeznaczoną mu małżonkę oddawna tkliwie ukochała. Oby niegodne modły moje za ich szczęście zostały wysłuchane! — odparła Salomea i umilkła wzruszona.

Po chwili zauważył Sulisław Joannę.

— Czy dzieweczka ta nie jest Joanną ze Skały, córką mego mężnego towarzysza broni? — zapytał królowę.

— Tak jest! — odparła z uśmiechem Salomea. Dziwisz się pewno, że ta wątła roślinka tak szybko w bujny wyrosła krzew? Jest obecnie moją najdroższą i nieodstępną towarzyszką. Pragnęłabym, aby pod opieką której z naszych niewiast brała udział w uroczystościach godowych.

— Wszak przeznaczyłaś ją pani do zakonu?

— I dzisiaj zdaje mi się jeszcze, że Bóg w swem miłosierdziu dozwolił, aby dusza Joanny była echem mej duszy. Wraz ze mną tęskni do Boskiego Oblubieńca. Liczy ona dopiero lat szesnaście, a serce młodej dzieweczki, dla której nie zaczęły się jeszcze próby i cierpienia życia, tak jest pełne uczuć najczystszych, dusza tak się lubi odrywać od ziemi w rajskich marzeniach, że trzeba jej dać koniecznie skosztować kielicha uciech ziemskich i goryczy, aby jak kwiat rozwinęła się i we właściwej sobie

ukazała się postaci. Wtenczas dopiero poznamy, jaka cząstka najlepsza dla niej będzie.

Joanna z uczuciem pocałowała rękę królowej, a Sulisław poważnem skinieniem głowy dał poznać, że podziela jej zdanie.

Gwarno i ludno było w Krakowie. Tłumy mieszczan, szlachty i możnych panów zalegały ulice. Wszyscy śpieszyli do zamku, jedni, aby się przyjrzeć zdaleka okazałościom godów królewskich, drudzy aby być ich uczestnikami.

Po ślubie brata udała się Salomea niebawem do swej komnaty.

Czemuż piękna jej wychowanka nie dzieli uciech swych towarzyszek, tylko zdala spogląda na ich zabawy? Czyż serce dziewczęcia tak oderwane od świata, że nic już dlań nie ma powabu? Przeciwnie! Młoda dusza uśmiecha się do szczęścia ziemskiego, jak pączek róży do wschodzącego słońca, niebaczny, że świetną tarczę wkrótce może czarne zasłonią chmury! Myśli Joanny na chwilę tylko odbiegły od zabawy, ponieważ nadeszła godzina wieczorna, w której przywykła modlić się wraz z świętą swą opiekunką. Opuściwszy więc towarzyszki, upatruje przejścia z komnat zamkowych do kościoła. Znalazła je wreszcie i za chwilę klęczała przed wizerunkiem Zbawiciela.

Przybytek Pański gorzał jeszcze tysiącem świateł, bo niedawno opuścił go orszak godowy. Przy jednym z bocznych ołtarzy modlił się

młody rycerz. Twarz jego była smutna, a prośba zasyłana ku niebu zbiegła się przed tronem Przedwiecznego z modlitwą Joanny.

Wyszli równocześnie z świątyni i powrócili do zamku. Dopiero tutaj zbliżył się Jaśko do dziewczęcia, pytając nieśmiało:

— Zdaje mi się, że was uciska smutek równy mojemu, skoro uciekliście od rówieśnic waszych do kościoła?

— O nie! — odparła Joanna — dziękowałam Panu Bogu za szczęście, gdyż opiekunka moja tak mi zastępuje rodziców, że nigdy nie odczułam jeszcze goryczy sieroctwa!

— Jeżeli tak, to zaprawdę szczęśliwą zwać się możecie, jak każdy, kto nie jest opuszczony i samotny, — rzekł młodzieniec z boleścią w głosie.

— Nikogo więc nie macie na świecie? — zagadnęła z współczuciem Joanna.

— Nikogo! — odrzekł smutnie. — Zbyt długą byłaby opowieść mej niedoli, lecz dość na tem, że nie zaznałem matki, a obecnie straciłem ukochanego ojca.

Po raz pierwszy przemówił dzisiaj Jaśko z Niegoszowa do Joanny, a jej się zdawało, że dawno już zna pięknego rycerza i że głos jego kiedyś słyszała.

Minęło kilkanaście dni od zaślubin królewskich, a komnaty na zamku krakowskim zamieszkiwała wciąż jeszcze królowa halicka

wraz z swą wychowanką. Mówiono, że Salomea polubiła bardzo królowę Kunegundę, w której zapewne duchem proroczym odgadła przyszłą doskonałość, przedewszystkiem jednak poświęcała dla Joanny, o czem jeden tylko Sulisław wiedział, ulubioną swą samotność.

Jaśko z Niegoszowa, pozyskawszy wzajemność dzieweczki, poprosił o jej rękę. Był on i dzielnym rycerzem i cnotliwym młodzieńcem, lecz w owych czasach wierzono, że Pan Bóg błogosławi lub odbiera swą opiekę młodemu pokoleniu według zasług lub przestępstw rodziców, a ojciec Jaśka zginął gwałtowną śmiercią. Zachodziło więc pytanie, czy złym czynem nie pobudził swego zabójcy do tak krwawej zemsty. Jaśko przybył właśnie z tego powodu do Krakowa, aby królowi przedłożyć sprawę do osądzenia. Nie schwytano dotąd zbrodniarza, tylko starzy słudzy poznali, że był nim Zaklika, ubogi szlachcic a wychowanek zamordowanego Marcina z Niegoszowa.

Porzucił on strzechę, pod którą od dzieciństwa litościwej doznawał opieki i przyłączył się do zgrai opryszków rabujących zamki i sioła pod dowództwem osławionego wówczas Jednookiego.

Po dokonanej zbrodni odgrażał się jeszcze, że i syn nieszczęśliwej ofiary nie ujdzie jego ręki. Sądzono zatem, że krzywda ludzka musiała odgrywać rolę w tem zajściu. Dziedzica

tej krzywdy mogło wprawdzie ominąć mordercze żelazo, lecz nigdy sprawiedliwość Boża, ponieważ prędzej czy później dosięgnąć ona musi.

W dniu, w którym rozpatrywać miał skargę Jaśka na sądzie królewskim, pocieszał Sulisław w obecności królowej Salomei stroskaną Joannę, mówiąc, że chodzą pewne wieści, jakoby chciwość tylko powodowała Zakliką.

— Tem bardziej — podchwyciła dzieweczka, — że Jaśko, wróciwszy z dalekiej podróży od krewnych, zastał obok martwych zwłok ojca, zamek pradziadów doszczętnie zrabowany.

— Idę teraz na sądy — rzekł, powstając, Sulisław — da Bóg, niezadługo uwiadomię was o ich wyniku, tymczasem nie trać nadziei szczęścia, Joanno!

— Szczęścia! — zawołała, ocknąwszy się z głębokiej zadumy Salomea — a czemże jest szczęście tutaj na ziemi? Marą, za którą człowiek całe życie goni, a jeżeli na chwilę ją dosięgnie, to dlatego tylko, aby mógł odpocząć w biegu. Gdy bowiem w radosnem uniesieniu sądzi, że ją zatrzyma na zawsze, wymyka się mu i pierzcha dalej. On zaś pada przygnieciony do ziemi ogromem rozpaczy, która jak wąż, tysiącem pierścieni obwija jego serce, a opuszcza je wtedy tylko, gdy zostanie odepchnięta wzniesieniem ducha do źródła wiekuistej miłości.

— Czyż nie jestem twą wychowanką, pani, abym z męstwem i pokorą nie umiała znieść

nieszczęścia? — rzekła Joanna, ściskając kolana królowej.

W zwaliskach opustoszałego domu na odludnem przedmieściu Krakowa umieściło się dwóch przybyszów. Wytarte ich suknie zdradzały biedaków, żyjących z jałmużny. W nocy tylko opuszczali swe schronienie. Za dnia pozostawał zawsze jeden z nich, oczekując niecierpliwie powrotu towarzysza. I teraz przechadzał się niespokojnie po izbie zawalonej gruzem. Szare błyszczące oczy i gwałtowne ruchy robiły go podobnym do dzikiego zwierza, zamkniętego w klatce.

— No cóż, Hurku, co za wieści mi przynosisz? — zapytał porywczo wchodzącego właśnie wspólnika.

— Dajcież mi spocząć — odrzekł z gniewem zagadnięty — od czasu, jak z rozkazu Jednookiego zostaję na waszych usługach, nie mam chwili wytchnienia a nie wiem nawet, jaka mnie czeka zapłata za moje trudy!

— Ty tylko o zapłacie zawsze myślisz! Czy mało złota, srebra i drogich kamieni nabrałeś z zamku niegoszowskiego, zanim go spaliliście?

— Prawda, panie Zakliko! — rzekł udobruchany opryszek — ale teraz doprawdy nie wiem, na co się nam przydadzą wiadomości o każdym kroku tego młodego rycerza? Przecież on nie nosi przy sobie skarbów?

— Kto wie, — może — odrzekł ponuro Zaklika. — Lecz widzę, że nie nadajesz się na szpiega. Trzeba mi będzie chyba samemu wyjść z ukrycia i narazić się na niebezpieczeństwo utraty wolności.

— A jednak nie tak źle wam służę, jak sądzicie, dowiedziałem się bowiem kilku ważnych dla was szczegółów. Sam król rozpatrywał wczoraj sprawę waszą i wydał wyrok potępiający zabójcę Marcina z Niegoszowa. Świadkowie zeznali, że nieboszczyk nigdy wychowanka swego nie skrzywdził i najlepiej się z nim obchodził.

— Taka to sprawiedliwość ludzka! — krzyknął Zaklika — nie wiedzą nic, a potępiają! Ha! widzę, że i po za grobem krwawe widmo jego nie da mi spoczynku! Lecz zanim na zawsze opuściłem dom ten przeklęty, czyż nie prosiłem o publiczne wynagrodzenie mej krzywdy? Nie chciał tego uczynić w obawie przed zniesławieniem swego nazwiska! Biedny, wzgardzony sierota, czy mogłem szukać po sądach kary na możnego pana?

Hurko tak już był przywykł do wybuchów gniewu swego towarzysza, że usiadł na kamieniu i spokojnie zaczął jeść kawałek wędliny, wydobytej z torby podróżnej.

— I jeszcze nie wszystko wam powiedziałem! — odezwał się po chwili. — Otóż uradzili na zamku, że dopuściliście się zbrodni przez

chciwość, zagarniając skarby dawnego pana. Król, chcąc wynagrodzić ich stratę Jaśkowi z Niegoszowa, przyrzekł mu rękę i bogate wiano dziedziczki Pieskowej Skały, — a was skazał na gardło — dodał z szyderczym uśmiechem.

— Czy tak? Więc syn Marcina z Niegoszowa żyć będzie szczęśliwy i szanowany, podczas gdy ja, niby zwierz leśny, tułać się będę w ukryciu i nędzy po świecie?

— Nałożono nawet cenę na waszą głowę — mówił dalej Hurko — i jeżeli Jaśko dostanie was w swoje ręce...

— Niech mi wpierw spłaci winy ojca! — zawołał Zaklika. — Nienawidziłem go od najwcześniejszej młodości za niedoznane nigdy szczęście, którego on używał pod rodzinną strzechą. O! ten pergamin! — dodał wydobywając z zanadrza zżółkły zwitek — tak, jak do piersi ojca, tak też do serca syna poprowadzi moje żelazo! Lecz czy słyszałeś może, kiedy się mają odbyć gody weselne? — gdyż za wszelką cenę muszę im przeszkodzić.

— Pojutrze Jaśko wraz z Sulisławem z Ruszczy towarzyszą królowej Salomei i jej wychowance do Grodziska. Tam to zapewne...

— Pojutrze! — przerwał mu Zaklika — pojutrze! Zaledwie mamy czas połączyć się z Jednookim i jego zgrają!

Malowniczą doliną, otoczoną lasami i skałami, z której już widać było wieże Grodziska,

śpieszył mały orszak podróżnych. Na czele postępował Sulisław wraz z królową, za nimi Jaśko i Joanna. Podczas całej drogi starała się dzieweczka natchnąć duszę Jaśka uczuciami przebaczenia dla nieszczęśliwego Zakliki, mówiąc:

— Król pozwolił wam szukać go i ukarać; czy możecie lepiej użyć tej władzy, jak oddając ją w ręce Boga? Ojciec wasz już mu odpuścił, bo czyżby inaczej mógł wejść do królestwa wiekuistej chwały?

— O, jak słodko płyną słowa twoje do mej duszy, Joanno! Powiedz jeszcze, że szczęście nasze nie byłoby tak czyste, gdyby uczucie zemsty zamieszkało w mem sercu!

Tak rozmawiając, wstąpili w gęste zarośla, przez które wyprzedził ich już Sulisław z królową. Umilkli pod cieniem drzew wyniosłych, marząc o przyszłości.

Naraz dał się słyszeć świst przeraźliwy, a zanim Jaśko i dworzanie zdążyli chwycić za broń, zostali otoczeni zgrają opryszków i pozrzucani z koni.

— I cóż! — krzyczał szyderczo Zaklika — dostaliście się bez sądu i króla w moje ręce! Joanna ze Skały ślubować mi musi wiarę, podczas gdy nad martwem ciałem Jaśka z Niegoszowa zabawiać się będą kruki!

— Czego żądasz od nas, krwi chciwy człowieku? — zawołał z oburzeniem Jaśko. — Cóż

ci zawinił nieszczęśliwy mój ojciec? — dodał z boleścią.

— Co mi zawinił? — odparł uniesiony wściekłością Zaklika — dowiedzą się o tem ci, którzy nad zwłokami twemi litować się będą!

I wdarłszy się z chyżością jelenia na pagórek, gdzie dąb młodociany panował nad krzewami, przybił do kory jego ostrzem żelaza zżółkły pergamin, a potem biegł prosto do Jaśka.

— Stój! — odezwał się w tej chwili głos uroczysty i dźwięczny, jak chór aniołów. — Stój! Pomsta należy do Boga!

I zdziwiony Zaklika ujrzał nagle przed sobą niewiastę nadziemskiej urody. Na jej czarnej szacie błyszczał krzyż złoty, jasne godło zbawienia, a światłość niebiańska okalała jej skronie. Słodka nadzieja wstąpiła w serca Jaśka i Joanny, bo poznali, że na ich ratunek przybyła święta królowa.

Ona zaś kończyła rozpoczęte dzieło i natchniona od Boga, który nigdy nie chce zguby grzesznika, łagodnemi słowy opowiadała opryszkom wielkość i miłosierdzie Pana, ohydę zbrodni, moc żalu i pokuty. Ku zdumieniu obecnych rozpłakali się zbójcy, a padłszy na kolana ślubowali porzucić złe życie. Zaklika najpierwszy, tarzając się w prochu u nóg Salomei, poprzysiągł przebaczenie urazy. Kiedy święta kró-

lowa, wzniósłszy oczy ku niebu, dziękowała Bogu za doznany cud, nawróceni grzesznicy przepadli w zaroślach.

Lecz cóż zawierał ów pergamin, zostawiony przez Zaklikę?

Smutna to była opowieść umierającego starca, spisana przez spowiednika.

Oto jej brzmienie:

„Ja Wojciech z Zamiechowa, czując się bliskim zgonu, wyznaję przed Bogiem i przed ludźmi, że dopuściłem się ciężkiej zbrodni. Bóg mnie już za nią ukarał srodze w tem życiu, oby w przyszłem zmiłować się nade mną raczył! Gdy w czasie małoletności miłościwego króla naszego Bolesława, Tatarzy ogniem i mieczem pustoszyli nasze zagony, niejeden napadnięty znienacka, bez środków obrony, uchodził z mieniem i dobytkiem w niedostępne knieje. W owych to smutnych czasach, ja i dwaj sąsiedzi: Jan Zaklika i Marcin z Niegoszowa, ukryliśmy się z żonami i dziećmi. Zaklika miał przy sobie tylko dwuletniego synka, którego matka w kolebce odumarła. Codziennie wychodził jeden z nas na zwiady, drudzy czekali z upragnieniem wieści, rychło będą mogli opuścić kryjówkę. Zkolei wyszedł pewnego dnia Zaklika i powrócił blady, skrwawiony, umierający. Dziki Tatarzyn ranił go zatrutą strzałą. Czując się bliskim śmierci, powierzył nam chłopca i skrzynię mieszczącą całe jego mienie. Wkrótce po-

tem zakończył na rękach naszych życie. Nie mieliśmy żadnych świadków ostatnich chwil jego, oprócz Boga i sumienia, ale Bóg dla dusz występnych daleko, a i głos sumienia one przytłumić umieją. Tak się też stało z nami. Początkowo walczyliśmy ze złemi myślami, ale po wyjściu na świat, widok zniszczonych zbiorów, spalonych stodół, i ograbionych dworów naszych zagłuszył w nas resztę uczucia i podzieliliśmy dziedzictwo sieroty między siebie. Marcin z Niegoszowa podjął się niby z litości wychować małego Zaklikę. Dwadzieścia lat minęło od tej chwili. Źle nabyte pieniądze nie dawały mi spokoju i poszły wszystkie, jak przyszły. Śmierć nawiedzała dach mój, zabierając mi żonę i najukochańsze dzieci. Dziś jestem bez schronienia i sposobu do życia. Szczęście, że Pan Bóg, litując się nad moją niedolą, zsyła mi śmierć. Uprosiłem jednego z dawnych sług moich, aby gdy zamknę oczy, oddał pismo to młodemu Zaklice. Oby mi przebaczył! Oby wspólnik mej zbrodni, Marcin z Niegoszowa, wynagrodził mu wyrządzoną ciężką krzywdę, gdy ja tylko łzy i cierpienia ofiarować mogę, jako zadośćuczynienie mej winy".

Kiedy Sulisław głośno odczytał to pismo, ślubował strapiony Jaśko powrócić Zaklice wydarte mienie i odbyć pielgrzymkę do grobu Zbawiciela, aby w świętem miejscu uprosić spokój dla duszy ojca, a dla siebie błogosławień-

stwo nieba. Sulisław i królowa pochwalili jego zamiary, a w zalanych łzami oczach Joanny wyczytał, że mu wierne zachowa serce. Niebawem opuścił Grodzisk z kijem pielgrzymim. Trzy lata zeszły Joannie we łzach i na modlitwie, gdy pewnego poranku znużony wędrowiec ukazał się na pagórku i spoczął pod dębem. Serce dziewczęcia przeczuło ukochanego, bo zbiegła ku niemu i za chwilę Jaśko witał z upragnieniem swoją Joannę. Zwiedził on Ziemię świętą, na której cierpiał, kochał i umierał Zbawiciel, był i w Rzymie, lecz nie zrzucił z serca żałoby, bo nie spotkał nigdzie Zakliki. Jak kamień ciężyło mu bezustannie dziedzictwo zabrane sierocie.

Zaklika tymczasem, porzuciwszy nawróconych opryszków, udał się również do grobu Chrystusa, aby tam szukać przebaczenia za popełnione zabójstwo. Powracał do ojczyzny, umocniony na duszy, lecz schorzały na ciele. Jedynem jego gorącem pragnieniem było ujrzeć raz jeszcze świętą, która mu wskazała drogę do nieba, i modlił się serdecznie, żeby mu Stwórca pozwolił dokonać życia pod jej dachem.

Wysłuchał Pan Bóg modlitwy nawróconego grzesznika. Dobywając reszty sił, stanął Zaklika przed murami Grodziska, lecz zemdlał, zanim przestąpił gościnne progi zamku. Kiedy oprzytomniał, ujrzał liczne grono niewiast wkoło siebie. Jedna z nich zbliżyła się, a promień jasności

okalający jej czoło, oświecił promieniem łaski twarz umierającego, który w błogim zachwycie poznał świętą królowę.

Jaśko z Niegoszowa i Joanna z Pieskowej Skały, połączeni świętym węzłem małżeńskim, żyli długie lata, odznaczając się pobożnością i cnotami chrześcijańskiemi. Z pozostałości po Marcinie z Niegoszowa nie zużyli dla siebie ani grosza. Połowę rozdali biednym, a resztę przeznaczyli na budowę klasztoru pp. klarysek w Zawichoście, gdzie później zamieszkała królowa Salomea wraz z towarzyszkami, jako przełożona zakonu.

Raz tylko była zmuszona opuścić Zawichost i schronić się na czas jakiś do Krakowa. Widocznie chciał ją Pan Bóg dłużej zachować przy życiu ku swej chwale i pożytkowi drugich. Było to r. 1260, gdy chciwa krwi dzicz tatarska napadła klasztor, zniszczyła go doszczętnie i wymordowała zakonnice. Sześćdziesiąt dziewic poniosło wtenczas z rąk niewiernych śmierć męczeńską. Imiona ich zapisane są ku wiecznej pamięci w archiwach klasztornych. Ciężko dotknięta królowa, zabierając resztę rozpierzchłych sióstr, wróciła do Grodziska. Tutaj żyła jeszcze lat siedm i oddała duszę czystą Zbawicielowi 17 listopada r. 1268.

Bolesław Wstydliwy wraz z małżonką swą Kunegundą sami odprowadzili święte zwłoki do Krakowa. Towarzyszył im liczny orszak ducho-

wieństwa i tłumy ludu, opłakując w zmarłej księżniczce polskiej i królowej halickiej matkę ubogich i strapionych.

Ciało Salomei spoczywa w kościele oo. franciszkanów, a cześć oddawaną jej potwierdził papież Klemens X, zaliczając ją w poczet Błogosławionych.

ŚW. KUNEGUNDA

(ur. r. 1224 † r. 1292).

Bolesław Wstydliwy liczył dopiero lat ośmnaście, kiedy r. 1239 najmożniejsi panowie polscy wyjechali w poselstwie do Węgier, aby prosić króla Belę IV o najstarszą córkę Kunegundę czyli Kingę, dla swego władcy na małżonkę. Wrócili wkrótce z za gór, wioząc z sobą smukłą, pełną wdzięku, piętnastoletnią oblubienicę. Zewsząd zbiegali się do Krakowa ciekawi, aby podziwiać niezwykłą urodę księżniczki. Skromne wejrzenie Kunegundy zapowiadało jej przyszły świątobliwy żywot i jednało serca wszystkich bogobojnych ludzi.

Już od pierwszych lat życia okazywała dzieweczka zadziwiającą pobożność i w szczególniejszy sposób polubiła nabożeństwo kościelne, stosując nauki wypowiadane w kazaniach do swoich postępków. Nie dziw więc, że przybycie księżniczki było błogosławieństwem dla Polski, nad którą właśnie groźne zawisło niebezpieczeństwo. Od wschodu nacierała

dzicz tatarska. Ponieważ pogłoski o zbliżaniu się hordy krążyły już od lat kilku po kraju, mówiono wszędzie z trwogą o okrucieństwach tych pogan i uważano ich nawet za ludożerców. Pierwsze zastępy strasznych wojowników ukazały się niebawem pod Kijowem. „Od rżenia rumaków, ryku wielbłądów, skrzypu teleg (wozów) tatarskich nie można było dosłyszeć słowa ludzkiego", powiada kronika ruska.

Za znaczny posag Kingi, pilnie dotąd strzeżony w skarbcu krakowskim, zebrano roty najemnego żołnierza, które wraz z rycerstwem polskiem wyruszyły na spotkanie wroga. Wtenczas przepowiedziała Kunegunda Bolesławowi zwycięstwo, według widzenia, jakie miała podczas modlitwy o pomyślność oręża polskiego.

Plaga tatarska rozlała się jednak, jak powódź niepowstrzymana, po całym kraju, grożąc nawet stolicy, wskutek czego opuściła księżniczka Polskę i udała się wraz z matką męża, Grzymisławą, do ojca swego na Węgry. Podanie niesie, że kiedy król Bela obwoził wówczas córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego państwa, skierowano się między innemi ku Karpatom, w kraj małoruski, rozciągający się wzdłuż południowych granic Pokucia. Ojciec chciał ucieszyć miłego gościa widokiem, podejmowanej w kopalniach soli, pracy górniczej. W jednej z żup zatrzymał się tedy dwór królewski, a niezwykły obraz krzątających się

w podziemiach ludzi, zajął widocznie bardzo młodą księżniczkę. Żywe przywiązanie do kraju po tamtej stronie gór poddało jej myśl, czemu i ta nowa jej ojczyzna nie posiada tak pożądanego błogosławieństwa niebios. Na usilne prośby darował Bela córce żupę soli. Biorąc ją w posiadanie, zdjęła Kunegunda ówczesnym obyczajem złotą obrączkę z palca i rzuciła ją w otwór szybu. Po powrocie do Polski kazała kopać w oznaczonem przez siebie miejscu, gdzie też napotkano w znacznej głębokości obfite pokłady soli. W jednej z brył znajdował się pierścień Kingi. Miał to być początek sławnych kopalń soli w Wieliczce. W rzeczy samej przyczyniła się Kunegunda do ich rozwoju, sprowadzając doświadczonych górników z Węgier do Polski.

Zdala od gwaru i uciech światowych wiodła Kinga przez lat czterdzieści życie pełne umartwień i poświęcenia dla bliźnich, lekceważąc dostojność i urodę swoją. Szpeciła sobie umyślnie twarz, aby nie wzbudzać płochych myśli i niedorzecznych pochwał. Całemi dniami zajmowała się szyciem szat kościelnych i odzieży dla ubogich.

Za jej wpływem przyśpieszono również kanonizację św. Stanisława, biskupa. Po wyjęciu kości Świętego z grobu sama je obmyła, całując pokornie święte szczątki.

Klasztor dla zakonnic reguły św. Klary, który miał jeszcze za życia męża stanąć w Starym Sączu, postawiła dopiero w czasie wdowieństwa, przeznaczając na ten cel wszystkie swoje dochody oraz sto wsi z własnych posiadłości.

Leszek Czarny, następca Bolesława Wstydliwego, odmawiał jakiś czas Kunegundzie prawa do rozporządzania ziemią sądecką, darowaną jej jeszcze przez męża, lecz bogobojna niewiasta pokonała wszystkie trudności i wzniosła, ze względu na niepokoje, budynek warowny, który do dziś dnia zachwyca zwiedzających Stary Sącz swą piękną wieżą i wspaniałą architekturą. Zgromadziwszy tutaj liczne zakonnice z najmożniejszych rodzin, sama wśród nich pełniła najlichsze posługi i zajaśniała w całej pełni cnotami wysokiej doskonałości. Czując się bliską zgonu, pomnożyła biczowania i umartwienia, spędzając noce całe na modlitwie i rozpamiętywaniu.

Dokonała błogosławionego żywota 24 lipca r. 1292, otoczona siedmdziesięciu siostrami. Zwłoki Świętej spoczywają w Starym Sączu. Na każdem nieomal miejscu żyje tam dotychczas jej pamięć. Tu ślad stopy na skale wyryty wśród drogi, którą uciekała wraz z zakonnicami, chroniąc się przed napaścią tatarską z nieukończonego jeszcze klasztoru, na zamek w Pieninach. Tam święta zaszczepiła różdżkę lipową

w grunt jałowy, a wnet wyrosły gaje zapełnione pszczołami. W innem znów miejscu jest strumień zwany Przesiecznicą, sprowadzony cudownym sposobem w okolicę zupełnie wody pozbawioną.

Nad grobem św. Kunegundy, w kaplicy jej poświęconej, wystawił kardynał Radziwiłł wspaniały ołtarz, w którym po dziś dzień pokazują za szkłem relikwje Świętej złożone przez Bernarda Maciejowskiego. Widzieć można także w klasztorze celę przez nią zamieszkiwaną, oraz kubek i inne naczynia, których używała za życia. Przechowują tam również rękopis Długosza z jego podpisem, opowiadający żywot św. Kunegundy.

Papież Aleksander VIII policzył ją r. 1690 w poczet Świętych.

BŁOG. JOLENTA

(ur. r. 1239 † r. 1298).

Przez blisko pięć wieków gromadzili się dwa razy do roku pątnicy z całej Polski u grobu bł. Jolenty w Gnieźnie, doznając za przyczyną Błogosławionej rozlicznych łask. Ustały pobożne pielgrzymki, ścichły modlitwy i śpiewy przy trumnie błog. Orędowniczki, opustoszała kaplica w kościele pofranciszkańskim, z ołtarzem kryjącym drogie szczątki wielkiej Patronki Wielkopolski. Stało się to niezawodnie przez zaniechanie tradycji wskutek wymarcia zakonnic, które strzegły jej grobu.

Jolenta, siostra św. Kunegundy, urodziła się r. 1239 jako córka króla węgierskiego Beli IV i Marji Laskaris, z rodu cesarzy konstantynopolitańskich. Bogobojni rodzice, ofiarując dziecinę Bogu, ustawili kołyskę w komnacie, w której się odprawiała codziennie msza święta, aby niemowlę wzrastało pod ustawicznem błogosławieństwem Zbawiciela. Gdy dzieweczka skończyła pięć lat, oddano ją, z obawy

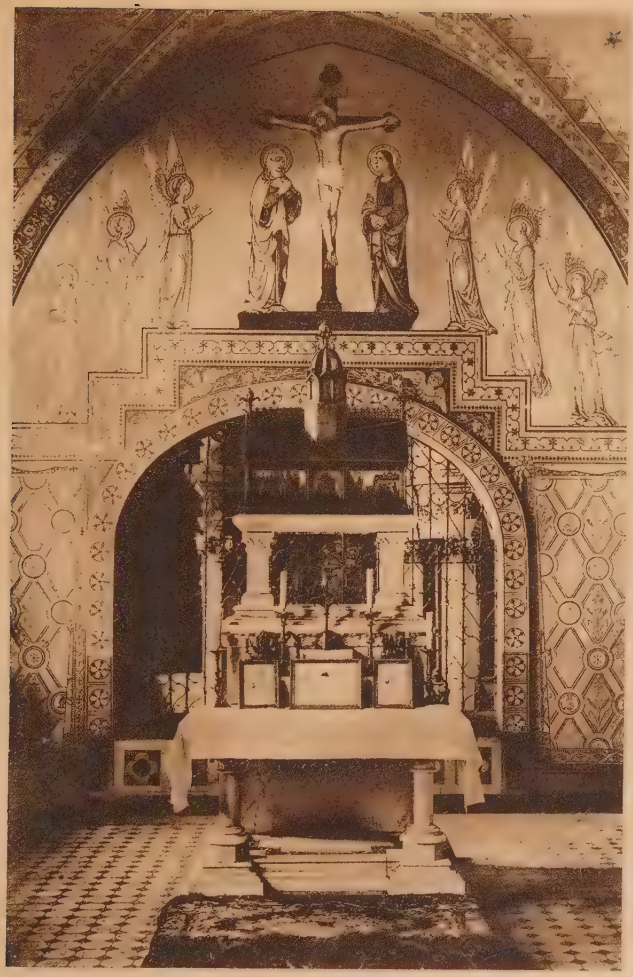

Kaplica błog. Jolenty w kościele pofranciszkańskim w Gnieźnie.

(Nieśm. św.)

przed zepsuciem na dworze królewskim, pod opiekę św. Kunegundy, której imię nietylko w Polsce, ale i po za jej granicami wówczas już było głośne.

Pod okiem świątobliwej siostry odznaczyła się Jolenta wkrótce wielu cnotami i śmiało rzec można, że zawdzięczała Kunegundzie nietylko staranne wychowanie, ale nadto i chwałę swą niebieską. Skończywszy lat siedmnaście uchodziła za wzór doskonałości. Każdym nieomal ruchem, skromnym i poważnym, każdem spojrzeniem miłem i ujmującem, a przedewszystkiem głęboką pobożnością i pokorą przypominała mistrzynię swą Kunegundę. Wszyscy chorzy i ubodzy w Krakowie, których nawiedzała, pocieszała i opatrywała, wyręczając często siostrę w miłosiernych uczynkach, ubóstwiali świątobliwą panienkę.

Wieść o bogobojnej księżniczce rozeszła się szybko nietylko pomiędzy książętami w Polsce, ale i po sąsiednich krajach. Niejeden młodzieniec, który ją widział, lub o niej słyszał, radby ją pojął za żonę. Ale Pan Bóg przeznaczył ją dla księcia godnego tak błogosławionej ręki. Był nim Bolesław Pobożny, książę kaliski i gnieźnieński.

Na ślub zjechało się mnóstwo wybitnych rodzin z całej Polski do Krakowa. Przy grobie św. Stanisława, w kościele katedralnym połączył biskup Prandota dwa książęce serca. Za-

mek krakowski odświętną przybrał szatę, bo Kunegunda jak najświetniejsze chciała wyprawić gody siostrze, którą prawie wypiastowała. Po skończonych uroczystościach wyjechali młodzi małżonkowie natychmiast do Kalisza. Bolesław przyśpieszył wyjazd z powodu choroby brata swego Przemysława. Kunegunda żegnając Jolentę zapewniała ją, że w Wielkopolsce będzie dla niej obszerne pole do uczynków miłosiernych i niesienia pociechy ludowi, że widocznie Pan Bóg wybiera ją sobie za narzędzie swego miłosierdzia, że ona nigdy o niej nie zapomni i mimo rozłączenia tem goręcej kochać i Stwórcy polecać ją będzie. Już podczas podróży jednała sobie księżna poddanych, budując ich pobożnością a zachwycając łagodnością i urodą.

Po przybyciu do Kalisza rozpoczęła zaraz zwiedzać z mężem okoliczne wioski i miasta, kościoły i klasztory a wszędzie dowiadywała się pilnie o chorych i opuszczonych, wspierając ich hojnie.

Wkrótce umarł książęcy brat Przemysław I w kwiecie wieku, licząc lat 36. Pozostałą po nim wdową wraz z czterema córkami, zaopiekowała się Jolenta. Dwie z nich wstąpiły później do klasztoru w Trzebnicy, jedna do pp. klarysek w Gnieźnie.

Bolesław Pobożny, idąc za namową żony i za przykładem szwagra swojego Bolesława

Wstydliwego, ufundował r. 1259 w Kaliszu i Gnieźnie klasztory pp. klarysek i wyposażył je wsiami z własnych posiadłości.

Pan Bóg obdarzył Jolentę trzema córkami: Jadwigą, Elżbietą i Anną. Jadwiga wyszła zamąż za Władysława Łokietka, Elżbieta za Henryka z Lignicy, Anna zaś umarła w młodym wieku. Jolenta poświęcała się całem sercem dzieciom, nie zapominając jednak o mężu. Bezustanku zanosiła modły do Boga za męża, dzieci i kraj cały, a świetne zwycięstwa Bolesława jej modlitwie gorącej przypisać należy. Była mu uległą, potulną i pokorną, a pełnem miłości postępowaniem skłaniała go z łatwością do wszystkiego co dobre i szlachetne. Wystrzegała się choćby najmniejszego słówka, któreby się zdawało świadczyć, że chce nim rządzić, bo wiedziała dobrze, co powiedział Apostoł, że: „nie żona męża, ale mąż jest głową żony".

Kiedy chodziło o wolność i swobodę Kościoła, przeciw któremu bezbożnicy i lekkomyślni podżegali Bolesława, modliła się Jolenta i przekonywała męża z miłością i pokorą tak długo, dopóki jej nie przyrzekł, że odrzuci i potępi haniebne podszepty. Wyjeżdżającego na wojnę błagała zwykle przy pożegnaniu, żeby się strzegł najmniejszej srogości, okrucieństwa lub zemsty. Bolesław zanadto kochał i cenił Jolentę, żeby nie miał pójść za jej radą i prośbą. To też historycy, a mianowicie cnotliwy

i surowy Długosz, podnoszą sprawiedliwość i bogobojność jego.

W roku 1261 zniszczyli Litwini doszczętnie Mazowsze, zamordowali księcia Ziemowita, a księcia Konrada wzięli do niewoli. W nieszczęściu tem udała się wdowa po Ziemowicie z prośbą do Bolesława i Jolenty o pomoc i ratunek. Książę wyruszył natychmiast z wojskiem na Litwę i pokonał wroga.

Ostatnie świetne zwycięstwo odniósł Bolesław Pobożny nad Brandenburczykami, którzy często najeżdżali Polskę, zadając im straszną klęskę. Powróciwszy z tej wyprawy, zapadł ciężko na febrę i zmarł 7 kwietnia r. 1279 w zamku kaliskim. Podczas choroby pielęgnowała Jolenta męża z poświęceniem, nie odstępując go we dnie i w nocy, rozmawiając z nim o nadziei życia przyszłego, o obietnicach Zbawiciela i przybytkach niebieskich, przygotowanych dla nas, jeśli po Bożemu zakończymy żywot doczesny.

Największym blaskiem cnót zajaśniała księżna w czasie swego wdowieństwa.

Po śmierci męża zrzekła się wszystkiego na rzecz Przemysława II, synowca Bolesława Pobożnego, który ją chciał koniecznie przy sobie zatrzymać. Lecz Jolenta rozdzieliwszy, co posiadała, pomiędzy kościoły, klasztory i ubogich i powierzywszy Przemysławowi trzy dorosłe córki, wyjechała niebawem do Krakowa, aby resztę życia spędzić przy siostrze.

W ośm miesięcy po śmierci Bolesława Pobożnego, przeniósł się 10 grudnia r. 1279 i mąż Kunegundy, Bolesław Wstydliwy, do wieczności. Po pogrzebie przyjęły obie siostry regułę św. Klary, udając się do Starego Sącza.

Na wstępie do klasztoru ucałowały progi, za któremi tęskniły ich dusze, padły do nóg ówczesnej ksieni Dorocie i oddały się bezwzględnie pod jej rozkazy. Po chwalebnej śmierci św. Kunegundy, która nastąpiła 24 lipca r. 1292, opuściła Jolenta Stary Sącz i przeniosła się do klasztoru klarysek w Gnieźnie, gdzie wybrano ją w uznaniu zasług, mimo jej woli, ksienią. Nie mogąc prośbami przełamać jednomyślnego postanowienia zakonnic, wyjednała sobie przynajmniej to, że jej było wolno zamieszkać w najlichszej celi między kuchnią a refektarzem. Najmilszym i prawie jedynym przedmiotem rozmyślań Jolenty była męka Pańska, w której nietylko osłodę, moc i odwagę znajdowała, ale nadto stawała się uczestniczką niewymownych pociech Boskich a nawet objawień.

Kiedy razu pewnego krótko przed śmiercią, klęcząc w swej komórce, rozpływała się we łzach nad męką Zbawiciela, objawił jej się Chrystus Pan wraz z Najświętszą Marją Panną i św. Salomeą, w postaci okrutnie ubiczowanego przy słupie, cały krwią zlany i ranami okryty, obiecując Jolencie za wzgardę świata

chwałę niebieską. Przepowiednia ziściła się wkrótce. Czując się bliską zgonu wezwała zakonnice do siebie, napominając je z miłością macierzyńską do przestrzegania reguł zakonnych, do pomocy i miłości wzajemnej. Umarła 11 czerwca r. 1298, licząc lat sześćdziesiąt. Powiadają, że w chwili śmierci ukazał jej się Chrystus, aby wprowadzić służebnicę swą do przybytku chwały.

Ciało Błogosławionej pochowano pierwotnie w klasztorze. Dopiero r. 1834 złożone zostały szczątki święte do szklanej trumny i wystawione wskutek rozporządzenia Stolicy Apostolskiej z r. 1827 na bocznym ołtarzu kościoła franciszkańskiego. Dnia 2 maja r. 1892 wreszcie, umieścił je wśród wspaniałych uroczystości ks. arcybiskup Stablewski w pięknym spiżowym relikwjarzu w kształcie trumny, na marmurowym ołtarzu w dawniejszym chórze pp. klarysek, zamienionym na kaplicę.

Wielkich łask i cudów doznawał naród polski za przyczyną bł. Jolenty. Nie było potrzeby, cierpienia i dolegliwości, na któreby orędownictwo jej nie było skuteczne przed Bogiem. Kaleki odzyskiwali przy jej grobie zdrowie, a nawet umarli wracali do życia. Wszystko to zaczęło się dziać zaraz po jej zgonie i działo się bezustannie, dopóki wierni, ufni w skuteczną przyczynę Błogosławionej, z nabożeństwem i żywą wiarą do niej się uciekali.

ŚW. JADWIGA Z TRZEBNICY

(ur. ? † r. 1243).

Pod Lignicą gromadziły się r. 1241 dzielne hufce chrześcijańskie dla powstrzymania Tatarów, którzy, splądrowawszy Ruś i Polskę, podążali na Śląsk.

W zacisznej komnacie zamku wrocławskiego siedziała niemłoda kobieta o poważnem i słodkiem obliczu. Odzież jej z grubego sukna, jak habit zakonny, a przecież po uszanowaniu, z jakiem się do niej odnoszą obecni, zdaje się, że ma tutaj prawo rozkazywać. Po niejakimś czasie otworzyły się podwoje i wszedł młody rycerz w zbroi, a przyklęknąwszy na jedno kolano i schylając głowę przed niewiastą, rzekł głosem dźwięcznym, pełnym odwagi:

— Błogosław, matko!

Matrona podniosła ręce w górę, tak jak myśl i serce, ku Najwyższemu i odparła z westchnieniem:

— Idź i walcz za wiarę i ojczyznę!

Wyszedł rycerz, raz jeszcze skłoniwszy się do nóg matce, ona zaś padła na kolana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego. Bladość śmiertelna powlokła jej lica, a boleść niewypowiedzianym wyrazem męczeństwa odbiła się na jej twarzy. W tej chwili przeżyła wszystkie męczarnie matki tracącej ukochanego syna, w nadziemskiem bowiem uniesieniu ducha do Boga widziała niedaleki kres tego syna, a usta jej powtarzały machinalnie wyrazy: „Dziewiątego kwietnia!"

To też kiedy rzeczywiście 9 kwietnia r. 1241 zginął pod Lignicą, umiała ona już stłumić łzy i łkania macierzyńskiego serca i rzekła tylko z pokorą: „Dziękuję Ci, Panie, że dałeś mi takiego syna, który walcząc za wiarę chrześcijańską, w obronie krzyża Twego życie położył. Duszę jego polecam Tobie i nie wątpię, że go do siebie przygarnąć raczyłeś!"

Synem tym był Henryk Pobożny, książę lignicki, a matką Jadwiga, żona Henryka Brodatego, jednego z najpotężniejszych książąt piastowskiego plemienia na Śląsku, któremu historycy przypisują wiele pożytecznych ustaw, a który był tak względnym i łaskawym dla prostaczków, że gdy mu ubogi chłopek przyniósł na skromnej misce jaj, chętniej je przyjmował, niż drogocenne dary od panów, mawiając: „Ubogi nędzarz majątek mi swój oddaje,

z którego sam żyć musi, niech więc ma pociechę, że dar jego wdzięcznie przyjąłem".

O mało co nie zabity wraz z Leszkiem Białym przez Pomorzan w Gąsawie, Henryk Brodaty ocalał wskutek poświęcenia się wiernego sługi, który zasłaniając księcia własnem ciałem, prawie wszystkie ciosy za niego odebrał.

Schroniwszy się do Wrocławia, rozpoczął wkrótce krwawe zatargi z Konradem, księciem mazowieckim, o opiekę nad małoletnim synem Leszka. Konrad pobity pod Skałą nad Prądnikiem i do ustąpienia zmuszony, napadł wkrótce Henryka, słuchającego mszy świętej w Spytkowicach, pojmał go i nie prędzej z więzienia płockiego wypuścił, dopóki tenże nie wyrzekł się swoich uroszczeń.

Wtenczas wstępuje na widownię pełna roztropności, świątobliwa Jadwiga, uśmierza gwałtowność męża, jedna zwaśnione umysły, ułatwia warunki pokoju, zjeżdża nawet sama na Mazowsze, żeby przewodniczyć w układach i uwolnić Henryka z rąk Konrada. W czasach, kiedy podział kraju na drobne księstwa osłabił powagę i dzielność narodu, kiedy wojny, wynikające z nagłych zatargów między książętami, zlewały krwią ziemię naszą i wyludniały ją, szerzyła Jadwiga wokoło siebie dobrobyt, goiła rany z ogólnych klęsk wynikłe, sprowadzała

osadników do wyludnionych okolic, krzewiła nauki i rzemiosła. Śląsk, oddychając swobodniej pod jej troskliwą opieką, pierwszy zaczął splatać wieniec nieśmiertelnej jej chwały.

Jakże bo ona troszczyła się o sprawiedliwość dla uboższych? Wysyłała na sądy kapłanów swoich, żeby bronili kmiotków przed krzywdą, wypraszała sama łaskę dla nich u starostów, a w czasie głodu, jaki nawiedził kraj, nie ustawała w udzielaniu zboża i żywności potrzebującym. Istnieje legenda o cudownem pomnożeniu chleba za przyczyną św. Jadwigi podczas dni głodowych, którą tutaj, ujętą w piękną formę poetycką, przytaczamy:

Głód był na Śląsku. Młodziuchna pani,
Anioł dobroci i cnoty,
Oddała złoto, perły, klejnoty . . .
Jednak mrą z głodu poddani.

Tam w wojnie z wrogiem Henryk Brodaty,
Tu walczy księżna łagodna
Z potworem głodu. Skarbiec bogaty
Jest wyczerpany . . . już do dna!

I śpichrze puste! Pomoru znaki
Piętnują wybladłe twarze . . ,
Jako z drzew liście, spadają ptaki . . .
Wsie puste . . . ludne cmentarze! . . .

Noc była głucha . . . spiż wciąż podzwania
Na smutne: Ave Maria . . .
A na dźwięk jego księżna się słania,
Jako od burzy lilija

Nie przerwie ciszy kur z głodu niemy,
Tylko dzwon coraz żałośniej,
Niby głos ludu, — wciąż rzewniej, głośniej
Woła: „Giniemy! . . . giniemy! . . .“

Nie zginiesz, ludu! . . . Jest broń potężna,
Co stanie w twojej obronie:
Modlitwa Świętej! . . . Oto twa księżna
Do nieba podniosła dłonie.

I jako Mojżesz rozmawia z Bogiem.
Któż tajnie nocy tej zbada?
. . . . . .
Ranek zabłysnął. Przed zamku progiem
Lud woła: „Biada nam! . . . biada!“

Pośrodku tłumu, jak Anioł Boży,
Jadwiga z jałmużną staje.
Czy przez jej ręce Pan chleby mnoży
I głodnej rzeszy rozdaje?

Mówią dworzanie, podziwem zdjęci:
„Wszak w zamku nie było chleba!“
. . . . . .
O tajemnico! znali cię Święci . . .
Z nimi wróciłaś do nieba.

Lecz klucz tu został . . . Są może dłonie,
Co skarb miłości otworzą,
Są może dusze, co z wiarą w łonie
Jak cudem chleby rozmnożą?

O tam od góry, biała lilija
Błogosławieństwa tchnie wonią . . .
I na dziękczynne Ave Maria
Radośnie spiże już dzwonią! . . .

Całe też bogate wiano Jadwigi poszło na cele szlachetne. Dla siebie nic prawie nie potrzebowała, nosiła zimą i latem jedną grubą suknię własnej roboty i aby się umartwić, chodziła nawet boso po śniegu. Rzadko tylko, gdy, jako księżna, musiała dać posłuchanie jakim osobom poważnym, brała na siebie szaty nieco lepsze, a w czasie uczt pościła, żywiąc się potajemnie najzwyklejszemi potrawami.

Założywszy wraz z mężem w Trzebnicy klasztor dla pp. cystersek, nosiła habit, lecz ślubów zakonnych nawet po śmierci męża nie składała, nie chcąc sobie tamować obietnicą ubóstwa drogi do jałmużny i pocieszania ubogich. Wszystkie jednak ustawy zakonne pełniła pokornie, przewyższając jeszcze siostry w biczowaniach i modlitwie. Chorych opatrywała sama, zapominając często o sobie, nigdy o drugich. Niezrównaną słodyczą i roztropnością wpłynęła niejednokrotnie na burzliwy charakter Henryka. Łzami i prośbą odwracała go od popełnienia niesprawiedliwości.

Powiadają, że poleciwszy zdjąć z szubienicy dwóch dopiero co powieszonych zbrodniarzy, przywróciła ich ku zdumieniu i przestrachowi obecnych modlitwą do życia. Przepowiedziała również śmierć męża i zniosła ją odważnie, mówiąc do płaczących: „Co Bóg ze stworzeniem swem czyni i czynić chce, to nam wszystko wdzięczne być powinno!“ Kiedy prze-

czuła dzień śmierci, prosiła, nie leżąc jeszcze w łóżku, o Sakrament ostatniego olejem św. namaszczenia. Położywszy się następnie, oddała Bogu ducha 15 października r. 1243.

Zaledwie dwadzieścia pięć lat upłynęło od jej śmierci, a już uczczono zwłoki Jadwigi. Papież Klemens IV, który ją w poczet Świętych policzył, zezwolił na uroczyste nabożeństwo, które się odbyło po raz pierwszy w Trzebnicy w obecności króla czeskiego Otokara i innych książąt i panów.

BŁOG. SADOK

(Czterdziestu dziewięciu męczenników w Sandomierzu).

W r. 1260 zbliżyły się niezliczone hordy tatarskie pod mury Sandomierza, najeżdżając po raz drugi Polskę.

Noc ciemna pokrywała odwieczny gród, blado gdzie niegdzie migocące gwiazdy przeglądały się w spokojnych falach Wisły i cicho było dokoła, chociaż w mieście nurtowały niepokoje, troski i smutne przeczucia.

Na szerokiem błoniu gwar niezrozumiałej dla polskiego ucha mowy, rżenie powiązanych koni i liczne światła zdradzały obóz Tatarów, którzy od dni kilku daremnie kusili się o zdobycie Sandomierza, bronionego mężnie przez zastępy dzielnych rycerzy.

W namiocie wodzów pogańskich, Nogaja i Teleboga, walna toczyła się narada, jakby znienacka napaść czujne straże. Gdy nie można było nic wymyślić, zaczął Nogaj doradzać odwrót. Przecież i tak już niemało nazbierali skarbów, plondrując kraj cały, niemało przelali krwi

chrześcijańskiej. Nie dalej jak dziesięć dni temu padło w Zawichoście sześćdziesiąt dziewic poślubionych Bogu i dwunastu kapłanów pod ich morderczem żelazem! Telebog z dzikim okrzykiem odrzucił wniosek towarzysza. Odstąpić warowni, której oblężenie niemało już kosztowało trudów, wyrzec się skarbów zamożnych mieszczan, nie, nigdy, raczej zginąć marnie!

Stanęło na tem, że kwapiąca się zpowrotem do swej ziemi horda pozostawi swym wodzom kilka dni czasu dla wyszukania podstępu, któryby oddał w ich ręce nowe łupy i nowe ofiary.

Gdy po ukończonej rozmowie wyszedł Telebog płonący żarem chciwości i rozboju, aby ochłodzić głowę zimnym powiewem wiatru, człowiek jakiś podniósł się z ziemi i posunął się ku niemu, chcąc go widocznie zagadnąć. W tej chwili obrócił się Telebog i chwycił go za ramię. Przerażony jeniec padł twarzą na ziemię, a na groźne zapytanie, czegoby żądał, odparł bełkocącą mową Tatarów: „O, synu słońca, użycz ziemnemu robakowi przez czas jakiś jasności twego oblicza, aby mógł wypowiedzieć myśl swoją. Byłem niegdyś w niewoli u Lachów, znam ich obyczaj i mowę, wiem, coby uczynić trzeba, abyście zdobyli Sandomierz".

— Mów! — zawołał porywczo pogański książę — jeżeli mądre będą twoje słowa, czeka cię hojna nagroda!

I poprowadził go szybko do swego namiotu.

Długo w noc wiedli tam cichą rozmowę, wkońcu Telebog uderzył radośnie w ręce i zaśmiał się dziko. Widać, że rada niewolnika była dobrą.

W Sandomierzu tymczasem zgromadzili się zakonnicy w klasztorze dominikanów około wielebnego Sadoka, który piastował urząd przeora, zajmowany poprzednio przez świętego Jacka, synowca pobożnego założyciela klasztoru, biskupa Iwona Odrowąża.

Sadok wstąpiwszy do zakonu św. Dominika, szybkie czynił postępy na drodze doskonałości chrześcijańskiej, tak że podczas drugiej kapituły generalnej w Bononji r. 1221 wysłano go z czterema innymi zakonnikami na opowiadanie słowa Bożego do Węgier, gdzie nawrócił wielu heretyków i pogan. Z Węgier udał się do barbarzyńskiego narodu Kumanów, a wreszcie przybył do Sandomierza jako przełożony tamtejszego klasztoru.

— Tak więc ojciec Szymon badał strażników na wałach — mówił przeor — czy nie ujrzeli czasem ruchu w obozie nieprzyjacielskim, któryby nam zapowiadał oddalenie się tej strasznej plagi, ale dotychczas nic nie dostrzegli. Z każdą chwilą zmniejszają się zapasy żywności i ubywa mężnych wojowników. Wartoby pomyśleć o środkach ochrony sprzętów ko-

ścielnych i złota, które tu złożyli mieszczanie na przypadek, gdyby okrutna dzicz dostać się miała do miasta!

— Nie troszczcie się o złoto — odrzekł jeden z zakonników — właściciele sami najlepiej go bronić będą.

— Ależ dlatego właśnie przekonać się nam trzeba, czy mury są dość bezpieczne. Wiadomo wszystkim, że niewierni najpierw w miejsca święte niosą śmierć i zniszczenie. Jutro ze świtem ojciec Paweł, który przed obleczeniem sukni zakonnej bawił się wojaczką, obejrzy wszystkie bramy i furty, a jeżeli zauważy, że nie wytrzymają napadu, będziemy musieli nakłonić tych biednych ludzi, aby gdzie indziej szukali opieki.

— Uczynię, jak żądacie, wielebny ojcze, ale daremne wszelkie zabiegi, jeżeli Bóg inaczej przeznacza. Dozwólcież nam więc obok starań ochronnych, odprawić modły, sposobiące nas na drogę do wieczności.

— Odgadłeś, miły bracie, myśl, którą chciałem wam właśnie wyjawić. Od jutra rozpoczniemy uroczyste nabożeństwo. Bóg świadkiem, że nie lękam się śmierci, czasami tylko dręczy mnie obawa — dodał ciszej, spoglądając na niektórych młodych zakonników — czy każdy z was gotów mężnie ponieść męczeństwo?

— Wielebny ojcze! — zawołali wszyscy, a w oczach ich błyszczał zapał — nie wahalibyśmy się ani chwili krwią naszą okupić szczęśliwą wieczność.

— O, dzięki Ci, Panie! — odrzekł z radością przeor, wznosząc oczy na wizerunek Chrystusa.

Wymówiwszy te słowa, ściskał pokolei braci, kreśląc nad czołem każdego z nich znak krzyża świętego, niby talizman umacniający w świętem przedsięwzięciu.

Z pierwszym blaskiem zorzy zerwał się z twardego posłania waleczny Piotr z Krempy, starosta sandomierski. Odmówiwszy krótką, lecz żarliwą modlitwę, zarzucił śpiesznie rycerską zbroję i wyszedł przed zamek.

— I cóż tam nowego, Boguchwale? — zapytał opartego o mur burgrabiego.

— Wszystko po dawnemu — odparł tenże smutnie — psy tatarskie rade nas zadławić i dokażą tego wkrótce. Darmo się upierać, nie podołamy im!

— Na Boga, mów ciszej, niech nie usłyszą towarzysze!

— Wiedzą oni dobrze, co ich czeka, lecz nie lękajcie się! Spełnią swoją powinność! Zresztą wszyscy nie mamy innej drogi wyjścia, jak zginąć z szablą w ręku!

— Prawda! — odrzekł starosta. — Lecz ufajmy Bogu! Czyż nie może nas wybawić, gdy zechce?

Jakby na potwierdzenie słów starosty, zjawił się brat jego Zbigniew z obliczem rozjaśnionem radością.

— Piotrze! — wołał zdaleka. — Tatarzy chcą się z nami układać, kilku z nich zbliża się do bram, a jeden powiewa białą chustą!

— Czy być może? Wpuszczajcie ich czem prędzej! Boże! Przebacz mi radość na widok nieprzyjaciół Twego krzyża!

— Baczność przedewszystkiem! — zawołał żywo Boguchwał. — Może to tylko podstęp, aby podpatrzeć siły nasze. Każcie im zawiązać oczy, zanim przestąpią bramy!

— Zajmij się tem, mój wierny przyjacielu, idź za Zbigniewem, a ja tymczasem zgromadzę rycerzy w komnatach, w których im dam posłuchanie. Trzeba wzbudzić w nieprzyjacielu groźniejsze wyobrażenie o naszej potędze.

Siedząc na wywyższeniu, przyjmował starosta, otoczony waleczną załogą sandomierską, posłów tatarskich.

Złożywszy należną czołobitność, wyjaśnili oni powód swego przybycia. Jeden z nich, który znał polską mowę, służył za tłumacza. Opisywali nasamprzód szeroko niezmierną potęgę hordy, mądrość i wielkość jej wodzów, Nogaja i Teleboga, dodali potem, że książęta ci prze-

jęci wielką czcią dla dzielnych sandomierzan, gotowi odstąpić od oblężenia, a nadto zawrzeć z szlachetnym Piotrem z Krempy przymierze, chroniące jego ziemie od dalszych napadów.

Ucieszył się starosta, ucieszyli się wojownicy nadzieją rychłego wybawienia z niedoli. Jeden tylko Boguchwał nieufnie spoglądał na przybyszów i kiedy zażądali, aby starosta stawił się w ich obozie dla porozumienia się z wodzami, jawną wybuchnął niechęcią. Przewidywał zdradę i prędszy jeszcze upadek. Piotr z Krempy jednak, uniesiony szlachetną żądzą ocalenia powierzonego mu grodu, wiedząc, że dłużej jak dni kilka nie oprze się najeźdźcom, nie chciał słuchać żadnych rad i zobowiązał się słowem rycerskiem stanąć dnia następnego na żądanie Tatarów w ich obozie. Podczas gdy wyprowadzano posłów z zachowaniem tych samych ostrożności co przy wejściu, wszedł do komnaty starosty, blady, lecz spokojny przeor dominikanów, Sadok.

— Witajcie nam, wielebny ojcze! — rzekł Krempa, powstając na powitanie kapłana — cóż nam przynosicie nowego?

— Przybywam z przestrogą, która może się wam przydać! Pan Bóg raczył nam dzisiaj objawić, że jutro wejdziemy do Jego chwały, ponosząc śmierć męczeńską z rąk oblegającej nas dziczy. Jestem więc zdania, że i miastu bliskie zagraża niebezpieczeństwo.

— Opowiedzcie mi, jak to było, ponieważ ja sądziłem, że właśnie dzień jutrzejszy wybawi nas wszystkich od plagi tatarskiej.

— Odprawiając wedle zwyczaju o północy jutrznię w obecności wszystkich braci, poleciłem na zakończenie śpiewać najmłodszemu z nich martyrologjum, czyli wymienić imiona Świętych, którzy w dniu tym ponieśli śmierć męczeńską za wiarę. Kiedy otworzył księgę, ujrzał w niej napisane złotemi literami te słowa: „W Sandomierzu męczeństwo czterdziestu dziewięciu męczenników". Widok ten niespodziewany wprawił go w takie osłupienie, że przez kilka chwil nie był zdolny wogóle przemówić, i ochłonąwszy dopiero z pierwszego wrażenia, zaśpiewał, co widział. Kazałem sobie podać księgę i oto zobaczyliśmy w niej wszyscy te same słowa, które niebawem znikły. Padłszy na kolana, dziękowałem wraz z braćmi Panu, że nam dozwala okupić chwilowem cierpieniem chwałę niebieską i grzechy żywota.

Gdy bogobojny zakonnik przestał mówić, opowiedział mu starosta, co zaszło z posłami Tatarów. Przeor przyznał, że nie godzi się wahać, tylko zadość uczynić ich żądaniu, skoro jest nadzieja ocalenia miasta.

— Działajcie — dodał — kiedy godzina wasza nie została wam jeszcze objawioną, my zaś wyprawiwszy z klasztoru kosztowniejsze

sprzęty, pozostawimy bramy otwarte dla spełnienia woli Bożej.

Promienna aureola zajaśniała nad głowami zakonnika i rycerza, kiedy przy rozstaniu ramiona ich w bratnim złączyły się uścisku. Boguchwał, który właśnie w tej chwili uchylił drzwi, cofnął się zdumiony, nie wyrzekłszy ani słowa, chociaż jakieś straszne przeczucie ścisnęło mu serce.

Mijały długie godziny, słońce miało się już nawet ku zachodowi, a Piotr z Krempy nie wracał z obozu nieprzyjacielskiego.

Boguchwał, zabawiając małą córeczkę starosty, czteroletnią Helenę, której matka już nie żyła, z niepokojem myślał o swym panu i podchodził raz po raz do okna, skąd widać było bramy warowni.

Nagle rozwarły się potężne wrzeciądze i wpadła czerń okrutna, rzucając martwe, strasznie pokaleczone zwłoki Piotra z Krempy. Widocznie straż, przerażona okropnym losem wodza, nie stawiała Tatarom silniejszego oporu. Boguchwał nie tracąc ani chwili, uniósł sierotę na rękach w bezpieczniejsze miejsce, a Tatarzy opanowali tymczasem miasto.

Bracia św. Dominika zgromadziwszy się na pierwszy okrzyk, który doszedł ich uszu, przed ołtarzem Najświętszej Marji Panny, zaintonowali pieśń: „Witaj Królowo!" Uroczyste było to pozdrowienie Bogarodzicy, bo wkrótce roz-

legły się dzikie wrzaski pod sklepieniem świątyni, zabłysły mordercze żelaza i męczennicy rozpoczętą na ziemi modlitwę dokończyli w niebie. Jeden z braci ukrył się przestraszony na dachu kościoła, widząc jednak, z jaką odwagą drudzy ponoszą śmierć dla Jezusa, zeszedł i został również w okrutny sposób zamordowany.

Za wstawieniem się Bolesława Wstydliwego, pozwolił papież Aleksander IV obchodzić pamiątkę męczeństwa wiernych sług Kościoła odpustem. Papież Bonifacy VIII, a później Urban, wydali bullę zatwierdzającą ten odpust i dotąd obchodzi się w Sandomierzu święto czterdziestu dziewięciu męczenników 29 października, t. j. w dniu ich męczeńskiej śmierci.

BŁOG. JAN PRANDOTA

(ur. ? † r. 1266).

Czasy największego zamętu przedstawiała nasza Polska podczas swego rozdrobnienia na księstwa po śmierci Bolesława Krzywoustego. Książęta dopuszczali się różnego rodzaju nadużyć, biskupi gromili ich klątwą kościelną i po gwałtach i bezprawiach następowała tak ostra pokuta, o jakiej my już ledwie wyobrażenie mieć możemy. Skruszony grzesznik łzy ronił, tarzał w prochu dumne czoło, gotów jednak za chwilę do dawnych wrócić przewinień.

Wśród tych wzburzonych żywiołów społecznych, jakże wspaniale odbijają zacne i szlachetne postacie wielkich mężów!

Jednym z takich jest biskup krakowski Prandota z Białaczowa, syn Radosława Prandoty-Odrowąża, a krewny św. Jacka, z którym go serdeczna łączyła przyjaźń. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, stał się wkrótce głośnym przez pełne namaszczenia opowiadanie słowa Bożego. Służył Bogu nie oglądając się

ani na to, co ludzie powiedzą ani na pożytek osobisty. Był tak samo, jak niegdyś Wincenty Kadłubek i Czesław Odrowąż, kanonikiem kolegjaty sandomierskiej, a po śmierci biskupa Wisława, obrany został r. 1242 jego następcą z taką radością i jednomyślnością duchowieństwa i całego ludu, że upatrywano w tem wyraźną łaskę Ducha Świętego.

Po objęciu rządów, przemyśliwał często o świątobliwem życiu poprzednika swego i męczennika, św. Stanisława Szczepanowskiego, pragnąc doprowadzić do skutku jego kanonizację. Wszyscy książęta, choć niechętni duchowieństwu, oświadczyli chęć poparcia zabiegów biskupa, kiedy jeszcze jedna okoliczność zapaliła skłonną do religijnych uniesień wyobraźnię ówczesnych ludzi.

Niejakiś Falisław, rycerz, niedawno uzdrowiony z ciężkiej słabości, przyszedł do Prandoty, zapewniając, że mu się ukazał zmarły biskup krakowski Wisław. Widział go wyraźnie, zdejmującego swe szaty biskupie za to, jak mówił, że nie starał się za życia o kanonizację męczennika Stanisława ze Szczepanowa. „Idź (miał rzec do Falisława) i powiedz o tem Prandocie!"

Zebrawszy tedy wszystkie dowody cudów, nakłonił biskup Bolesława Wstydliwego, że wysłał poselstwo do papieża Inocentego IV celem wyjednania kanonizacji, poczem sam wo-

bec licznie zgromadzonego ludu, mając już zezwolenie papieża, wyniósł wśród wspaniałych uroczystości r. 1254 relikwje Świętego z grobu i umieścił je w ołtarzu.

Kiedy w r. 1241 cesarz niemiecki Fryderyk II wystąpił przeciw Stolicy Apostolskiej, papież Inocenty IV na zwołanem przez siebie koncyljum w Lyonie oskarżał go o karcerstwo, zabójstwo wielu księży, o bluźnierstwo i świętokradzkie użycie naczyń kościelnych. Klątwa kościelna zrzuciła Fryderyka z tronu. Papież udał się wówczas na pobyt do Francji, a Prandota wraz z duchowieństwem zebranem na synodzie we Wrocławiu r. 1248 postanowił wspierać Stolicę Apostolską hojnemi datkami, oddając przez trzy lata piątą część dochodów kościelnych na ten cel.

Prandota był powiernikiem Bolesława Wstydliwego, zwłaszcza w czasie jego sporu z Konradem, księciem mazowieckim, a stając równocześnie w obronie dóbr kościelnych napominał go surowo. Gdy groźby biskupa nie odniosły pożądanego skutku, rzucił podczas synodu w Łęczycy r. 1245 na księcia klątwę.

Po drugim napadzie dziczy tatarskiej r. 1260 cała prawie Polska leżała w gruzach. Wylękli mieszkańcy wychodzili z kryjówek, aby się spotkać z drugą nieomal równie srogą klęską, z głodem. Nasz biskup oddał wtenczas wszystko co posiadał ubogim, a za jego przy-

kładem poszedł Bolesław i żona jego Kunegunda. Rycerstwo polskie również nie zaniedbało najświętszego obowiązku wobec bliźnich zwłaszcza, że biskup Prandota dawał sam tak chlubny przykład. Nazwany przez współczesnych „ojcem ubogich", opiekował się sierotami, wspierał potrzebujących, uposażał hojnie i budował kościoły i szpitale. Książę Bolesław nadał też kapitule i biskupowi różne swobody, a Kościołowi część wsi Bolechowice. Zachęcony przez Prandotę, sprowadził do Polski zakon franciszkanów, co wywarło wówczas ważny wpływ moralny na cały kraj. Jedne zakony ostrością życia, drugie pracowitością i nauką niosły zbudowanie wiernym. Butnego i zuchwałego rycerza rozbrajała pokora człowieka w habicie zakonnym. Niezmordowana praca dla chwały Bożej i zbawienia bliźnich nadwyrężyła wreszcie zdrowie bogobojnego męża, lecz i w czasie choroby spełniał niestrudzenie obowiązki kapłańskie. W ostatnim dniu życia przyjął Sakramenta św., wysłuchał mszy św. w kaplicy, a odniesiony do domu, skonał spokojnie r. 1266, po 24 latach rządów nad diecezją krakowską. W r. 1444 pamiętnym klęską króla Władysława pod Warną, odbywała się w katedrze na Wawelu rzadka a wspaniała uroczystość. Kardynał Zbigniew Oleśnicki w otoczeniu duchowieństwa uczestniczył przy wydobyciu zwłok biskupa Prandoty, spoczywających

w pośrodku kaplicy śś. Piotra i Pawła. Zaledwie podniesiono wieko trumny, aby się przekonać o stanie szczątków, rozeszła się wokół cudowna woń, napawająca obecnych jakiemś wewnętrznem ukojeniem. Woń nie ustawała przez cztery dni, a z pomiędzy chorych i nieszczęśliwych, którzy grób zwiedzili, niejeden doznał ulgi. Po odprawieniu solennego nabożeństwa, złożył kardynał relikwje zpowrotem w to samo miejsce i polecił wystawić nowy, piękny nagrobek z napisem: Błog. Jan Prandota, biskup krakowski, zmarły r. 1266.

Nie ulega wątpliwości, że wiara w świątobliwość i przemożne w obliczu Boga zasługi Prandoty stale się później utrzymywała, a nawet nowemi dowodami łaski wszechmocy Boskiej została stwierdzona, skoro r. 1639 Erazm Kretkowski, archidiakon i oficjał krakowski, podniósł szczątki biskupa z grobu i w ścianie kaplicy je umieścił.

BŁOG. JAKÓB STREPA

(ur. r. 1340 † r. 1411).

Po śmierci Kazimierza Wielkiego został królem, na mocy poprzedniego układu, Ludwik węgierski. Zjechał on wprawdzie do Krakowa na koronację, lecz uważał Polskę za kraj podrzędny, który jedynie miał powiększyć potęgę jego domu. To też po odbytych uroczystościach zabrał insygnja królewskie celem zapewnienia następstwa tronu po sobie dla jednej ze swych córek i wrócił do Węgier. Ludwik przeznaczył najpierw najstarszą córkę Katarzynę dla Polski, gdy jednak ta przed nim umarła, tak się wszystko złożyło, że najmłodsza Jadwiga po śmierci ojca i po bezkrólewiu, trwającem dwa lata, została przez królowę-wdowę, Elżbietę Bośniaczkę, wysłaną do Polski.

Jeszcze w początkach panowania oderwał Ludwik Ruś od Polski i przyłączył ją do Węgier. Aby jednak nie zrazić sobie Polaków a uchylić Ruś z pod ich wpływu, oddał kraj narazie zaufanemu swemu doradcy Władysławo-

wi, księciu opolskiemu, r. 1372 jako lenno i dopiero r. 1379 wcielił ostatecznie do korony węgierskiej.

W roku 1384 odbyła się koronacja królowej Jadwigi. Niedługo potem wysłał wielki książę litewski Jagiełło uroczyste poselstwo do Krakowa z prośbą o rękę królowej. Odebrawszy przychylną odpowiedź, zjechał do stolicy i przyjął chrzest a na chrzcie imię Władysława. Poślubił następnie Jadwigę i koronował się piętnaście dni po godach weselnych na króla polskiego.

Takie były początki unji pomiędzy dwoma państwami a trzema narodami: Litwą, Rusią i Polską, zaś pierwszym krokiem ku jej utrwaleniu było nawrócenie Litwy, do czego się też niezwłocznie zabrano.

Na Rusi pozostającej od lat kilku pod berłem węgierskiem smutne panowały stosunki. Korzystając z rozprzężenia, które nastąpiło w kraju po śmierci Ludwika, przedsięwzięli dostojnicy polscy r. 1387 wyprawę, na której czele stanęła królowa Jadwiga, jako prawowita dziedziczka Rusi. Wyprawa odbyła się prawie bez krwi rozlewu i kiedy ziemie ruskie wcielono zpowrotem do Polski, zapanował oddawna upragniony spokój.

Władysław Jagiełło i Jadwiga starali się gorliwie o szerzenie wiary św., popierając stale prace duchowieństwa w tym kierunku tak

w Polsce jak i na Litwie i na Rusi. Nieocenione zasługi położyli podczas tych zabiegów oo. franciszkanie lwowscy, a między nimi Jakób Strepa, późniejszy arcybiskup halicki.

Jakób Strzemię czyli Strepa urodził się około r. 1340 w Małopolsce, ze starożytnej rodziny senatorskiej. Wychowany w pobożności przez bogobojnych rodziców, w młodym jeszcze wieku opuścił dom rodzinny, wzgardził ponętami świata i wstąpił do zakonu franciszkanów, którzy założyli właśnie w tym czasie klasztor we Lwowie. Po odbyciu nowicjatu i ukończeniu nauk w Rzymie, został wyświęcony na kapłana. Wróciwszy do kraju, stanął bezzwłocznie w szeregach tak zwanych „braci pielgrzymujących", którzy mieli za zadanie apostołować wśród Rusinów.

Wojny domowe, napady tatarskie oraz knowania schizmatyków, wyludniły i zniszczyły Ruś prawie doszczętnie. Kościoły, ograbione przez dzicz, w smutnym znajdowały się stanie. Trzeba było zaparcia się samego siebie, aby wśród tysiąca niebezpieczeństw i największych niedostatków wytrwać w powziętych zamiarach. Niezrażony niczem szedł Jakób Strepa pieszo z krzyżem w ręku przez opustoszały kraj, nawracając dusze zbłąkane łagodnością i pokorą. Zdarzało się nieraz, że odprawiał mszę św. w jakim nędznym opuszczonym kościołku, nie mogąc nawet znaleźć nikogo, któ-

ryby do niej służył. Wtenczas świątobliwy mąż dzwonił, sprawował ofarę św. i pełnił sam obsługę przy niej.

W uznaniu niespożytych zasług obrało zgromadzenie oo. franciszkanów roku 1375 Strepę gwardjanem konwentu lwowskiego. Dopiero po dłuższem wahaniu przyjął skromny zakonnik urząd i zdziałał na stanowisku tem bardzo wiele dobrego, nie porzucając bynajmniej pracy misjonarskiej. Dowodem gorliwej działalności i zbawiennego wpływu nauki i pracy Strepy było wyniesienie go do godności wikarjusza generalnego i najwyższego przełożonego wszystkich misyj na całej Rusi oraz inkwizytora apostolskiego. Niełatwą było rzeczą kierować podówczas misjami, wobec zupełnego braku komunikacji i dobrze wyszkolonych misjonarzy. Lecz pod błogiem przewodnictwem Strepy uświęcały się dusze zakonników; umiał on wzbudzić w nich zapał apostolski i wkrótce cały zastęp bojowników Chrystusowych szedł w imię krzyża na zdobywanie dusz ludzkich dla wiary chrześcijańskiej.

Po śmierci arcybiskupa Jelity potwierdził papież Bonifacy IX Jakóba Strepę, wskutek prośby króla Władysława Jagiełły, na osieroconą stolicę halicką.

„Niegodny jestem i nieudolny!“ — rzekł wtenczas z pokorą Strepa, skoro odebrał dekret papieski. — „Nie uchylam się jednakże od

ciężaru i trudu. Biorę więc pastorał do ręki, nie jako godło władzy, lecz jako godło najcięższych i najtwardszych obowiązków".

Objąwszy, posłuszny woli Ojca świętego, tak wysokie dostojeństwo, umiał Strepa zachować godność biskupią, lecz nie wyrzekł się habitu klasztornego i żył nadal jak ubogi zakonnik. Dochody swoje obracał na jałmużny dla biednych, zakładał klasztory i wznosił świątynie. Jak niegdyś w gronie „braci pielgrzymujących", tak obecnie jako najwyższy pasterz zwiedzał bł. Jakób Ruś, a głosząc wszędzie z namaszczeniem słowo Boże, odwodził od złej drogi, wskazując prawdziwą drogę cnoty. Możnych zaiste zwolenników miał Strepa w osobach króla Władysława Jagiełły i królowej Jadwigi, którzy hojnemi datkami przyczyniali się do wyposażenia kościołów i zakonów i cieszyli się, że Ruś posiada tak świątobliwego apostoła.

Godność senatorska, przywiązana do urzędu arcybiskupa halickiego, rozszerzyła pole działania światłego dostojnika. Uczony i roztropny doradca królewski słowem i przykładem wpływał na dobro całego państwa i szczycił się stąd pełnem zaufaniem monarchy i całego narodu.

Z powodu mnożących się napadów tatarskich przeniesiono stolicę arcybiskupią z Halicza do warowniejszego Lwowa. Arcypasterz

zamieszkał tu w skromnym drewnianym domku i kiedy król Władysław Jagiełło przybył do Lwowa, aby odwiedzić świątobliwego kapłana, zdziwiony jego ubóstwem, darował mu pałac położony w rynku. Nie opuścił jednak dostojnik skromnej swej siedziby i ofiarował otrzymany od króla dom gminie lwowskiej. Baczną uwagę zwracał również pasterz na religijne wychowanie dzieci i miewał dla nich, mimo rozlicznych zajęć, natchnione duchem Bożym nauki. Będąc żarliwym wielbicielem Marji i Najśw. Sakramentu, pragnął, aby wszyscy jak on miłowali Jezusa i Matkę Boską. Celem zachęty, postarał się o odpusty dla tych, którzyby brali udział w nabożeństwie. Kiedy rozeszła się wieść, że Tatarzy zbliżają się do Lwowa, wszczął się wielki popłoch wśród ludności. Rycerstwo pośpieszyło na wały i wkrótce zawrzała rozpaczliwa walka. Sam arcybiskup zachęcał do obrony, opatrywał rannych i udzielał umierającym ostatnich Sakramentów. Znużone wojska polskie zaczęły wreszcie wobec gwałtownego naporu wroga upadać na siłach i zdawało się, że miasto nie oprze się już dłużej nacierającej dziczy. W okropnej tej chwili zaintonował świątobliwy pasterz silnym i dźwięcznym głosem: „Pomnij Panno i Matko, kiedyś stanęła przed obliczem Boga, byś dobrze mówiła za nami, aby gniew swój odwrócił..." Na odgłos tej modlitwy otucha wstąpiła w serca dzielnych

rycerzy i ufni w pomoc Marji, rzucili się zaciekle na wroga. I stała się rzecz niespodziewana! Tatarzy cofnęli się w nieładzie i wkrótce nie pozostało z nich ani śladu. — „Modlitwy sędziwego arcypasterza to sprawiły!" — wołali wszyscy. Odezwały się dzwony kościołów i pośpieszono wspólnie podziękować Bogu za szczęśliwe ocalenie grodu. Błog. Jakób wzniósł wówczas oczy ku niebu i wyszeptał drżąc ze wzruszenia: „O Marjo, Matko wielkiego miłosierdzia, Tyś to sprawiła. Dzięki Ci, Pani nasza i Orędowniczko nasza, dzięki!... Zdrowaś Marjo!..."

Liczne nawrócenia dokonane przez błog. Strepę rozgłosiły się po całej Rusi. Najzagorzalsi schizmatycy jak lwowianin Steczko i zamożny Rusin Waśko Wołczkowicz wraz z całą rodziną złożyli w kościele, wobec tłumów wiernych, uroczyste wyznanie wiary katolickiej. Z każdym dniem przybywały nowe owieczki do owczarni gorliwego pasterza, to też śmiało mógł ów wierny sługa Boży wypowiedzieć te słowa: „Z dnia na dzień, za łaską Boga, schizma maleje, a prawdziwa religja i służba Boża codziennie się szerzy i wzmaga".

Osłabiony wiekiem i nie mogąc wskutek tego spełniać już, jak dawniej swych obowiązków, przybrał sobie arcypasterz do pomocy sufragana Zbigniewa, późniejszego biskupa kamienieckiego.

Dziesięć lat przed śmiercią spisał ostatnią wolę, której treść uwydatnia w całej pełni skromność i pokorę ewangeliczną błogosławionego. „Zakonny brat, Jan Hase — opiewał dokument — zaopiekuje się tem, co po mnie pozostanie. Infułę bogatą moją zachowa dla klasztoru oo. franciszkanów. Suknie i sprzęty da na wsparcie ubogich. Służbie należną uiści zapłatę, a mnie do trumny złoży w habicie zakonnym. Pochować należy mnie, jak każdego zakonnika, w murach klasztoru. Pomnika żadnego wznosić nie trzeba".

W rzeczywistości nie posiadał Strepa nic, bo wszystko, co odziedziczył po rodzicach, oraz dochody z arcybiskupstwa rozdał na cele szlachetne. Po ośmnastu latach niestrudzonej pracy na stolicy halickiej, zasnął w Panu r. 1411. Ciało jego złożono w kościele Św. Krzyża po lewej stronie wielkiego ołtarza. Sto lat po śmierci Błogosławionego nawiedził Lwów wielki pożar. Ogień powstał obok klasztoru franciszkanów i kiedy się daremnie wysilano, aby uratować siedzibę zakonników, rozpoczął jeden z braci głośną modlitwę, uciekając się w niej do przyczyny bł. Strępy.

I oto ukazał się prawie w tej samej chwili błog. Jakób nad płomieniami, w szatach biskupich, z pastorałem w ręku, zwrócony ku klasztorowi. Łuna zaczęła niebawem znikać i wkrótce ogień zgasł zupełnie, nie uszkodziwszy klasztoru.

O cudownem ocaleniu Lwowa zaświadczyli świadkowie naoczni i stwierdzili zeznanie swoje przysięgą. Ku wiecznej pamięci umieszczono nad bramą Jezuicką we Lwowie obraz przedstawiający bł. Strepę, unoszącego się nad pożarem, wraz z odpowiednim napisem.

W r. 1619 otworzono trumnę i znaleziono w niej ciało biskupa w całości. Ówczesny arcybiskup lwowski Jan Andrzej Próchnicki polecił przełożyć zwłoki do innej trumny, modrzewiowej, a następnie zamknąć w cynową, opatrzoną zamkami i trzema pieczęciami: arcybiskupią, klasztorną i miejską. Uroczyste przełożenie zwłok odbyło się 20 października r. 1626, poczem trumnę zamurowano w innem miejscu, w tym samym kościele Św. Krzyża.

Równocześnie rozpoczęto starania o beatyfikację na podstawie licznych zeznań, dowodów cudownych uzdrowień i innych zdarzeń za przyczyną Strepy doznanych.

Wreszcie policzył papież Pius VI r. 1760 arcybiskupa Jakóba Strepę w poczet Błogosławionych. Arcybiskup lwowski Ferdynand Kicki przeniósł szczątki po zniesieniu klasztoru franciszkanów r. 1788 do kościoła katedralnego i umieścił je w kaplicy Pana Jezusa.

BŁOG. JAN Z DUKLI

(ur. r. 1414 † r. 1484).

Nad Karpatami zapadał mrok wieczorny. Śnieżne ich wierzchołki, niby skroń ubielona długiemi laty, rysowały się zdala na tle szarawej mgły. Rozpostartą u stóp ich dolinę pokrywał wielki posępny cień. I cicho było dokoła, jak w pierwszych dniach stworzenia, gdy jeszcze człowiek odgłosem kroków nie przerywał błogiego snu ziemi. Robiło się coraz ciemniej, wszystkie przedmioty przybierały jedną barwę, że nie rozróżniłbyś liści drzew od złocistego kwiecia piętrzącej się po górach dziewanny. Słabe światełko wysunąwszy się wtedy z po za chmury, nieśmiało zabłysło w obłokach. Za pojawieniem się tej pierwszej wieczornej gwiazdy, zabrzmiała w cichej przestrzeni pieśń: „Witaj Królowo", głosząca chwałę Niepokalanej.

Tajemniczym śpiewakiem gór był młodzieniec od lat pacholęcych poświęcony Bogu; nie dziw więc, że w samotnem ustroniu [illegible] s

jego brzmiał tak uroczyście ku chwale Matki Bożej.

Jan, rodem z galicyjskiego miasteczka Dukli, wzgardziwszy zamłodu światem, zaledwie ukończył nauki, udał się do pustyni w góry karpackie. Znalazł tam niedaleko wioski Cergowa głęboką pieczarę, znaną po dziś dzień pod nazwą Zaśpitu i lat kilka strawił w niej na rozmyślaniu i modlitwie, przygotowując się do stanu kapłańskiego.

Ukończywszy swój hymn wieczorny, powstał i udał się na spoczynek, aby znów z pierwszym brzaskiem poranku chwalić Pana modlitwą i pracą.

Nazajutrz zaledwie jutrzenka zaświtała na niebie, zatrzymał się u wejścia do pieczary młodego pustelnika mnich okryty płaszczem podróżnym. Zerwał się Jan na odgłos kroków z twardego, mchem usłanego łoża, a ujrzawszy wędrowca, zapytał, czegoby żądał?

— Pozwól mi wpierw odpocząć, mój synu — odrzekł zagadniony — a potem dopiero wypowiem, co mam na sercu. Dobrzy ludzie, którzy mi wskazali drogę do ciebie, poradzili mi, abym dla uniknięcia dziennego skwaru szedł nocą, nie mogli jednak ochronić mnie od trudu podróży.

Niczem innem jak chlebem, owocami i wodą kryniczną nie mógł Jan podejmować swego gościa. Lecz pielgrzym nie przywykł widocznie

do lepszych pokarmów, bo przyjął wszystko ochotnie i pokrzepiwszy się, zaczął opowiadać, że wysłało go w owe strony lwowskie zgromadzenie franciszkanów w sprawach zakonu. Dowiedziawszy się o świątobliwem życiu młodzieńca, uprosił okolicznych wieśniaków, aby mu wskazali drogę do jego pustelni, zwłaszcza, że miał zamiar skłonić Jana do porzucenia tejże i poświęcenia się pracy w winnicy Pańskiej.

— Jesteś jeszcze młody, mój synu — mówił ojciec Izydor. — Wierzaj mi, że samotność chociaż z Bogiem więcej przystoi ludziom statecznego wieku. Jeżeli chcesz się usunąć od świata, uczyń to później, a teraz zabierz się do walki i czynu!

Wymawiał się Jan, pragnąc jeszcze czas jakiś pozostać w ustroniu dla nabycia większej doskonałości, lecz starzec mówił w sposób tak przekonywający, że dnia następnego porzucił pieczarę i wyruszył wraz z nim do Lwowa. Pustelnik z Zaśpitu, włożywszy na siebie suknię zakonną, uzyskał w krótkim czasie miłość i szacunek braci, a ojciec Izydor radował się niezmiernie owieczką, którą sprowadził do swej owczarni.

Po niejakim czasie zaszła potrzeba wysłania kogoś zaufanego w bardzo ważnych sprawach klasztoru do Krakowa i zakonnicy powierzyli jednomyślnie misję Janowi z Dukli. Młodzieniec w obawie, że nie sprosta zadaniu, wy-

Bł. Jan z Dukli, zakonu św. Franciszka.

(Nieśm. św.)

mawiał się od tego zaszczytu, lecz wkońcu musiał ulec i pośpieszył do stolicy.

Kiedy zdaleka ujrzał wieżyce starego Piastów grodu, jakaś błogość ogarnęła jego serce.

— Zaprawdę — mówił w duchu — Pan Bóg przeznacza mnie do spełnienia wielkiego dzieła!

I modlił się w pokorze, aby je mądrze i chwalebnie zdołał przeprowadzić.

Zaledwie z bijącem sercem przestąpił bramy miasta, wstrzymały go tłumy ludu. Przystanął z drugimi i czekał, rychło się będzie mógł przemknąć dalej. Ustąpiły wreszcie gromady ciekawych, lecz tylko, aby zrobić miejsce straży królewskiej, za którą postępował pieszo z odkrytą głową król Kazimierz Jagiellończyk wraz z biskupem krakowskim, kardynałem Zbigniewem Oleśnickim, i świetnym orszakiem duchowieństwa, panów, mieszczan i rajców miejskich. Na zapytanie zdumionego niezwykłym widokiem Jana, co za znaczenie mieć może wspaniały ten pochód, objaśniono go, że król zamierza w ten uroczysty sposób uczcić przybycie świętego męża Jana z Kapistranu, który zwiedzając kraje pograniczne, na prośbę monarchy zawitał do Krakowa. Pojawił się też wkrótce drugi orszak, lecz ten nie pieścił już oka złocistemi połyskami, bo złożony był z ludzi noszących barwę mocarza, który chociaż potężniejszy od wszystkich władców ziemi, kazał się zwać swym uczniom: „Sługą sług!“

Wysoki zakonnik o czole bladem i zapadłych oczach, płonących ogniem miłości Boskiej, wystąpił na powitanie króla. Młody Kazimierz szybkim ruchem schylił się do kolan kapłana, chcąc je uścisnąć z pokorą, lecz Jan z Kapistranu nie dopuścił do tego a podniósłszy króla złożył dłonie nad czołem monarchy i błogosławił mu długo. Po odprawieniu modłów w najbliższym kościele, udali się uczestnicy pochodu na zamek, podczas gdy Jan z Dukli, wzruszony niezwykłym widokiem, pośpieszył do klasztoru swych braci. Tutaj opowiedziano mu w krótkości żywot włoskiego zakonnika, który swem przybyciem tak wielką wzbudził radość w stolicy.

Jan z Kapistranu był ulubieńcem króla i piastował wybitny urząd dworski. Wyraźnem zrządzeniem Bożem powołany został do wyrzeczenia się świata. Słynął wówczas we Włoszech św. Bernard z Sienny, którego Jan z Kapistranu obrał sobie za mistrza, dopomagając mu gorliwie w zaprowadzeniu reformy po klasztorach franciszkańskich, które odstąpiły od właściwej reguły. Zdarzyło się, że ludzie zazdrośni obwinili św. Bernarda przed papieżem o odstręczanie od zakonu, wskutek czego zawezwano go do Rzymu, aby się oczyścił z czynionych mu zarzutów. Tutaj Jan z Kapistranu dziwnie uczoną i gorącą wymową tak dzielnie bronił mistrza, że kardynałowie, przeznaczeni

przez Ojca św. do rozstrzygnięcia sporu, uznali jednogłośnie niewinność i prawość zamiarów św. Bernarda. Stanęło na tem, że klasztory, które zaniechały pierwotnej reguły, pozostaną nadal pod nazwą franciszkanów czyli braci konwentualnych, zaś te, które do reguły tej powróciły, otrzymają miano obserwantów czyli bernardynów, od reformatora św. Bernarda z Sienny.

Tak pomyślne załatwienie konfliktu przysporzyło Janowi z Kapistranu sławy w całej Europie i wielka liczba klasztorów poszła za jego namową lub poradą. Papież, oceniając zdolności światłego kapłana, posługiwał się nim w rozmaitych ważnych sprawach dotyczących Kościoła, i zaofiarował mu biskupstwo. Jan z Kapistranu podziękował jednakże za zaszczyt, sądził bowiem, że za ciasne będą wówczas dla niego granice do zasiewu Bożego, podczas gdy obecnie ma obszerniejsze pole działania na całym świecie.

Prawdziwa miłość bliźniego, oparta na Bożej miłości, pamięta nietylko o doczesnych potrzebach drugich, ale myśli także o potrzebach duszy. Taką miłością odznaczał się w wysokim stopniu Jan z Kapistranu. Za jego staraniem zakładano liczne szpitale dla chorych, których sam często nawiedzał. Gdzie się pojawił, jednał niezgodnych i bronił skrzywdzonych,

słowem, był to mąż Boży, niosący miłosierdzie i pokój.

Trudno wypowiedzieć radość Jana z Dukli na myśl, że będzie mógł zaczerpnąć światła od tej jasnej pochodni!

— Nie darmo — mówił do otaczających go braci — miałem tak błogie przeczucie, zbliżając się do Krakowa, i jakżeby mogło być inaczej, skoro tak wielka czekała mnie tu łaska!

Zaraz dnia następnego udał się Jan z Dukli na zamek, w którym przebywał Jan z Kapistranu, i po długiej z nim rozmowie, postanowił, zdjęty pobożną chęcią ostrzejszej reguły, przyjąć natychmiast reformę. Zrozumiały się szybko dwie pokrewne sobie dusze i odtąd święci mężowie często przebywali razem. Jan z Kapistranu pozostał jeszcze rok cały w Krakowie, założywszy z hojnych ofiar kardynała Zbigniewa Oleśnickiego kościół i klasztor bernardynów. Gdy już miał opuszczać Polskę, zapragnął król, który zaślubiał właśnie córkę austrjackiego cesarza Albrechta, przyjąć z rąk świątobliwego kapłana błogosławieństwo. W przeddzień wyjazdu łączył więc Jan z Kapistranu stułą ręce Kazimierza i Elżbiety. Udał się następnie do Węgier, aby tam spędzić resztę swych dni.

Jan z Dukli, powróciwszy do Lwowa, rozpoczął jakby na nowo ćwiczyć się w surowem życiu zakonnem. Przekonywającą wymową

sprowadził wielu na dobrą drogę, a był tak tkliwego i łagodnego usposobienia, że nie przypuszczał nigdy złego sądu o bliźnich, powtarzając często zdanie jednego z Ojców Kościoła, że: „Człowiek podejrzliwy nie może być z łatwością zbawionym".

Kiedy w podeszłym już wieku utracił wzrok, obdarował go Pan Bóg duchem proroczym. Przepowiedział wiele rzeczy, a między innemi i dzień swej śmierci. W jednem z cudownych widzeń, których doznawał podczas modlitwy, ukazała mu się Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus, mówiąc: „Będziesz patronem ruskich krajów!"

Krótko przed śmiercią śpiewał, pełen wiary w szczęśliwą wieczność, wspólnie z braćmi psalmy nad umierającymi i trwał do ostatniego tchnienia w żarliwej modlitwie. Umarł licząc lat siedmdziesiąt, w dzień św. Michała r. 1484. Pan Bóg wsławił wierność sługi swego wielu cudami. Świadczą o nich listy ówczesnych panów polskich, przechowywane przez długie lata w kościele bernardynów lwowskich, w którym też spoczywają szczątki świątobliwego męża.

Papieże Paweł V i Urban VIII rozpoczęli po sprawdzeniu cudów proces kanonizacyjny, ukończony dopiero r. 1739 przez Klemensa XII, który ogłosił Jana z Dukli Błogosławionym i Patronem Polski oraz Wielkiego Księstwa Litewskiego.

ŚW. KAZIMIERZ JAGIELLOŃCZYK

(ur. r. 1458 † r. 1484).

W obszernej komnacie królewskiego zamku na Wawelu, siedziała przy hebanowym, złotem nabijanym kołowrotku królowa, snując cieniuchną lnianą przędzę. Od czasu do czasu przerywała pracę, aby spojrzeć z miłością na gromadkę dzieci, bawiących się w przeciwległym narożniku pokoju. W owej właśnie chwili uparły się one wciągnąć do swej zabawy bladego, anielskiej piękności braciszka, który jej nie chciał podzielać.

— Zostawcie mnie w spokoju — prosił łagodnie — wszak wam nie przeszkadzam w niczem!

— Ale siedzisz smutnie zdaleka i tem nas martwisz — rzekła dwunastoletnia dziewczynka, przypominająca z rysów twarzy pochyloną nad kołowrotkiem matkę.

— Musisz stanąć tutaj, pomiędzy Władysławem, Zygmuntem, Aleksandrem i Albertem, a Fryderyk was wszystkich ku nam poprowadzi!

— Dobrze mówi Zofja — dodała młodsza siostra — chwytając opierającego się brata za rękę.

— Lecz cóż ty ukrywasz przed nami? Pokaż, pokaż mi zaraz! — i przemocą chciała otworzyć zaciśnięte na piersiach ręce chłopca.

— Wstydź się swej ciekawości, Elżbieto! Czyż nie wiesz, że Kazimierz schował różaniec, na którym podczas zabaw naszych pobożnie odmawiał pacierze? — rzekł, stając w obronie uciśnionego, młodzieniaszek, zwany Zygmuntem.

— Nie przeszkadzajcie mu i sami zajmijcie się jaką użyteczną pracą — dodała matka, spoglądając tkliwie na bladego chłopczyka i wyciągając ku niemu ręce.

Kazimierz szybko pobiegł ją uściskać, rzuciwszy wpierw pełne wdzięczności wejrzenie na brata.

Podczas gdy dzieci zachmurzone, że się nie stało zadość ich żądaniu, stały jeszcze na środku komnaty, uchyliły się ciężkie drzwi dębowe i wszedł mąż wspaniałej postawy a za nim poważny kanonik krakowski. Zatrzymali się w progu, spoglądając bacznie dokoła. Kiedy ich dziatwa spostrzegła, rozpierzchła się na dwie strony. Obie siostry stanęły obok matki i Kazimierza, a bracia posunęli się do porzuconej w oknie sieci, którą przedtem wiązali.

— Dobrze, że zaprzestajecie płochej zabawy waszej — odezwał się nowoprzybyły —

bo właśnie nadszedł czas, w którym musicie rozstać się z nią na zawsze. Oto wielebny Jan Długosz z Niedzielska, którego upatrzyłem sobie na mistrza dla naszych synów — dodał, wskazując na kanonika. — Za kilka dni rozpocznie się więc praca. Zapewniłem go, że nawet płacz wasz, gdy sprawiedliwie zostaniecie skarani, będzie dla mego ucha miłą muzyką. Wzorowo wyćwiczyć się musicie w naukach i doskonałości chrześcijańskiej.

— Od was zaś, dzieweczki moje — mówił dalej, zwracając się do córek — pragnę tylko, abyście za przykładem waszej matki, zabrały się do wszelkich pożytecznych zajęć, potrzebnych każdej niewieście, tak z kmiecego jak i szlacheckiego stanu.

Gromadką, upominaną tak przez ojca, była królewska rodzina Jagiełłów.

Znajdował się wtenczas w komnacie: Kazimierz Jagiellończyk, król polski, Elżbieta Austrjacka, jego małżonka, córki ich Zofja, późniejsza margrabina brandenburska i Elżbieta, księżna lignicka, oraz synowie: Władysław, przyszły król węgierski, Albert, kardynał i arcybiskup gnieźnieński, i wreszcie świątobliwy Kazimierz, który później stał się chlubą narodu polskiego na ziemi i Orędownikiem jego w niebie.

Z pomiędzy młodych królewiczów, oddanych pod nadzór biegłego mistrza, Kazimierz nietylko celował w naukach, lecz starał się

nabyć przed innemi, dokładnej znajomości samego siebie, tak, że zaledwie wyszedł z lat pacholęcych, śmiało mógł o sobie powiedzieć: „Starałem się, a dano mi jest; wzywałem, a wstąpił we mnie duch mądrości!"

— Nie wynoszę się godnością królewskiego rodu! — powtarzał często słowa Pisma św. — „Cóż pomoże człowiekowi, chociażby świat cały posiadał, jeżeli duszę swą zgubi?"

Ukochawszy przedewszystkiem zbawienie tej duszy, nie mieszał się nigdy do zabaw dworskich, lecz czas wolny od nauki spędzał na pobożnych rozmyślaniach lub na modlitwie, podczas której niekiedy wpadał w zachwycenie. Pałając dziwnie tkliwą miłością ku Niepokalanej Marji, ułożył na Jej cześć piękne rymy łacińskie, które przetłumaczone na język polski, po dziś dzień są w ustach pobożnych. Miłosierdzie jego dla uciśnionych i biednych było bezgraniczne. Jedynie dla nich używał wpływu swojego u dworu oraz dochodów, które miał do rozporządzenia. Wszyscy otaczający go, przejęci byli ku niemu głęboką czcią i wielką miłością, to też martwili się bardzo wraz z całą rodziną królewską, kiedy świątobliwy młodzieniec zaczął zapadać na zdrowiu.

Zdarzyło się raz, że mistrz Długosz, który pilną dawał baczność na swych wychowanków, zaszedłszy późnym wieczorem do ich komnaty, zastał łóżko Kazimierza nietknięte. Zrobił się

wielki rozruch na zamku i długo szukano daremnie królewicza. Dopiero straż nocna dała znać, że znalazła go u drzwi kaplicy zamkowej. I w rzeczy samej leżał tam młodzieniec krzyżem, tak zatopiony w modlitwie, że nie słyszał kroków nadchodzącej służby. Zbudziwszy się z zachwycenia, powrócił do swej komnaty, gdzie Długosz, widząc osłabienie królewicza, strofował go łagodnie i prosił, aby narażeniem się na chłód wieczorny nie powiększał swych cierpień.

— Źle czynisz, mój synu, nie oszczędzając zdrowia, potrzebnego dla dobra całego narodu — dodał, wpatrując się w blade a piękne rysy Kazimierza. — Wczoraj doszła króla wiadomość, że brat twój, Władysław, otrzymał koronę czeską, ty więc jesteś teraz następcą tronu polskiego, jako najstarszy zkolei.

— O nie mów mi tego, mistrzu! — odparł składając ręce Kazimierz. — Daj Boże, aby pan i dobrodziej mój ojciec, którego mi Bóg czcić kazał, w jak najdłuższe lata szczęśliwie królował! Niech ja wpierw umrę, żebym na śmierć jego nie patrzał! Nie pragnę ja królestwa ziemskiego, bo mnie Pan Najwyższy stworzył do tego, które nam Chrystus męką swą i śmiercią zgotował.

W r. 1471 przybyli Węgrzy do Polski, aby uprosić młodego Kazimierza na swego monarchę. Wyruszył wtenczas królewicz posłuszny woli ojca, choć niechętnie, z wojskiem do Wę-

gier. Tymczasem zaczął się naród skłaniać zpowrotem na stronę złożonego z tronu Macieja I. Widząc to Kazimierz, wrócił do Polski, nie chcąc powodować niesnasek i rozlewu krwi, mimo że się naraził na gniew ojca. Po powrocie spędził trzy miesiące na ćwiczeniach pokutniczych, a ponownego wezwania na tron nie przyjął.

Wkrótce potem zdrowie królewicza znacznie się pogorszyło. Przewieziono go pod nadzór biegłych lekarzy do Wilna, którzy radzili mu zaprzestać postów, umartwień i ćwiczeń duchownych. Kazimierz oburzył się na nich, mówiąc:

— Nie uczynię tego nigdy, abym dla zdrowia doczesnego tracić miał łaskę Bożą!

Przed śmiercią, której dzień i godzinę przepowiedział, wziął krucyfiks do ręki, pocałował go, przycisnął do piersi i oddał Bogu czystą swoją duszę 4 marca r. 1484, mając lat 26. Ciało jego spoczywa w marmurowej kaplicy przy katedrze wileńskiej pod ołtarzem Najświętszej Marji Panny Niepokalanej. Liczne są cuda zdziałane za przyczyną św. młodzieńca. Dziewczynka, którą złożyli rodzice nieżywą przy grobie Świętego w Wilnie, prosząc go o orędownictwo u Pana Boga, wkrótce ożyła.

Kiedy wojska polskie i litewskie r. 1518 walczyły pod Połockiem przeciw Moskwie, błagał król polski, Zygmunt Stary, widząc prze-

wagę nieprzyjaciela, o pomoc Boską dla oręża polskiego za przyczyną św. Kazimierza. Podanie niesie, że zjawił się wówczas królewicz w białej szacie przed wojskiem polskiem i wskazał mu przeprawę przez Dźwinę, wybawiając je w ten sposób z wielkiego niebezpieczeństwa.

Te i inne cudowne zdarzenia po zgonie Kazimierza, potwierdzające sławę świętości królewskiego młodzieńca, skłoniły r. 1521 papieża Leona X do policzenia go w poczet Świętych, a papież Klemens VIII zezwolił, aby dzień św. Patrona Królestwa Polskiego obchodzono w całej Polsce i na Litwie uroczystem świętem.

BŁOG. WŁADYSŁAW Z GIELNIOWA

(ur. r. 1440 † r. 1505).

W cichą, uroczą noc letnią siedział przy otwartem oknie ubogiej izdebki młodzieniec, pogrążony w tęsknej zadumie. Wsparłszy głowę na ręku, utkwił wzrok w niebo zasiane gwiazdami. Srebrzyste ich światło oblewało jakimś tajemniczym blaskiem piękne jego rysy i wzniosłe pełne głębokich myśli czoło. Szata zdradzała ucznia wszechnicy jagiellońskiej.

O czemże tak marzył? Czy może utrwalał sobie w pamięci mądre słowa mistrza Długosza, który, doglądając pilnie synów króla Kazimierza, znajdował zawsze chwilę na rozmowę z uczniami, odznaczającymi się między szkolną rzeszą? Czy też myśl jego, bujając w przestworzach, rozważała objawione wówczas światu odkrycia uczonego rodaka naszego, Mikołaja Kopernika z Torunia?

Nie! W tej chwili nie wiedza ludzka była przedmiotem rozmyślań młodzieńca! Umysł je-

go zajmowały obecnie rzeczy Boskie, a dusza pałała miłością mądrości Najwyższej!

— Przyjdź królestwo Twoje! — powtarzał ze łzami, patrząc w niebo. — O Panie! daj, aby ludzie ukochali Cię miłością wielką! Daj, aby naukę Twoją, którą wielu przyjęło, a mało pojęło, wszyscy wyznawali sercem i czynem!

— Amen! — odezwał się głos na ulicy, jak niemiły krzyk puszczyka, i kilku młodych ludzi przesunęło się z hałasem koło okna. Z ubrania podobni byli do modlącego się w izdebce, ale z wyrazu twarzy widać było, że inne zajmowały ich myśli i czyny.

— Czemu nie miniesz go nigdy bez szyderczej zaczepki? — rzekł jeden z przechodniów, spoglądając z niechęcią na towarzysza, który dorzucił: „Amen".

— Bo mu przebaczyć nie mogę, że śmie się wtrącać w moje sprawy! Żeby mi przynajmniej sprostał mieniem, lub klejnotem! Ale gdzie tam! Ubogi, na mnicha przeznaczony szlachetka! Niby to pokorne i stroniące od ludzi, a zawsze się znajdzie podczas jakiejś bójki lub kłótni, żeby przeszkodzić zapaśnikom!

— Przestałbyś tak mówić, Wszeborze! Władysław z Gielniowa nie zamąci wody nikomu! Jeżeli podąży z dobrą radą, to tak łagodnie się odezwie, że nie należy złem sercem przyjmować jego słów.

— Prawdę mówi Stefan! — przywtórzyli wszyscy.

— Oczarował was widzę! — odparł złośliwie Wszebor. — Miłujcie go sobie, kiedy chcecie, a mnie o nim nie wspominajcie, bo kiedy pomyślę, że nie dalej jak wczoraj przeszkodził mi w ukaraniu zuchwałego pachołka, czuję, że niedługo zabraknie mi cierpliwości, a wtenczas nauczę tego śmiałka siedzieć cicho w odartej izdebce, w której widzieliśmy go przed chwilą.

Towarzysze wzruszyli ramionami, a Wszebor, powiedziawszy te słowa, wyprostował dumnie wysoką swą postać i otworzył drzwi swego mieszkania, przed którem się właśnie znajdował.

Z urządzenia komnat można było na pierwszy rzut oka rozpoznać, że młodzieniec, należąc do zamożnej rodziny, pozbawiony był opieki rodzicielskiej, zwłaszcza, że w owych czasach dopiero w stateczniejszym wieku pozwalano sobie na takie zbytki.

Ściany komnaty, obite od dołu do góry tureckiemi makatami, zdobiły bogate rzędy i broń wyborowa, a po bokach stały złociste krzesła. Na dębowym stole zapraszały potężne rostruchany wesołych biesiadników. Nie opierali się też długo milczącej ich prośbie młodzi, a zasiadłszy do uczty, przeciągnęli ją aż do świtania.

Władysław z Gielniowa tymczasem zabierał się po krótkim wypoczynku do pracy. Nikt pilniej od niego nie korzystał z wykładanej nauki i nikt zarazem mniej nie wzbudzał zawiści, bo ludzie wtenczas tylko darować nie mogą wyższości, gdy ta upokorzyć ich pragnie. Skromność i pokora prawdziwie wzniosłego ducha zawsze pociągają do oddania mu należnego hołdu.

Jeden tylko Wszebor z Pilicy niechętnie spoglądał na młodego towarzysza z szkolnej ławy. Sierota, otoczony pochlebcami, dumny ze swych rozległych włości, nie rozumiał, jak ubogi, nic nieznaczący młodzieniec poważa się prostować jego ścieżki.

*

W celi warszawskiego zakonu księży bernardynów dwaj zakonnicy cichą wiedli rozmowę. Widać żywo ich poruszała, bo oczy to oburzeniem błyszczały, to zwilżały się łzami, niby rosą niebieską, gaszącą gorętsze uczucia.

— Tak więc, bracie Władysławie — mówił starszy z nich — skoro już wiemy z pewnością, że obelżywe wyrazy zawiści miotane na zgromadzenie nasze doszły do uszu Ojca św., niema innej rady, jak udać się do Rzymu, aby się oczyścić z niesłusznych zarzutów. Bóg świadkiem, że radbym bronić sam mej owczarni przeciw okrutnym wilkom, szarpiącym jej sławę, ale stargane wiekiem siły, nie pozwalają mi

na tak daleką podróż. Musisz mnie zatem koniecznie zastąpić.

— Ależ, wielebny ojcze! — zawołał z obawą Władysław. — Czyż ja podołam tak ważnej sprawie? Możeby się znalazł ktoś odpowiedniejszy? Błagam was, naradźcie się z braćmi!

— Błogosławiona twoja pokora, mój synu, lecz chociaż nie ufasz swym siłom, wszyscy w tobie pokładamy nadzieję. Chodź ze mną, a przekonam cię o prawdzie mych słów.

I powstawszy z żywością szedł przez długi korytarz do sklepionej komnaty, w której na głos dzwonka przełożonego, zwykli się gromadzić zakonnicy. Niebawem zebrali się wszyscy.

— Najmilsi bracia w Chrystusie! — odezwał się wtenczas starzec. — Wiecie już, że wypada, aby bezzwłocznie ktoś młodszy i zdolniejszy ode mnie udał się do Rzymu. Osądźcie teraz sami, który z was ma zostać tym wysłannikiem?

Oczy wszystkich zwróciły się w tej chwili na Władysława z Gielniowa i wszyscy wymówili jego imię. Kilka lat dopiero upłynęło, jak włożył na siebie habit, a już zjednał sobie serca braci zakonnych. Hojnie Bóg uposażył duszę sługi swojego, jednakże z cnót, któremi jaśniał, najwięcej pociągała umysły łagodność i słodycz anielska. Zasłynął już szeroko dziełami świątobliwemi, kiedy się rozeszła wieść, że w zastępstwie przełożonego jedzie do stolicy Namiest-

nika Chrystusowego. Możni panowie, a wreszcie sam król Kazimierz, przyrzekli wspierać go powagą swoją u Ojca św.

Po wysłuchaniu dzielnej obrony Władysława z Gielniowa przekonano się o fałszu czynionych zakonowi zarzutów i przywrócono niewinnym braciom wydartą im sławę. Uradowany kapłan odprawił najpierw modły dziękczynne w kościele św. Piotra, poczem zwiedził święte pamiątki wiecznego miasta. Zrosił łzami schody, któremi wśród obelg i boleści wstępował Zbawiciel do domu Piłata, i szczątki żłobka oraz krzyża św., kolebki i grobu Pana Jezusa. Padł na twarz przed wizerunkiem Weroniki, odbitym na zasłonie, i ucałował krwią przesiąkłą ziemię Koloseum. Wkońcu zapuścił się w pieczary katakumb. W domowem tem ognisku, a zarazem grobie męczenników za wiarę, błagał ich, aby swą miłością ogrzali oschłe dusze wątpiących. Gdy ukończył modlitwy i zabierał się do wyjścia, ujrzał na zakręcie podziemia przy żywszym blasku lampy pielgrzyma, wzdychającego ciężko i bijącego się ze skruchą w piersi.

— Władysław z Gielniowa! — Wszebor z Pilicy! — zawołali jednocześnie, zdziwieni niespodziewanem spotkaniem.

— O jakże rad jestem, że cię widzę! — zawołał Wszebor. — Dzięki niebu, które wysłu-

chało tajnych pragnień mego serca. Wszak nie odmówisz mi chwili rozmowy!

— Chętnie przychylę się do twego żądania — odparł Władysław — gdyż z czoła twego, okrytego przedwczesną zmarszczką, i z wyrazu twarzy widzę, że przygnębia cię gorzkie zmartwienie.

— O tak! — mówił ze smutkiem Wszebor — prawica Pańska ciężko mnie dotknęła! Zbolała dusza tęskni do słów, któreby jej ulgę przynieść mogły. Jako kapłan Boży nie miej do mnie za dawne moje przewinienia urazy, nie pomnij na błędy młodości!

— Uspokój się, miły bracie, dawno ci już przebaczyłem i zapomniałem wszystko. Pokój Boży niech będzie z Tobą!

I wymawiając te słowa, nakreślił zakonnik znak krzyża św. nad głową żałującego towarzysza.

— Wiadomo ci — mówił Wszebor, gdy zasiedli w gospodzie — jak znaczną w młodości odziedziczyłem schedę. Przyzwyczajonemu jednak do próżniactwa, nie chciało mi się zająć gospodarstwem. Burzliwe zjazdy, hulanki zabierały czas i nie szło jakoś ani w domu ani w polu. Ościenna uboga szlachta nie lubiła, żeby jej deptano po karkach, to też wieczne z nią miałem zatargi, bo u mnie w głowie było tylko rej wodzić wszędzie, tylko zawstydzać mniej zamożnych. Za to też każdy z nich, czem mógł, do-

kuczał niemiłemu sąsiadowi. Kilka lat przeszło mi na ciągłych sporach. Wreszcie pojąłem żonę. Nie skarżyła się nigdy, ale pewien jestem, że nie zaznała przy mnie nigdy szczęścia. Poczciwa niewiasta radaby świat cały przygarnęła do serca, a moja szalona duma odpychała wszystkich. Bóg dał nam syna i otóż błogosławieństwo takie zamiast mnie zmienić, większą mnie jeszcze pychą napełniło. Chciałem dla dziecka mego pozyskać skarby i godności, o jakich dotąd nie marzyłem. Rozpocząłem starania o zaszczyty i urzędy ziemskie, które tylko wtenczas można osiągnąć, jeżeli się ma szacunek i miłość u ludzi. Tu doznałem pierwszych upokorzeń, bo w braku przyjaciół i wpływów, plany moje wniwecz się obróciły. Przyszło mi wtedy na myśl, jak to czasem najdumniejszy potrzebować może pomocy maluczkiego! W domu ubywało dostatków, ponieważ sam nie umiałem się niczem zająć, a nie było przychylnej duszy, którąby się ulitowała nad moją niedolą. Nadomiar zgryzoty, jedyne me dziecko, nadzieja przyszłej świetności rodu, zaniemogło ciężko. Zakupywałem msze św., rozsyłałem bogate datki po klasztorach, jeden nawet odbudowałem, ale nic nie pomogło. Daremnie modlili się księża, daremnie leczyli doktorzy, dziecię umarło. Za niem poszła niedługo zrozpaczona matka. Opuścili mnie pochlebcy, zauważywszy, że majątek się kurczy. W tak ciężkiem osa-

motnieniu, czas jakiś wlokłem nędzny żywot. Nie mogąc wreszcie wytrzymać dłużej w pustym domu, przywdziałem suknie pielgrzyma i poszedłem szukać pociechy w miejscach świętych. Lecz i tu nie opuściło mnie cierpienie i nie wiem, co dalej począć.

— Przedewszystkiem odmienić serce, mój synu! — odrzekł, wysłuchawszy opowiadania, zakonnik. — Nie znajdziesz pociechy nigdzie, dopóki oprócz wiary nie będzie miłości. Miejsce jej w twej duszy zajmowała pycha, a dziś zniechęcenie ogarnęło umysł. Odepchnij je, staraj się o zbieranie nieśmiertelnych bogactw, gdy Bóg dał ci poznać znikomość ziemskich pomyślności. Wierzaj mi, skoro uzyskasz wiarę i miłość, nadzieja ulży twemu strapieniu, bo wskaże ci lepsze, wiekuiste życie.

Ukończywszy chlubnie swe posłannictwo, powrócił Władysław do rodzinnego kraju, gdzie wkrótce został przełożonym zakonu, nauczając braci słowem i czynem. Troskliwy o kształcenie umysłów, którym powierzony jest kierunek dusz ludzkich, pilną dawał baczność, aby kapłani nabywali potrzebnych im wiadomości. Niezmordowany w pracy odmawiał niektóre dłuższe modlitwy sam codziennie wraz z ludem. Znaczną ich część sam ułożył i spisał. Porywającą wymową kaznodziejską nawrócił niemałą liczbę grzeszników. Według słów Chrystusa: „Brzemię moje jest lekkie, a jarzmo słodkie", nigdy ostrą

naganą nie jątrzył dusz występnych, lecz napominał łagodnie a skutecznie.

Potwierdzeniem łask, jakich Władysław z Gielniowa doznawał często podczas modlitwy, było następujące zdarzenie:

W czasie kazania o Męce Pańskiej, objaśniał on pewnego razu, wobec licznie zgromadzonych słuchaczów różnego wieku i stanu, z wielkim zapałem ducha tę świętą tajemnicę, a kiedy doszedłszy do srogiego i smutnego ubiczowania Chrystusa podniósł krucyfiks w górę i zawołał do głębi przejmującym głosem: „O Jezu, Jezu mój kochany!" wpadł w zachwycenie i w oczach całego ludu zawisł w powietrzu.

Jak złoto w ogniu, tak świątobliwa dusza nabierała blasku w cierpieniach u schyłku życia. Dotknięty ciężką niemocą, zajmował się Władysław tylko jeszcze rzeczami Boskiemi. W bezustannej modlitwie i cudownych widzeniach poszedł po wieniec chwały niebieskiej 4 maja r. 1505.

Mnogie cuda objawione u grobu Władysława z Gielniowa w kościele klasztornym św. Anny w Warszawie, spowodowały prymasa Stanisława Karnkowskiego do uroczystego podniesienia szczątków świętego zakonnika, a papież Benedykt XIV policzył go r. 1750 w poczet Błogosławionych.

BŁOG. IZAJASZ BONER

(ur. r. 1380 † r. 1470).

Gwarno i ludno było w murach Konstancji r. 1414, podczas szesnastego soboru powszechnego, który został wywołany naukami Husa.

Ilekroć świetny orszak duchowieństwa i świeckich panów opuszczał gmach, w którym się odbywały narady, zaledwie się mógł przecisnąć pomiędzy nagromadzonym tłumem. Kiedy przechodzili mężowie uczeni i pobożni, ciekawy lud podawał sobie z ust do ust ich nazwiska i wymieniał zasługi. A było się czemu przyglądać i o czem rozprawiać, bo sobór konstancjeński, jeden z najważniejszych i najpamiętniejszych w historji, zgromadził nietylko wielki poczet uczonych Kościoła, lecz i książąt i panów ze wszystkich stron świata, z papieżem Janem XXIII i cesarzem Zygmuntem na czele.

Pewnego poranku rozeszła się wieść, że papież zamierza opuścić Konstancję i że wkrótce zakończą się głośne obrady; liczniej więc niż kiedykolwiek zebrali się widzowie

u bram cesarskiego pałacu. Pomiędzy innymi zwracali uwagę bogatym narodowym strojem, Jan Kerner, sławetny rajca Konstancji, i pani Mina, młoda jego małżonka. Ta ostatnia, wsparta na ramieniu męża, wypytywała go z zajęciem o przechodzących panów.

— I cóż mi z tego, że widziałam tyle świetności — rzekła w chwili, gdy się mieli zabierać zpowrotem do domu — kiedy nie zobaczyłam Husa, o którym tyle ciekawych opowiadają rzeczy! Szkoda, doprawdy wielka szkoda, że nie zamyśla on i nadal opuszczać swych komnat!

— I przez to naraża na tak ciężką próbę ciekawość kobiecą — dorzucił z uśmiechem mąż.

— Łatwo ci się z niej natrząsać, skoro twoja dawno zaspokojona! — mówiła Mina. — Podobno kiedyś nawet dobrze go znałeś? — dodała ciszej i nieśmiało.

— Tak jest w rzeczy samej i czego miałbym się zapierać? — odparł rajca. — Była chwila, w której hołdowałem jego nauce, ale od czasu jak świątobliwy Izajasz, uczestnik soboru, rozproszył wątpliwości chwiejnego umysłu, nie mam nic wspólnego z tym nieszczęśliwym. Żałuję tylko, że nie mogę przelać w duszę odstępcy promienia prawdziwego światła, które mnie oświeciło. Jest to jednakże niepodobieństwem, zwłaszcza, że wierzy on szczerze w prawdziwość swych przekonań, oczy jego świecą niekłamanym zapałem, a blade czoło

napiętnowane jest jakimś znakiem fatalnym i zda się mówić, że położy życie za swe zasady.

— Jeżeli się tak rzeczy mają, to żałuję go bardzo! Biedny, nieszczęsny szaleniec!... Wiesz co, odprawmy jaką pobożną pielgrzymkę i módlmy się, aby Pan Bóg raczył go zwrócić z drogi, na którą wstąpił.

— Dobrze mówisz, Mino, Bóg jedynie uratować go może. Ale śpieszmy do domu, gdyż trzeba nam przyjąć gości naszych u progu.

— O! zdążymy! patrz, dopiero idą w tę stronę! Lecz któż jest ten biskup o wspaniałej postawie, który tak żywo rozprawia z ojcem Izajaszem?

— Jest to kardynał d'Ailly, przybyły z Francji, nazwano go młotem na heretyków, tak umiejętnie potrafił wykazywać i obalać ich błędy. Nie dziw więc, że wkrótce zaprzyjaźnił się z bogobojnym mężem z Polski, również dzielnym obrońcą Kościoła Chrystusowego.

— Wielebny Izajasz jest zarazem ojcem wszystkich nieszczęśliwych i nikt mu nie dorówna w miłości i łagodności chrześcijańskiej!

— Co to, to prawda! Codziennie też dziękuję Panu, że nam dozwolił mieć go pod naszym dachem — dodał rajca, składając ręce jakby do modlitwy.

Gościem, którego Jan Kerner i jego żona w tak wielkim mieli szacunku, był Izajasz Boner, dla świątobliwego życia później Błogosła-

wionym zwany. Wraz z świeckimi posłami króla Władysława, Hanuszem z Tuliskowa i Zawiszą Czarnym z Grabowa, wysłany został do Konstancji, aby tam jako doktór św. teologji godnie przedstawiał polskie duchowieństwo. Niedługo po swem przybyciu nawrócił na drogę prawdy swego gospodarza Kernera, sprzyjającego poprzednio skrycie naukom Husa. Później nieco ujrzała go pani Mina zatopionego w modlitwie i jakoby w promiennej jasności uniesionego ponad ziemię. Przywołała męża i długo podziwiali oboje widoczną łaskę, jaką Pan naznaczył swego sługę. Odtąd uważali pobyt jego w swym domu za szczególne błogosławieństwo nieba i kiedy nadeszła chwila odjazdu, żegnali Izajasza z prawdziwym żalem.

Niewiele czasu upłynęło od soboru, a Izajasz zapomniał w cichych murach swego klasztoru o rozgłosie, jaki uzyskał swą uczoną wymową, i nie tęsknił za gwarem i chwałą świata, bo jako prawdziwy sługa Boży pragnął tylko doskonalić się w cnotach, które miłował.

Urodzony w Krakowie r. 1380 za panowania Ludwika, króla polskiego i węgierskiego, z ojca Florjana i matki Bronisławy z Lanckorońskich dostał na chrzcie św. imię Ambrożego. Spędziwszy wiek dziecięcy pod okiem pobożnej matki, kształcił się następnie w akademji przez Kazimierza Wielkiego r. 1347 założonej i tu otrzymał r. 1406 stopień doktora św. teologji.

Zachęcony pobożnością oo. augustjanów wstąpił do ich zakonu, gdzie przyjął imię Izajasza. Wkrótce stał się dla wszystkich wzorem cnót wszelkich a zwłaszcza miłości bliźniego. Z wielką lubością czytał i rozpamiętywał pisma św. Augustyna, założyciela zakonu, czerpiąc z nich zbawienne nauki.

Żyli wówczas w Krakowie: św. Jan Kanty, profesor tamtejszej akademji, Michał Gedrojć, Stanisław z Kazimierza i Szymon z Lipnicy. Schodzili się oni często w celi Izajasza, prowadząc uczone i podniosłe rozmowy.

Podczas jednego z takich zebrań wszedł do celi, niezwykle wzruszony, bogobojny kapłan Świętosław, przyjaciel serdeczny Izajasza.

— Witajcie mi, wielebny ojcze! — rzekł powstając na jego widok Izajasz. — Dawno już nie widzieliśmy was pomiędzy sobą, a wiecie przecież, jak was wszyscy miłujemy!

— Dzięki wam za przychylność waszą! — odparł Świętosław — ale służba Boża nie zostawia mi ani jednej wolnej chwili, którą radbym z wami spędził, i teraz przychodzę także tylko jako wysłannik w obcej sprawie. Bogumiła z Kazimierza kazała was prosić, bracie Izajaszu, żebyście przyszli odmówić modlitwy za jej męża, który śmiertelnie zachorował. Żywi ona nadzieję, że uzyska przez wasze wstawiennictwo łaskę Bożą i pociechę w wielkim swym smutku.

— Pan niezbadany jest w swej chwale i wielmożności! — rzekł Izajasz. — Idźmy się modlić z Bogumiłą!

Stanisław z Kazimierza, zamożny rajca krakowski, pojął był niedawno za żonę młodą i bogobojną niewiastę, którą kochał całą duszą i nawzajem był przez nią miłowany. Spodziewał się zatem Izajasz, że zastanie dom cały w rozpaczy i we łzach. Zdziwił się bardzo, nie słysząc płaczu ani narzekania. Przebiegł szybko kilka pustych komnat, i wreszcie dopiero dowiedział się od domowników, że pan ich właśnie przed chwilą żyć przestał, a wszyscy są jeszcze zgromadzeni w żałobnej izbie. Pośpieszył Izajasz natychmiast na wskazane miejsce. Przy łożu zmarłego klęczała żona, wlepiwszy w twarz nieboszczyka wielkie, martwe i nieruchome oczy. Gdyby nie straszny wyraz boleści, wyryty na jej bladem licu, rzekłbyś, że jest pozbawiona czucia.

Na ten widok zadrżał Izajasz, jakby odczuł w sercu odbicie jej cierpienia. Padł na kolana i wzniósł myśli do Boga. Wszyscy obecni uklękli i modlili się gorąco, jakby pod wrażeniem dokonać się mającego cudu. Podczas modłów zdawała się młoda małżonka przychodzić do siebie i wraz z życiem, które powracało, zwiększała się jej rozpacz. Izajasz wspomniawszy wtedy na cierpienia matki Zbawiciela, stojącej pod krzyżem, błagał Marję, aby się oka-

zała matką osieroconej niewiasty. Głębokie westchnienie, wydobywające się z piersi zmarłego, było odpowiedzią na tę prośbę. Pokorny zakonnik padł twarzą na ziemię i dziękował Panu za wymodloną łaskę, a Stanisław z Kazimierza powstał i wyciągnął ręce do żony, która zaledwie pojąć mogła ogrom swego szczęścia.

Liczne podania przechowały nam jeszcze wiele innych dowodów łaski, jaką miał u Pana Boga świątobliwy Izajasz za swą doskonałość we wszystkich cnotach chrześcijańskich. Przytoczyliśmy z tych podań jedno, ponieważ było wówczas głośne w całym kraju.

Dziesięć lat przed śmiercią objawiła się Izajaszowi podczas choroby Najświętsza Marja Panna, a uzdrowiwszy go, przyrzekła mu jeszcze dziesięć lat życia i znikła. Po upływie tego czasu prosił Izajasz, już dziewięćdziesięcioletni, Pana Boga, aby go uwolnił z więzów ciała. Wtenczas przybyła po raz drugi Matka Boska w orszaku śś. Stanisława biskupa, Jacka, Jadwigi, Salomei i Kunegundy i rzekła do starca: „Izajaszu, sługo mój kochany, bądź już gotów do osiągnięcia królestwa niebieskiego, od początku świata zgotowanego świętym!“ Ucieszony widzeniem, które opowiedział braciom, odbył spowiedź i przyjąwszy Sakramenta św. dziękował Stwórcy za doznane w życiu dobrodziejstwa. Przepraszał potem swych współ-

braci zakonnych za swe uchybienia, zachęcał ich do miłości, a uścisnąwszy każdego zosobna, z błogim uśmiechem na ustach poszedł odebrać nagrodę wiekuistą.

Po złożeniu ciała Izajasza na wieczny spoczynek w kościele św. Katarzyny, widywano przez dłuższy czas dziwną jasność nad jego grobem.

Ojciec święty Urban VIII pozwolił r. 1633 wyjąć szczątki bogobojnego męża z grobu i umieścić w kaplicy św. Doroty. Później przeniesiono je do nowej, obok ołtarza Najświętszej Panny Łaskawej zbudowanej kaplicy, gdzie dotychczas spoczywają.

Oo. augustjanie posiadali obszerny opis żywota bł. Izajasza, który się jednak spalił podczas pożaru kościoła r. 1556. Wówczas spłonęło także, wraz z innemi pamiątkami, pięć ksiąg teologicznych, będących owocem głębokich rozmyślań Izajasza Bonera.

BŁOG. STANISŁAW Z KAZIMIERZA,

(ur. r. 1433 † r. 1489).

W roku 1433, w dniu pamiętnym przeniesieniem szczątków św. Stanisława biskupa do grobu, przyszło w Kazimierzu pod Krakowem na świat dziecię, które podrósłszy w lata, stało się godnem wielkiego naszego patrona. Rodzice, Maciej i Jadwiga z Kazimierza, dali chłopcu przy chrzcie św. imię Stanisława. Małe pacholę, ucząc się jeszcze abecadła, składało z rozpoznanych liter wyrazy na cześć Boga. Oddany jako młodzieniec do akademji krakowskiej, ukończył chlubnie nauki i uzyskał stopień doktora filozofji. Wkrótce potem mianowano go profesorem Pisma świętego. Stanisław nie unosił się jednak pychą wiedzy, bo zrozumiał on wielką naukę Chrystusa zawartą w słowach: „Błogosławieni pokornego serca!"

Rozmyślając nad wyszukaniem zakonu, w którymby się mógł ćwiczyć najskuteczniej w cnotach chrześcijańskich, umyślił wreszcie wstąpić do zgromadzenia kanoników zakon-

nych przy kościele Bożego Ciała na Kazimierzu. Rodzice nieradzi byli jego powołaniu i czynili mu rozmaite trudności, które on przecież potrafił przełamać niezłomnem postanowieniem. W dwudziestym trzecim roku życia złożył śluby zakonne i stał się wkrótce przykładem dla wielu starszych braci. Pełnił zawsze najniższe w klasztorze posługi, a czas zbywający poświęcał modlitwie, rozmyślaniu i dobrym uczynkom. Opieka nad chorymi była jego najmilszem zajęciem. Umiał tkliwem słowem pocieszać strapionych, powtarzając im stale: „Najmilsi, nie można inaczej, jak przez wiele ucisków wejść do królestwa niebieskiego".

Gdy został mistrzem nowicjatu, pilnie ćwiczył podwładnych braci w cnotach, które sam ściśle wykonywał. Nieraz można było słyszeć, jak przemawiał sam do siebie w swej celi: „Stanisławie, staraj się zawsze naśladować Chrystusa, bądź cichym, łagodnym, cierpliwym i łaskawym na swych uczniów jak On".

Miewał budujące kazania i wielu ludzi nawracał niemi na dobrą drogę. Strzegł się jednak wielomówstwa, jako wielkiej wady, przemawiając jedynie wtenczas, kiedy chodziło o chwałę Bożą lub o dobro bliźnich. Umartwiał ciało postami, z tem głębokiem przekonaniem, że gdy się stajemy panami choćby jednej tylko namiętności, łatwiej pokonać i inne. Zbawiennie byłoby, gdybyśmy się wszyscy chcieli prze-

Bł. Michał Gedrojć.

(Nieśm. św.)

jąć tą prawdą, bo post nie jest niczem innem, jak umartwieniem zmysłów, i Chrystus Pan dlatego pościł przez dni czterdzieści, gotując się na mękę, aby nas nauczyć, że im mniej żyjemy ciałem, tem pełniejszem się staje życie ducha.

Pewnego dnia zasnął Stanisław, znużony więcej niż zazwyczaj, na twardej desce, która mu służyła za posłanie, i w tym śnie opromienił mu Stwórca dni życia niebiańskiem widzeniem. Zdawało mu się, że widzi Marję, otoczoną gronem Świętych Pańskich, a z ust jej usłyszał te słowa: „Wesel się, o synu mój, Stanisławie, bo czeka cię w niebie zapłata za miłość, jaką masz ku mnie i ku Synowi memu!"

Po czterdziestu latach wzorowego i świątobliwego życia zachorował pobożny zakonnik ciężko. Ukazał mu się wówczas Chrystus, mówiąc do niego: „Wstań, a pośpiesz się, bo dziś jeszcze będziesz ze mną w raju!" Uradowany temi słowy, prosił zaraz o Sakramenta św., a pobłogosławiwszy braci, modlił się głośno do ostatniej chwili, polecając Bogu ojczyznę i wszystkie jej stany.

Umarł 7 czerwca r. 1489. Ciało jego pochowano pierwotnie w kościele Bożego Ciała, przed ołtarzem św. Marji Magdaleny. Zdarzyło się raz, że obłożnie chora niewiasta, Regina z Czerny, ujrzała we śnie postać Stanisława z Kazimierza, który odezwał się do niej w te słowa: „Powstań, niewiasto, idź do mego grobu,

a tam za łaską Pana Boga naszego odzyskasz zdrowie!" Bezzwłocznie kazała się kobieta tam zanieść i wkrótce potem zupełnie wyzdrowiała. Gdy wypadek ten rozgłoszono i doniesiono o nim władzy kościelnej, polecił królewicz polski, kardynał Fryderyk, arcybiskup gnieźnieński, wyjąć kości z miejsca, w którem spoczywały, i przenieść je na osobny, nowozbudowany ołtarz.

Magistrat miejski sprawdził i zapisał dużo cudownych zdarzeń, zaszłych u grobu Stanisława. Pomiędzy innemi wspominają stare akta o panu Komorowskim, hrabim na Liptawie i Orawie, który odzyskawszy u grobu Stanisława z Kazimierza cudem zdrowie, postawił z wdzięczności w dobrach swoich kościół i klasztor dla oo. augustjanów. Na chorągwi, znajdującej się w świątyni, kazał odmalować cud za przyczyną błog. Stanisława Kazimierczyka doznany.

BŁOG. MICHAŁ GEDROJĆ

(ur. ?. † r. 1485).

Błog. Michał pochodził z litewskiego rodu książąt Gedrojciów i odznaczał się szczególnie cichością i pokorą serca. Dwie te cnoty doprowadziły go do wielkiej doskonałości. Pan Bóg pokazuje nam w nim, że niepozorne ciało może Mu być miłym przybytkiem, gdy je piękna zamieszkuje dusza. Michał był małego wzrostu, ułomny i upadał wskutek choroby na jedną nogę, tak że musiał chodzić o kuli. Poznawszy zawczasu, że nie może nic wymagać od świata, ceniącego najbardziej powierzchowność, oddał się cały Temu, który umie przenikać ukrytą piękność serca i duszy. Stronił od zabaw i towarzystwa, przebywając w samotności, gdzie się zajmował modlitwą lub ręczną pracą.

Najczęściej wyrabiał z drzewa rozmaite drobnostki, jak krzyże, kropielnice, lub puszki do pomieszczenia Najśw. Sakramentu dla chorych. Milczenie zachowywał ściśle i mówił tylko z koniecznej potrzeby. Poniedziałki, środy,

piątki i soboty surowo pościł o chlebie i wodzie, a na szyi zawsze nosił krucyfiks, aby się częstem spoglądaniem na Pana Jezusa utwierdzać w cierpliwości i wzgardzie samego siebie. Długi czas nie mógł się Michał dla słabości zdrowia zajmować nauką i był jednym z tych ewangelicznych prostaczków, tak miłych Panu. Przyszedłszy cokolwiek do sił, wstąpił za pozwoleniem rodziców jako braciszek do klasztoru kanoników regularnych, tak zwanych pokutników św. Augustyna, którzy właśnie w tym czasie niedaleko zamku książęcego w Bystrzycy osiedli. Odprawił następnie nowicjat w Krakowie u św. Marka i uzyskał po odbytych studjach r. 1460 stopień doktora filozofji i profesora teologji na akademji krakowskiej. Wróciwszy do klasztoru, nie został jednak kapłanem i przeszedłszy tylko pierwsze stopnie, poprosił o urząd zakrystjana w klasztorze, który sprawował do końca życia. Mieszkał w ciasnej celi, sypiając na ziemi i biczując się co noc. W skromnem jego schronieniu nie znajdowało się nic więcej, prócz wiązki słomy, różańca i dyscypliny. Nic innego nie jadał, prócz kaszy lub jarzyn, a pragnienie gasił wodą. W wigilję świąt wielkich nic zwykle nie brał do ust i noc całą trawił na rozmyślaniach. W pracy swej zakrystjańskiej był bardzo pilny, tak że nieraz nawet naśmiewano się z niego i pytano go, dlaczego z taką bacznością oddaje się tak zwy-

czajnym zajęciom. Lecz błog. Michał znosił szyderstwa i urągania cierpliwie, bo umocniony na duszy widzeniem, podczas którego usłyszał głos Chrystusa: „Bądź cierpliwym aż do śmierci, a weźmiesz koronę chwały!" byłby ochotnie poszedł i na męczeństwo.

Bogobojny książę pałał wielką miłością dla bliźnich, strzegł się zawsze nierozważnem słowem kogo bądź zasmucić, zbierał jałmużny i rozdzielał między ubogich. Pan Bóg obdarzył go przy schyłku życia duchem proroczym i dał mu moc leczenia chorób modlitwą. Przepowiedział trzykrotny pożar klasztoru, jeżeli zakonnicy nie będą przestrzegali większej karności. Proroctwo jego spełniło się. Kilka większych pożarów w Krakowie ugasił znakiem krzyża św. i modlitwą. Gdy mu wspominano o jego mocy czynienia cudów, zalewał się rzewnemi łzami, mówiąc, że niesłusznie przypisują ludzie dar ten jego modlitwie, bo wypływało to jedynie z wielkiego miłosierdzia Bożego. Zwał się grzesznikiem niegodnym i prosił, aby się za niego modlono.

Będąc już na łożu śmierci, zwołał wszystkich braci wraz z przełożonym, przepraszał ich pokornie a zalecając im obopólną miłość, mówił: „Gdzie jest miłość, tam jest Bóg — Bóg jest miłością, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim". Wyspowiadał się następnie z wielką skruchą, wstał z łoża, przy-

jął klęcząc Najśw. Sakrament i na kolanach oddał duszę Bogu 4 maja r. 1485.

Kiedy naradzano się, w którem miejscu pochować świątobliwego męża, nadszedł bogobojny kapłan Świętosław, przyjaciel zmarłego, i wybrał na ten cel grobowiec w kościele klasztornym św. Marka pod wielkim ołtarzem. Niedługo jednak spoczywały tam zwłoki pokornego zakrystjana. Pan Bóg, chcąc okazać, jak miłą mu była ta czysta i pobożna dusza, dawał rozliczne łaski tym, którzy go przez orędownictwo Błogosławionego o nie prosili. Po stwierdzeniu kilku takich wypadków wydobył Tomasz Oborski, sufragan krakowski, 4 czerwca r. 1624 zwłoki i przeniósł trumnę do osobnego grobu w kościele.

BŁOG. SZYMON Z LIPNICY

(ur. około r. 1420 † r. 1482).

Tłumy ludu gromadziły się na starym rynku krakowskim. Pomiędzy ubogiem mieszczaństwem dojrzeć było można i panów i sławą okrytych rycerzy, a oczy wszystkich zwrócone były ku wzniesieniu, na którem obok kardynała Zbigniewa Oleśnickiego stał, przebywający wówczas w Polsce, Jan z Kapistranu. U stóp jego złożono mnóstwo kart, kości, kul do gry i innych podobnych przedmiotów, służących do trwonienia czasu. Gdy powoli urosły one do znacznych rozmiarów, zapalił świątobliwy kapłan stos i zaczął mówić o marności uciech tego świata, o potrzebie wzniesienia ducha do Boga, podczas pielgrzymki na ziemi, a jak ogień pochłaniał oddane mu ofiary, tak słowa męża Bożego przenikały serca słuchaczów. Wielu z nich wyrzekło się w owej chwili na zawsze złudnych ponęt doczesnych i oblokło suknię zakonną. Pomiędzy nimi znajdował się młodzieniec, nazwiskiem Szymon z Lipnicy,

który później miał się stać chlubą Kościoła polskiego.

Syn ubogich lecz cnotliwych rodziców, urodzony około r. 1420 w Lipnicy pod Bochnią, już od pierwszej młodości całe swoje szczęście pokładał w służbie Bożej. Przykłady cnotliwego życia, jakie widział w domu rodzicielskim, zachęciły Szymona do dobrego postępowania. Uczył się pilnie i wysłany został na wszechnicę Jagiellońską, celem dalszego kształcenia. Niezadługo uczynił tak wielkie postępy, że policzono go w poczet mądrych mistrzów, którymi słynęła akademja, i zaszczycono stopniem magistra filozofji. Młodzieniec okazał się godnym tego wyróżnienia, bo będąc prawdziwym miłośnikiem mądrości, szukał jej w najczystszem źródle, to jest w Piśmie świętem i księgach Ojców Kościoła. Za namową Jana z Kapistranu wstąpił do zakonu franciszkanów i zachowywał wszystkie nakazy tej reguły. Miłował ubóstwo, czystość i pokorę, pracował ustawicznie i umartwiał swe ciało, aby podnieść ducha. Zapytywany przez jednego z zakonników, jak należy postępować, aby łatwiej uzyskać zbawienie, odpowiedział mu trzema łacińskiemi słowami: „Ora, labora et despera" co znaczy: Módl się, pracuj i nie ufaj sobie! Trudno znaleźć lepszą radę nad tę, którą wypowiedział Szymon, bo któż może być na lepszej drodze jak ten, który bezustannie

Bł. Szymon z Lipnicy, zakonu św. Franciszka.

chwali Pana modlitwą i pracą, a przytem nie wzrasta w pychę i nie ufając własnym siłom, błaga zmiłowania i łaski Bożej!

Z wielką czcią i uwielbieniem odnosił się do Najświętszej Marji Panny i umieścił nad drzwiami swej celi dwuwiersz łaciński, zachęcający tego, który kiedyś po nim w celi zamieszka, do miłości Matki Bożej. Osobliwem też nabożeństwem pałał ku Chrystusowi i zazwyczaj po każdem kazaniu pozdrawiał trzykrotnie Imię Jezus. Aby się więcej przejąć miłością męki Zbawiciela, postanowił odprawić pielgrzymkę do Jego grobu. Wybrał się najpierw do Rzymu, skąd opatrzony błogosławieństwem Ojca św., wyruszył ku Jerozolimie. Podróż do Ziemi świętej przedstawiała w owych czasach niemałe trudności i potrzeba było wielkiej wiary i zaparcia się siebie, ażeby się narażać na czyhające w drodze niebezpeczeństwa.

Po wielu przygodach stanął szczęśliwie w Jerozolimie, ucałował i oblał łzami ziemię, której dotykały święte stopy Zbawiciela, i zwiedził w niewypowiedzianym zachwycie wszystkie miejsca, w których odbyła się tajemnica odkupienia.

Po powrocie do Krakowa wiódł jeszcze ostrzejszy żywot niż przedtem, przestając w swej celi zakonnej tylko z Bogiem, chyba, że potrzeba bliźniego wymagała jego usługi. Żył

o chlebie i wodzie, zachowywał ścisłe milczenie i trapił ciało bolesnemi umartwieniami. Sam doskonały, rad był i drugich widzieć takimi i dlatego gromił równie surowo występek, czy to w chacie nędzarza, czy w pałacach bogaczy.

Obrany mistrzem nowicjatu, kształcił powierzonych sobie młodzieńców gorliwie w zbawiennych naukach i wystawiał ich na długie próby, nie dopuszczając do święceń kapłańskich i wydalając z klasztoru takich, u których poznał brak powołania do stanu duchownego. Zato też ci, którzy wyznaczony czas przebyli, do wysokiej dochodzili doskonałości jak: Jan z Dukli, Władysław z Gielniowa i wielu innych uczniów Szymona z Lipnicy. Działał on również zbawiennie swemi kazaniami na umysły ludzi świeckich. Kiedy morowe powietrze nawiedziło Polskę, a szczególniej Kraków, znaleźli się tacy, którzy, zamiast w dniach boleści i żałoby upokorzyć się i czynić pokutę, złorzeczyli i bluźnili Panu Bogu. Wtenczas starał się Szymon z Lipnicy oświecać zbłąkanych i każąc na rynku krakowskim, jak przed nim Jan z Kapistranu, nawoływał lud do pokuty.

— Jeżeli nie nawrócicie się i nie wyrzucicie nieprawości z domów waszych — wołał przejęty duchem Bożym — lękajcie się straszliwego gniewu Pana, który złoto i ziemie wasze w krzemień zamienić potrafi!

I skruszył się lud cały, obiecując ze łzami poprawę. Niezmordowany w miłości bliźniego, poświęcał wszystek czas swój na usługi dotkniętych zarazą i chociaż sam poczuł początki strasznej choroby, niósł pomoc duchowną umierającym. Dopiero gdy opadł zupełnie z sił, zawlókł się zpowrotem do klasztoru.

Tutaj nie dał się już niczem oderwać od pobożnego rozmyślania i zapatrzony w wizerunek Ukrzyżowanego, przetrwał na cichej modlitwie kilka dni dzielących go od wieczności. Umarł 18 lipca r. 1482. Płakali bracia, a z nimi lud cały, mówiąc, że widać Pan rychło chciał nagrodzić poświęcenie sługi swego dla bliźnich, zabierając go wtenczas, kiedy im był najwięcej potrzebny.

Święte szczątki błog. Szymona spoczywają w kościele OO. Bernardynów w Krakowie, na Stradomiu. Wskutek cudów, które zaszły u grobu świątobliwego zakonnika, i cnót jego wielkich policzył papież Inocenty XI Szymona z Lipnicy r. 1685 w poczet Błogosławionych.

ŚW. JAN KANTY

(ur. r. 1397 † r. 1473).

W kościele św. Anny w Krakowie jest ołtarz, na którym w trumnie z marmuru spoczęły ziemskie szczątki Jana Kantego, profesora akademji Jagiellońskiej, zaliczonego r. 1767 przez papieża Klemensa XIII w poczet Świętych. Na trumnie znajduje się następujący napis, umieszczony przez kardynała Maciejowskiego: „Dość dla mnie czci, jeżeli mnie naśladować będziesz". Zdanie to najlepiej określa przymioty skromnej duszy świętego męża. Jan Kanty urodził się w miasteczku Kenty 24 czerwca r. 1387 w sam dzień uroczystości św. Jana Chrzciciela, z ojca Stanisława i matki Anny. Od lat najmłodszych rósł chłopiec ku pociesze rodziców, ćwicząc się w posłuszeństwie i skromności, zajmując się gorliwie rzeczami Boskiemi. Po ukończeniu pierwszych nauk w Kentach wstąpił r. 1413 z woli rodziców na akademję Jagiellońską w Krakowie, gdzie słuchał filozofji i teologji. Niezmordowaną pracą przewyższał on w nau-

kach wszystkich współuczniów i czynił tak świetne postępy, że już r. 1415 otrzymał stopień profesora filozofji, a po dwóch latach został mistrzem wszechnicy. Uzyskawszy wkrótce potem stopień doktora teologji, przyjął święcenia kapłańskie. Przez szereg lat kształcił Jan Kanty młodzież i zaszczepiał w przyszłych kapłanach nietylko prawdy wiary, ale zachęcał ich także do gorącej pobożności, dając im wzniosły przykład z własnego życia. Miał zawsze w pamięci słowa św. Jana Chryzostoma, że: „nauczyciel, który uczy i czyni, wielbi Boga; który zaś naucza, a nie czyni tego, czego uczy, bluźni Bogu".

Głęboka wiedza i wielki zasób cnót Jana Kantego wzniecały zazdrość i urągania. Lecz on odpłacał tym, którzy go obrażali, zawsze tylko dobrocią i przychylnością. W obawie, czy podczas rozpraw wieczornych kogo nie obraził, stawał rano przed udaniem się do kościoła u drzwi każdego i pukał, prosząc o przebaczenie.

Gdy odprawiał raz zimową porą mszę św. w kościele św. Anny, dostała się jaskółka do świątyni i zaczęła latać nad ołtarzem. Rozpoczęło się właśnie podniesienie, a ptak przeszkadzał swem świergotaniem licznie zgromadzonym wiernym w nabożeństwie. Po mszy św. schwycił Jan Kanty jaskółkę, aby ją uderzyć o ziemię i zabić. Lud prosił go o litość nad nie-

winnem stworzeniem, ale Święty mimo to rzucił ptaka. Wykazało się, że był to zły duch, który z jaskółki zmienił się natychmiast w brzydkiego węża i niebawem ulotnił się z przed oczu zdziwionych tłumów.

Jan Kanty nie pragnął dla siebie nigdy żadnych korzyści i chronił się przed wywyższeniem i zbogaceniem. Plebanję olkuską, którą pewien czas zarządzał, oddał innemu księdzu i wrócił do prac akademickich, mając jeden tylko cel i jedno życzenie, aby gorącą miłością połączyć się z Panem Bogiem i wysłużyć sobie przez wierne pełnienie woli Jego świętej, chwałę wieczną. Trudził ciało rozmaitemi umartwieniami i odmawiał sobie wszelkiej wygody. Pałając bezgranicznem przywiązaniem ku Zbawicielowi, odbył pielgrzymkę do Ziemi św. Poprosiwszy biskupa o błogosławieństwo, udał się w daleką podróż, idąc pieszo, dopóki droga prowadziła lądem. W Jerozolimie ronił gorące łzy u grobu Chrystusa i pragnął umrzeć dla Niego. Zaczął więc głosić ewangelję pogańskim Turkom, nie uzyskał jednak korony męczeńskiej.

Powróciwszy z Ziemi św. i wypocząwszy po uciążliwej podróży, wybrał się mąż święty bezzwłocznie do Rzymu, aby zwiedzić groby Apostołów. Cztery razy chodził do wiecznego miasta, o głodzie, zimnie i niedostatku. Mieszkający w Rzymie Polacy pytali go zdumieni, dla-

czego tak często tam bywa, kiedy nie ubiega się o żadne łaski i beneficja?

— To mój czyściec, w którym obmywam swe grzechy, aby jak najrychlej dostąpić radości niebieskich, które Bóg dobrotliwy obiecał wiernym i pracującym! — odpowiedział Jan.

Podczas jednej z jego wędrówek okazała się w całej pełni jego szczerość i miłość prawdy. W odludnem miejscu napadli go rozbójnicy, odebrali mu pieniądze i puścili go potem na wolność, zapytując na odchodnem, czy nie ma jeszcze jakiej ukrytej sumy. Jan zapewniał złoczyńców, że nic więcej nie posiada. Po chwili znalazł jednak jeszcze kilka sztuk złota, schowanych na nadzwyczajne potrzeby, o których zupełnie zapomniał. Wrócił tedy do rabusiów, mówiąc: „Nie chcę kłamać, bierzcie i to, o czem zapomniałem!"

Myślałby kto może, że napastnicy zabrali resztę pieniędzy Świętemu, naigrawając się z jego naiwnej prawdomówności. Przeciwnie! Z świątobliwej tej prostoty, lękającej się najlżejszego słowa, mogącego zaćmić zwierciadlane oblicze prawdy, z tego zapomnienia o najpierwszych potrzebach życia dla miłości Boga, który sam jest prawdą, wytrysł promień, który światłem łaski przedostał się do serc zbrodniarzy. Oddali wszystko Janowi i padłszy na kolana, prosili o przebaczenie.

Oby i do serc naszych spłynął także zdrój tej łaski, obmył je ze wszystkich mętów światowego fałszu, oczyścił nawet z owych drobnych kłamstw napozór niewinnych, które przecież są plamą duszy, i dał widzieć jasno, gdzie jest zasługa i prawdziwa wielkość!

Olbrzymie widać wykwitły czyny z tych niby drobnych a wzniosłych zasług, kiedy się stały ogniwem, łączącem człowieka tego tak ściśle z niebem, że otrzymał dar czynienia cudów, który go po śmierci otoczył aureolą wybranych Pańskich i na ołtarz wyniósł z pośród tylu słynących nauką i pobożnością współczesnych mężów! Liczne opisy po dziś dzień przypominają nam te ciche, pełne duchowego namaszczenia czyny Jana Kantego, zbliżające go co chwila ku najwyższej doskonałości.

Spotkawszy raz wśród dnia mroźnego starca bez obuwia, oddał mu swoje własne, sam zaś powrócił do domu boso, spuszczając skromnie wytartą swą odzież na obnażone nogi.

Kiedy indziej dążył na jutrznię przez ulicę pokrytą śniegiem. Wtem nędzarz drżący od zimna wyciąga do niego dłonie. Bez namysłu zdejmuje Jan odzież, wręcza ją ubogiemu a otulając się w lekki, wyszarzały płaszcz, śpieszy na nabożeństwo. Jak niesie podanie, miał on znaleźć swoją odzież za powrotem w celi, jako

dowód na to, że kto daje ubogiemu, ten tylko Panu Jezusowi pożycza.

Nawet obiadem dzielił się Święty z biednymi i wprowadził w kolegjum zwyczaj, iż ubogi zasiadał wspólnie z profesorami do stołu. Kiedy wchodził do izby biedak, mówił profesor, który go pierwszy spostrzegł: „Ubogi przyszedł!" Na to odpowiadał przełożony kolegjum: „Chrystus przyszedł!"

Tak przeżył Jan Kanty lat siedmdziesiąt, bogatych w zasługi i dobre uczynki, i począł tęsknić za nagrodą niebieską. Przeczuwając bliski zgon, rozdał resztki swego mienia i trwał w gorącej modlitwie. Z głębokiem nabożeństwem przyjął następnie św. Sakramenta, a pożegnawszy znajomych i przyjaciół, zasnął spokojnie w wigilję Bożego Narodzenia r. 1473.

Naród polski oddaje św. Janowi Kantemu cześć najwyższą, jako jednemu z największych swych Patronów i Orędowników u tronu Przedwiecznego. Przebrzmiała sława uczoności wielkiego męża, lecz pozostało pełne uwielbienia wspomnienie jego cnót ewangelicznych.

W akademji, naprzeciw kościoła św. Anny, pokazują celę, w której się modlił i mieszkał św. Jan Kanty, a wieść niesie, że obraz Pana Jezusa, odniesiony po śmierci Świętego dla większego poszanowania do kościoła, objawił się jednemu z akademików z rozkazem, żeby go

powrócono na dawne miejsce modlitwy Jana. Obraz i cela pozostały nietknięte i są przedmiotem czci pobożnych wiernych. Nie omieszka im złożyć pokłonu każdy ze zwiedzających stary gród, ową skarbnicę świętych i drogich sercu każdego Polaka pamiątek.

BŁOG. LUDWINA Z KENT

(ur. ? † r. 1623).

Za panowania Zygmunta Augusta, ostatniego z Jagiellonów, zakwitła w skromnym ogródku ubogiego rolnika czysta lilja, pełna niebiańskiej woni.

W miasteczku Kenty, ojczyźnie św. Jana Kantego, przyszła na świat dzieweczka, godna wielkiego współziomka. Bogobojni rodzice, których była jedyną pociechą, dali jej na chrzcie św. imię Ludwiny czyli Lidwiny, świątobliwej zakonnicy, zmarłej wówczas w Schiedam, w Holandji. Chętnie widać przyjęła błog. Patronka dziecię pod swoją opiekę, bo młodziuchna Ludwina wcześnie zaczęła naśladować jej cnoty.

Obdarzona wielką urodą, odgadła marność skarbu tak cenionego przez świat i nie umiłowała próżności, lecz starała się jedynie o bogactwo nieśmiertelnego ducha. Zaledwie podrosła, nie próżnowała już ani chwili, pomagając ubogim rodzicom. Zajmowała się całym domem,

pracowała w ogrodzie, przędła wełnę, sprzedając ją później bogatszym mieszkańcom Kent.

Zdarzało się nieraz, że przejeżdżający pobliskim gościńcem panowie i panie, dziwili się bardzo jej niezwykłej urodzie i pytali, czy nie chciałaby porzucić ubogiej chatki i udać się na służbę do jakiego zamożnego dworu, gdzieby jej się prędzej nadarzył lepszy los. Ale ona odpowiadała zawsze bez wahania, że za żadne skarby świata nie porzuciłaby rodziców, że nie lęka się ubóstwa, skoro je tak umiłował sam Zbawiciel, ani też pracy, do której przecież człowiek stworzony. I odchodzili, nic nie wskórawszy, jedni chwaląc mądrość dziewczęcia, drudzy wstrząsając szyderczo głowami. Po takich rozmowach wracała Ludwina, zawsze swobodna i wesoła, pod swój ubogi dach, gdzie co wieczór rodzice, składając dłonie, zlewali na jej głowę wszystkie błogosławieństwa nieba. Pan Bóg potwierdzał je widocznie, bo pobożna córka pracą swą nietylko ulżyła ciężaru ich żywota, lecz nadto dopomagała jeszcze biedniejszym. Jeżeli choroba lub niedola nawiedziły którego z sąsiadów, śpieszyła natychmiast z usługą i datkiem, nie dając się wyprzedzić nikomu w uczynkach miłosiernych. W dni świąteczne wsłuchiwała się w kościele pilnie w słowo Boże, aby później zbawienną naukę opowiadać ubogim dziatkom, które rada zgromadzała wokoło siebie. Mowa jej była zawsze

tak słodka, tak przenikająca serca, że szła prosto do duszy i tkwiła głęboko w pamięci młodych latorośli. Starzy ludzie mawiali nieraz pomiędzy sobą, przysłuchując się jej rozmowie, że zaprawdę Duch Boży przemawia przez usta tej dzieweczki. I rzeczywiście były to objawy mądrości Boskiej, zaczerpniętej z najczystszej krynicy ducha, bo Ludwina była prostaczką, nieumiejącą nawet czytać.

Zdarzyło się raz, że modlącą się przy swych owieczkach w polu, napotkali pielgrzymi powracający z Rzymu, a ujęci pobożnością i wdzięczną postacią Ludwiny, opowiedzieli jej o swych podróżach. Mówili szeroko o wielkiej stolicy, z której następca św. Piotra roztacza władzę nad wiernymi całego świata, o Męczennikach, których szczątki spoczywają w ponurych podziemiach, o tylu pamiątkach wreszcie, zroszonych łzami i krwawym potem Zbawiciela. Rozgorzała dusza Ludwiny po wysłuchaniu opowiadań, ogień zapału ogarnął ją całą i strzelił jasnym promieniem z jej oczu. Skłoniwszy się nisko do nóg pobożnych pątników, prosiła, aby zechcieli choć na jeden dzień przyjąć gościnę w chacie rodziców. Nie posiadała się z radości, gdy uczynili zadość temu życzeniu. Cały wieczór i dzień następny nie mogła się dość nasłuchać ich opowieści. Niestety, nadeszła godzina rozstania. Pielgrzymi, pobłogosławiwszy gościnne progi, udali się w dalszą po-

dróż, a Ludwina pozostała przy swych zwykłych zajęciach. Lecz robota nie szła jej jak zazwyczaj i dzieweczka była jakoś dziwnie zamyślona. Marzyła bezustannie o zwiedzeniu stolicy chrześcijaństwa, widziała jakby na jawie wspaniałe jej mury, a pośród nich snujące się żywe postacie Męczenników i Świętych. Miewała chwile zachwytu, podczas których rozmawiała z nimi i zapominała nagle o wszystkiem, co ją otaczało. I nie dziw, rozpowiadali jej oni wtedy o swej nieskończonej radości, o swej promiennej chwale.

Nic niebezpieczniejszego dla młodego umysłu, jak zajęcie się czemś, co ma osobiste uszczęśliwienie na celu, a prawdopodobnie nigdy się spełnić nie może. Wkrada się wtenczas zniechęcenie do serca, ten gość nienawistny, mogący spowodować łatwo upadek w dobrem. Spostrzegła wkrótce Ludwina, że od chwili, w której ogarnęła ją gorąca żądza zwiedzenia miejsc, wydających jej się przedsionkiem nieba, zbladł cichy urok dotychczasowego jej życia. Ulękła się tej zmiany, jak grzechu, odpychając siłą woli, oraz żarliwą modlitwą urocze swe marzenia, i powróciła wkrótce do dawnego spokoju. Jeżeli później zamyśliła się jeszcze niekiedy nad opowiadaniami pielgrzymów, nie przerywała wskutek tego pracy, nie mając już w sercu innego pragnienia nad chęć przypodobania się Bogu.

Jak cichy strumyk, wśród równiny zasianej polnemi kwiatami, płynęło życie Ludwiny w chatce rodzicielskiej. Nie zaznała nigdy cierpienia, a jednak potrafiła w niem wytrwać podczas dni ciężkiej próby. Straszliwa zaraza, nawiedziwszy kraj, zmiatała ludzi jak wicher liście jesienne. Ludwina kończyła wówczas szesnaście lat i oddała się z zaparciem siebie na usługi chorych. Wszędzie rozlegały się jęki i narzekania, przejmujące trwogą najodważniejsze serca. Nieraz noc ciemna zastała dzieweczkę u łoża boleści; nic nie zdołało jej zatrzymać w domu, jeżeli tylko chodziło o niesienie pomocy lub pociechy.

Mieszkańcy okoliczni nazwali Ludwinę aniołem opiekuńczym i mówili, że Bóg widocznie otacza ją swą łaską, oszczędzając jej chatę od szerzącej się coraz gwałtowniej plagi.

Mylą się jednak bardzo ci, którzy w tem życiu szukają nagrody dla wybranych! Jest ona tak wielka, że ziemia jej dać nie może! Cnota zaś właśnie w cierpieniu nabiera blasku, którym później jasno przyświeca w niebie!

Wkrótce zaniemogli też ciężko i rodzice Ludwiny. Odgadła ona łatwo ich chorobę. Była to nieuleczalna zaraza, która zabrała już tyle ofiar. Z okiem suchem, z modlitwą na ustach i gorączkowym rumieńcem na wybladłem licu, otaczała swych ukochanych tysiącem najtkliwszych starań. Niosła im ulgę w okropnych bo-

leściach i dopiero gdy się wszystko skończyło, gdy już cierniowy wieniec sieroctwa okolił jej skronie, ulżyła zbolałemu sercu potokiem łez gorących. Litując się nad ciężką dolą dziewczęcia, chcieli ją sąsiedzi wziąć do siebie, ale ona wolała pozostać w swej chacie, nie wątpiąc, że Chrystus i aniołowie jego nie opuszczą w samotności i bólu ufającego i wierzącego serca. Zdarzyło się także, że pewien stateczny mężczyzna zapragnął ją pojąć za żonę, lecz i temu odmówiła, oddawszy całe swe życie na służbę Boga i bliźnich.

Na modlitwie i pracy zeszła Ludwinie pierwsza zima jej sieroctwa. Z wiosną wzięła się do pracy po za domem, jednakże często skrapiała łzami uprawianą przez siebie ziemię. Chociaż nikt z ust jej nie usłyszał szemrania przeciw wyrokom Bożym, serce miała ściśnione ciężką boleścią i nie czyniła sobie z niej wyrzutów, sądząc, że Pan Bóg, który sam jest miłością, nie może potępiać cichego objawu chrześcijańskiego żalu.

Pewnego dnia, gdy po raz pierwszy wyszła w pole i pasła jak dawniej owce, spotkała znów cały zastęp pielgrzymów. Odzież ich i przybory podróżne zdradzały, że daleką przed sobą mają drogę. Serce dzieweczki uderzyło mocno siłą wspomnienia, a gdy zapytani wędrowcy powiedzieli, że się udają do Rzymu, dawno niewidziany uśmiech rozjaśnił jej lica. Następnego

dnia osadziła Ludwina w chacie swej najuboższą rodzinę miasteczka, oddając jej wszystko na własność w razie, gdyby nie miała w przeciągu jednego roku powrócić. Spieniężyła potem niektóre ruchomości, przywdziała szatę reguły św. Franciszka z Asyżu i pomodliwszy się na grobie rodziców, wyruszyła w daleką drogę.

Po cichej, zielonej równinie, wyludnionej przez malarję, posuwał się znużonym krokiem orszak pątników z różnych krańców świata. Pomiędzy garstką niewiast i mężczyzn z Polski jaśniała dzieweczka cudnej urody. Ani praca, ani ciężkie strapienia, ani wreszcie trudy dalekiej podróży nie przyćmiły blasku piękności Ludwiny. Opromienił ją tylko jakiś wyraz świętości, który zmuszał patrzącego ukorzyć się wpierw przed duchem nieśmiertelnym, zanim ogarnął wzrokiem ziemską doskonałość rysów.

Pielgrzymi rozpytywali się pilnie, rychło ujrzą na widnokręgu kres swej podróży. Na błękitnem tle nieba ukazała się wreszcie złota kopuła, z której krzyż rozpościera nad światem chrześcijańskim opiekuńcze swe ramiona. Przewodnik pielgrzymki, Rzymianin, padł wtenczas na kolana i zawołał głośno: „Roma, Roma la Santa!"

Każde przedsięwzięcie w chwili doprowadzenia go do zamierzonego celu sprawia nam

tem większą radość, im większemi były przeciwności, towarzyszące jego wykonaniu. To też błogi był zachwyt Ludwiny i jej towarzyszów, gdy po wielu niebezpieczeństwach i trudach, o jakich dzisiaj nawet wyobrażenia mieć nie możemy, znaleźli się w mieście wiecznem. Odetchnąwszy zaledwie godzin kilka, rozpoczęli drugą wędrówkę, pomiędzy lasem kolumn, grobowców i świątyń rzymskich. Ludwina oderwać się nie mogła od pobożnych pamiątek, chodziła od kościoła do kościoła i znów zdawało jej się, że rozmawiają z nią duchy Męczenników i Świętych, że jej odsłaniają tajemnice zaświata, i dusza dzieweczki pałała żądzą pozostania z nimi na zawsze. Gdy pewnego wieczora jak zwykle rozmyślała w ruinach Colosseum, zwróciła jej uwagę cicha w polskim języku wypowiedziana skarga. Odgadując jakąś istotę cierpiącą, zbliżyła się śpiesznie do miejsca, skąd ją dochodził głos, i ujrzała wybladłą, młodą jeszcze niewiastę, okrytą suknią tercjarki. Głowa jej wsparta była na odłamie kamienia, a ręce, skrzyżowane na piersiach, ściskały kurczowo czarny drewniany krzyżyk.

— Czego żądasz, miła siostro w Chrystusie? — przemówiła do niej łagodnie Ludwina.

Zagadniona wzniosła oczy ku niebu, zapewne składając dzięki za pomoc sobie zesłaną, i prosiła, aby jej pomóc powstać i odprowadzić ją do domu.

Ludwina przywołała pozostałą opodal towarzyszkę i obie zawiodły widocznie chorą niewiastę na wskazane miejsce. Była to maleńka cela, położona obok kościoła Santa Maria sopra Minerva. Wąskie łóżko, kilka drewnianych stołków, stolik i duży krucyfiks stanowiły całą jej ozdobę. Widząc, że chora coraz bardziej słabnie, pozostała Ludwina przy niej przez całą noc. Rozrzewniona niewiasta nie miała słów na wyrażenie jej podzięki. Nad ranem prosiła o sprowadzenie kapłana, który od czasu, jak zamieszkała w Rzymie, był jej spowiednikiem. Bezzwłocznie spełniła Ludwina żądanie chorej. Skoro pojednała się z Bogiem i uczuła chwilowe polepszenie, odwdzięczając się za starania, zebrała wszystkie siły, aby opowiedzieć ważniejsze wypadki gasnącego już życia.

Bogumiła ze Stradomia, podobnie jak Ludwina, w młodym wieku straciła rodziców i wzbudzała podziw rzadką urodą. Nie poszła jednak cierniową ścieżką zasługi, przekładając nad nią kwiatami usłaną drogę złego. Dopiero gdy tak jak syn marnotrawny zdarła i splamiła godowe szaty, żal ścisnął jej serce, zaczęła pokutować za winy popełnione, a im czystszą się stawała w oczach Boga, tem się czuła niegodniejszą Jego łaski. Wszystko, co czyniła, zdawało się jej niedostatecznem do zgładzenia grzechów. Wreszcie pewien świątobliwy kapłan, widząc jej zgryzoty, doradził dla ukojenia

ich pielgrzymkę do Rzymu, jak to było zwyczajem w owych czasach. Odprawiła ją niebawem Bogumiła, przywdziawszy habit św. Franciszka. Przy pierwszem zwiedzeniu miejsc świętych uczuła zaraz jakiś błogi spokój w duszy i zamieszkała wśród nich, wypraszając sobie ową celkę przy kościele na mieszkanie. Od lat kilku żyła z jałmużny, spełniając uczynki miłosierne, do jakich się jej tylko nadarzała sposobność.

W kilka dni po spotkaniu z Ludwiną, oddała Bogu ducha, a pobożna dzieweczka zajęła jej miejsce w ciasnej izdebce i ślubowała nie opuszczać Rzymu już do śmierci. Towarzysze namawiali ją do powrotu, lecz ona trwała niewzruszenie w swem postanowieniu. Odtąd życie jej było jednem pasmem modlitwy i poświęcenia. Usługiwała chorym, doglądała umierających i zajmowała się troskliwie ubogimi pielgrzymami. Żyjąc tak przeszło lat czterdzieści, znaną była w całem mieście pod nazwą świątobliwej Polki.

Zasnęła w Panu 23 kwietnia r. 1623. Cały prawie Rzym odwiedzał tłumnie jej zwłoki, tak że ich długo nie było można pochować. Dzisiaj jeszcze w kościele polskim św. Stanisława każdy pobożny Rzymianin wskaże zwiedzającemu święte pamiątki stolicy Piotrowej, po lewej stronie ołtarza św. Jacka miejsce, w którem złożono szczątki bogobojnej Ludwiny z Kent.

ŚW. STANISŁAW KOSTKA

(ur. r. 1550 † 1568).

Niedaleko Przasnysza, lichej mieściny powstałej staraniem książąt mazowieckich, a należącej do starostwa ciechanowskiego, które ongi zamieszkiwała królowa Bona, leży wieś Rostków, w szesnastem stuleciu siedziba zamożnego i starożytnego rodu Kostków ze Sztemberga.

Rojno i gwarno było w dniu 28 października 1550 r. na dziedzińcu dworu rostkowskiego. Dziedzic włości, Jan Kostka, kasztelan zakroczymski, wyprawiał dzisiaj w kole krewnych i przyjaciół chrzciny nowonarodzonego syna. Były to czasy, w których szczerze się można było weselić. Zygmunt August panował nad Polską, krajem wielkim i szanowanym. Chociaż cała Europa wrzała niezgodą, w Polsce mądre rządy króla umiały utrzymywać w równowadze burzące się umysły.

Tymczasem już rozpoczął się sobór trydencki, na którym władza Kościoła starała się

stosownemi ustawami zapobiec szerzącemu się odszczepieństwu.

Rodzina Kostków była szczerze katolicką, więc niewiele ją obchodziły spory różnowierców; trwała serdecznie w swojej wierze i prostocie, cieszyła się potomkiem, jako nowym filarem, którym Bóg podparł dom ich i kraj. Pani kasztelanowa zakroczymska, Tekla z Kryskich, pochodząca ze starożytnego rodu Odrowążów, który przed laty dał Polsce św. Jacka, już wczesne miała przeczucie przyszłej świątobliwości nowonarodzonego syna. Wybrała mu też wraz z małżonkiem na ojca chrzestnego godnego męża z sąsiedztwa, Andrzeja Radwanowskiego.

Ruszyła więc po ciężkiej do przebycia drodze ośmiokonna kolasa z dzieciątkiem i kobietami, z ojcem rodzonym i chrzestnym, z sąsiadami i licznymi przyjaciółmi do Przasnysza. W kościółku św. Wojciecha rozpoczął się obrząd chrztu świętego. Gdy już dziecię zostało odrodzone sakramentem świętym i obdarzone imieniem Stanisława, ojciec jego chrzestny poniósł je ku wielkiemu ołtarzowi i złożył na jego stopniach, ofiarując Bogu pobożnie cały przyszły żywot nowego chrześcijanina. Nie domyślał się może nawet, jak ten jego postępek był pełen znaczenia i jakim owocem miał wykwitnąć w przyszłości.

Chociaż młody Stanisław był synem rodziny zamożnej, nie wychowywał się, jakby to się mogło zdawać, w zbytku i próżniactwie. Szlachta nasza ówczesna, zwłaszcza ta, która myślała zdrowo i poczciwie, otaczała się przepychem tylko wtedy, kiedy szło o utrzymanie powagi króla i narodu. Przeto i w rodzinie Kostków Stanisław oraz bracia jego, Wojciech i Paweł, jadali strawę prostą, chodzili skromnie odziani i wcześnie zostali oddani pod nadzór nauczycielski. Ale czyż karność potrzebną była względem Stanisława, który niemal z oczu swoich przełożonych naprzód odgadywał to, czego od niego wymagać będą? Jakże łatwem było czuwanie nad nim, kiedy najmilszą rozrywką młodego chłopca była modlitwa, a do rozmów nieprzyzwoitych, przekleństw wszelkich miał wstręt taki, że mdlał, kiedy czasem głosy podpiłej szlachty uszu jego dochodziły. Już w pierwszych latach dziecięctwa zastanawiał wszystkich tak niezwykle wzniosłym kierunkiem umysłu, że słudzy domowi, ci najbliżsi i często najsprawiedliwsi sędziowie, wyrzekli o nim pierwsi: „Święte dziecko!“

Do Stanisława Kostki można zastosować słowa poety: „Wzrastasz i piękniejesz nie tą pięknością świata mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych i niepojętych myśli, które jakby z drugiego świata płyną ku tobie“. Rósł bowiem w pokorze i prostocie smukły, wiotki,

blady, z słodkim uśmiechem na ustach, z pogodnem, pełnem Bożej myśli czołem, które bujnie wieńczył włos ciemny, istna „lilja Bogu i ziemi wdzięczna", — według pięknego wyrażenia Piotra Skargi.

Po odbyciu wstępnych nauk w domu, oddano Stanisława wraz z bratem jego Pawłem do kolegjum jezuitów w Wiedniu, które zażywało takiej sławy, że je nazywano przedmurzem wiary, a możniejsze rodziny katolickie uważały sobie za obowiązek wysyłać tam swoich synów. Młodzi Kostkowie udali się do Wiednia wraz ze swoim nauczycielem domowym, Janem Bilińskim, i zamieszkali wspólnie w kolegjum. Niestety w rok po ich przybyciu umarł cesarz Ferdynand, a syn jego Maksymiljan odebrał jezuitom gmach, darowany im przez ojca. Nie mając za co kupić innego domu, musieli zakonnicy uczniów rozpuścić, zapewniając im jednak dalsze kursa nauk. Ci zatem, którzy się chcieli dalej kształcić, wynajęli sobie mieszkanie w mieście, a Kostkowie z Bilińskim, mimo oporu Stanisława, zamieszkali w domu możnego heretyka, przeciwnika katolicyzmu, dlatego jedynie, że był to dom położony w najpiękniejszej części miasta.

Stanisław serdecznemi łzami opłakał rozłączenie się z współuczniami. Założyli oni, będąc jeszcze w kolegjum, między sobą zgromadzenie pod wezwaniem św. Barbary męczen-

niczki. Młody Kostka był prefektem tegoż zgromadzenia i z czarującą wymową, z szczególnem wylaniem serca opowiadał towarzyszom o Boskiej wszechmocy i miłości, co zacieśniało między nimi słodkie węzły przyjaźni.

Wtedy właśnie Paweł oddzielił się zupełnie duchem od brata. Mając więcej swobody w mieście, poszedł owczym pędem za tłumem i rzucił się naoślep w otchłań zasad przewrotnych, którą życiem światowem zowią, a z której mało kto bez szwanku na duszy wychodzi. Paweł chciał pociągnąć Stanisława za sobą, ale jedno jego spojrzenie powiedziało mu wyraźnie, że to nie nastąpi nigdy. Widząc, że nic nie wskóra, zaczął się niecierpliwić, prześladować Stanisława, a nawet znęcać się nad nim. Postępowanie brata nie zachwiało łagodności świętego młodzieńca; z początku próbował roztropnemi nad wiek przestrogami odwrócić Pawła od złego; gdy to nie pomogło, milczał, zostawiając łasce Bożej jego nawrócenie, sam zaś wyświadczał mu najlichsze przysługi, ustępował zawsze, gniewliwe słowa rozbrajał uśmiechem słodyczy. Nie zawsze to jednak skutkowało. Gdy Paweł powracał z hulanki, a zastawał brata na modlitwie, unosił się często wielkim gniewem.

— Cóż to? — krzyczał, — na mnicha się kierujesz? Mamy ich już dosyć w kraju! Piękna karjera! Widzę, że twoje pragnienia wyżej nie

sięgają, jak żeby być jakim ojcem kwestarzem, zbierać dla klasztoru baranki i sery od gospodyń i rozwozić nowinki po szlacheckich dworkach! Nie tego się ojciec po nas spodziewa i nie poto nas tu wysłał na naukę! Ty tylko zakałę przynosisz imieniu naszemu! Czy takie powinno być ułożenie młodzieńca wysokiego rodu? Trzeba, żebyś brał lekcje tańca ze mną!

— I owszem, — odpowiedział ze słodyczą młodzieniec, choć najmniejszego nie miał upodobania w rozrywkach światowych, lecz chciał swojem umiarkowaniem i łagodnością doprowadzić brata do upamiętania.

Bywały jednak chwile, kiedy Paweł, właśnie tem jego umiarkowaniem się nieco rozpliwiąc, obalał go na ziemię i deptał ze złości, a świątobliwy Stanisław nie zachował doń urazy w sercu swojem, tylko się modlił za brata. W tych to nadziemskim zachwytem promiennych chwilach modlitwy, uczuł błogosławiony młodzieniec chęć zewania ze światem i obleczenia sukni zakonnej zgromadzenia, pod którego kierunkiem doskonalił się w wierze i nauce. Nic o swoich zamiarach nie wspomniał jednak ani bratu ani nauczycielowi, tylko udał się do prowincjała Towarzystwa Jezusowego i wynurzył mu pragnienia swoje. Prowincjał, mąż przezorny i roztropny, przyjął życzenie Stanisława z pewną obawą; miało bowiem zgromadzenie w czasach tych potężnych

nieprzyjaciół. Pomawiano jezuitów o to, że wszelkiemi wpływami przyciągają do grona swojego młodzież rodzin możniejszych. Gdy się więc jeszcze prowincjał dowiedział, że Stanisław nie ma pozwolenia ojcowskiego, stanowczo mu przyjęcia odmówił. Zasmucony młodzieniec udał się do kardynała Commendoniego, podówczas legata Stolicy Apostolskiej w Wiedniu, który był także legatem w Polsce i miał stosunki z rodziną Kostków. Kardynał przyjął go mile, pobłogosławił, ale półgębkiem tylko przyrzekł, że się za nim do ojca wstawi. Miał on dosyć do czynienia w kraju naszym z przeprowadzeniem soboru trydenckiego, ażeby jeszcze miał chcieć jątrzyć możną polską rodzinę, wypraszając u niej dla zakonu jezuitów syna, którego ona uważała za podporę swojego imienia i dla którego marzyła o senatorskiem krześle, świetnym związku małżeńskim, a nigdy o zakonnej sukience.

Tak więc pozostał Stanisław w Wiedniu, nie słabnąc w swojem postanowieniu, gdy wtem nawiedziła go ciężka choroba. Zapragnął on zaraz, jako łaski największej, Sakramentów świętych, ale że dom w którym mieszkali, należał do innowiercy, który wyszydzał obrządki katolickie, przeto Biliński i Paweł Kostka, nie chcąc się narazić gospodarzowi, przedstawili Stanisławowi, że jego choroba nie jest tak niebezpieczną i że nie ma się co śpieszyć z przy-

jęciem Komunji św. Chory obstawał ze zwykłą łagodnością przy swojem, lecz nalegania jego obracano w żart; nie pozostało mu więc nic, jak modlitwa i tej się żarliwie w cichości ducha oddawał, wzdychając do świętej męczenniczki Barbary, do której wierni zwykle udają się z prośbą, aby ich śmierć nie zaskoczyła nieprzygotowanych na drogę wieczności.

Pewnego razu budzi Stanisław wśród nocy śpiącego wraz z nim w jednym pokoju Bilińskiego:

— Nauczycielu! — woła, — powstań i ukorz się! Święta Barbara z Aniołami przyniosła dla mnie niegodnego Przenajświętszą Komunję!

Zrywa się Biliński, widzi jasność wielką, oblicze zaś Stanisława, pełne zachwytu, taką nadziemską promieniejące radością, że wskutek nadzwyczajnego wrażenia postanawia nauczyciel poświęcić się stanowi duchownemu.

Wkrótce też powrócił Stanisław do zdrowia.

Kończył już lat siedmnaście, kiedy jednego dnia Paweł srożej się jeszcze z nim obszedł, niż kiedykolwiek. Zbił go i podeptał niemiłosiernie, a na odezwanie się brata, że wolałby już stąd być daleko, i nie stać jemu na zawadzie, zawołał w największym gniewie:

— Dobrze, idź sobie precz z oczu moich, nikt cię nie zatrzymuje!

Stanisław usunął się do swego pokoju, gdzie większą część nocy przepędził na modlitwie. Rano, rzekłszy do swego służącego: „Nie czekajcie na mnie z obiadem", zabrał zdawna już przygotowane zawiniątko i wyszedł z domu.

Gdy Paweł z Bilińskim spostrzegli nieobecność brata, zaczęli go szukać po całem mieście; dopomagał im nawet sam gospodarz domu. Nazajutrz, skoro zaświtało, wsiedli wszyscy trzej do kolaski i puścili się drogą do Augsburga. Po kilku godzinach rozminęli się na tej drodze z młodym wieśniakiem w ciemnej, płóciennej szacie, w dużym na oczy wpadającym kapeluszu i z kijem w ręku. Chwilę później Paweł przypomina sobie, że młodzian ten był niezmiernie podobny do Stanisława. Wracają, lecz już go nie znajdują, a konie ich, jakkolwiek spokojne, raptem się rozbrykały i skacząc w górę, wzbraniają się iść dalej. Stanisław tymczasem uskoczył w bok na pole, brat jego i nauczyciel wrócili do Wiednia i tak się skończyła pogoń.

Skoro się starosta zakroczymski dowiedział o postanowieniu syna, zmartwił się niezmiernie. „Synu mój — pisze do niego wtedy, kiedy już Stanisław po długiej podróży dostał się nareszcie do Rzymu, — lekkomyślnością swoją dom mi zelżyłeś, całemu świetnemu rodowi Kostków zmazę i sromotę uczyniłeś; jako żebraczek śmiałeś się po Niemczech i Włoszech włóczyć..."

Stanisław, przeczytawszy list, gorzko zaczął płakać, a gdy się go pytano o przyczynę łez, odrzekł:

— Opłakuję rodziców moich, iż się na darach Bożych nie znają!

I odpisał ojcu list pełen pokory, błagając o jego zezwolenie. Lecz ciężkie jeszcze musiał przechodzić próby. Pisał do niego z naleganiem brat, przyjeżdżały różne przez starostę uproszone osoby — nic nie wzruszyło postanowienia młodzieńca! Wkońcu też odebrał od ojca list następujący: „Synu mój! w tobie pokładałem całą nadzieję, ale gdy sądzisz, że ciebie Pan Bóg do czegoś lepszego powołał, nie chcę cię już więcej wstrzymywać; zostań tam, gdzie cię Pan Bóg wezwał. Trzeba słuchać głosu Boskiego!" — Teraz już nic Stanisławowi do szczęścia nie brakowało. Zakonną suknię przyjął z rąk św. Franciszka Borgjasza, mając ukończonych lat siedmnaście.

Wielu członków znakomitych pobożnością i nauką liczyło Towarzystwo Jezusowe w Rzymie.

Wśród tego wspaniałego grona widzimy naszego błogosławionego młodzieńca, będącego wzorem cnót wszelkich. W dzieciństwie trudno mu szły nauki, później przy pracy i łasce Bożej stanął narówni z innymi, słusznie więc uważany jest za patrona uczącej się młodzieży,

bo w nim ma ona wzór piękny, jak wiele własnemi usiłowaniami zrobić można.

A jakaż to skromność cudowna w nim była, jakie ocenianie zasługi bliźnich!

Kiedy przypadła raz zkolei na niego usługa w kuchni, dano mu znać, że kardynał Commendoni przybyły z Niemiec jest u ojców przełożonych i pragnie go widzieć. Stanisław chciał tak, jak był ubrany, stawić się przed kardynałem, lecz przełożeni dla uszanowania dostojnika Kościoła kazali mu się przebrać. Uczynił to Stanisław i dopiero wtedy zauważył swoją szatę wytartą, tak był dla wszelkiej próżności niedostępny!

Commendoni zdumiał się nad jego pięknością, a kiedy Stanisław odszedł na stronę, jął opowiadać ojcom o jego cnotach, które cały Wiedeń podziwiał, i o zamożności rodziny Kostków.

W dziesięć miesięcy po wstąpieniu do nowicjatu, Stanisław zdawał się już stać na najwyższym stopniu świątobliwości. W Towarzystwie Jezusowem był zwyczaj, że nowicjusze wybierali co miesiąc jako patrona Świętego, którego doroczną pamiątkę obchodził Kościół w tymże samym miesiącu. W sierpniu r. 1568 obrał sobie Stanisław św. Wawrzyńca; w wigilję jego święta spowiadał się i komunikował. Była to pora roku, w której największe choroby Rzym trapiły, kaznodzieja więc, stosując

się do okoliczności, przypomniał wszystkim potrzebę gotowania się na śmierć.

— Dla mnie ta przestroga potrzebniejsza, niż dla kogokolwiek, — rzekł Stanisław do towarzyszy, — gdyż ja w tym miesiącu umrę!

Nie przywiązywano jednak wielkiej wagi do tych słów, które on wyrzekł ze świadomością swojego przeznaczenia. W sam dzień św. Wawrzyńca prosił, żeby mu było wolno dodać sobie kilka nowych umartwień; podczas obiadu posługiwał w kuchni, pod wieczór zaczął opadać na siłach, tak, że przełożony kazał mu się położyć do łóżka.

Z radością przyjął ten pierwszy znak, czując, że jego prośby zostaną wysłuchane, tak mu tęskno było na ziemi za niebem!

Nim się położył, ukląkł i pobłogosławił łoże znakiem krzyża świętego, mówiąc z weselem:

— Jeżeli podoba się Bogu, Panu naszemu, abym więcej nie wstał z tego łóżka, niech się dzieje święta jego wola!

Mimo gorączki, choroba jego nie zdawała się grozić żadnem niebezpieczeństwem. Kiedy więc 14 sierpnia wyrzekł stanowczo, że następnej nocy opuści ziemię, otaczający go rzekli z uśmiechem:

— Trzebaby większego cudu, żebyś umarł, aniżeli żebyś wyszedł z tej choroby.

Jednak osłabienie jego poczęło się zwiększać. Na czoło występował mu pot zimny, leżał z zamkniętemi oczami, z wyrazem zachwycenia na twarzy, jakby obcował z mieszkańcami nadziemskiego świata. Gdy wszedł kapłan z Ciałem Pana naszego, usiadł na łóżku, rumieniąc się od zachwytu szczęścia. Potem wziął do ręki krucyfiks i patrząc nań tkliwie, prowadził rozmowę z Chrystusem, jak rozradowane i pokorne dziecię z ojcem.

Tymczasem siły opuszczały go coraz bardziej, a gdy się go pytano, czy go co boli, zapewniał, że nie, przepraszał tylko wszystkich otaczających go, że im nie dał tyle budujących przykładów, ileby był powinien, prosił, żeby mu odczytano imiona Świętych, do których miał szczególniejsze nabożeństwo, i uśmiechając się wśród ostatnich chwil konania, które u niego malowało się rozjaśnieniem twarzy, skończył śmiercią, która była prawdziwem przejściem do chwały.

Nastąpiło to w samo święto Wniebowzięcia o tej samej godzinie, w której według podań Pan nasz Jezus Chrystus, otoczony licznemi zastępy aniołów, zstąpił z nieba i wziął z grobu ciało swej błogosławionej Matki. — Rumieńce zdobiły świętego młodzieniaszka jeszcze po śmierci; lud cisnął się, żeby go widzieć, rzucano kwiaty na jego ciało.

Król nasz, Michał Korybut Wiśniowiecki, którego dziad był z domu Kostków, domagał się od Stolicy Apostolskiej kanonizowania Stanisława. Opowiadał monarcha w swym liście, jak cudownie dopomógł święty młodzieniec rodakom w bitwie pod Chocimem i Kamieńcem. Do dziś dnia bowiem istniejący w Krakowie w kościele św. Piotra i Pawła obraz przedstawia cud, jaki się miał stać w czasie tej świetnej dla oręża polskiego walki, w której przewodził Chodkiewicz. Utrzymują, że podczas ostatniego z Turkami starcia, pokazał się na niebie wóz, na którym znajdowała się Najświętsza Panna, a u Jej stóp błogosławiony Stanisław; wóz ten posuwał się z zachodu ku wschodowi i młodzian polski pokazywał uwielbianej Matce wojsko swego kraju, potykające się z Turkami.

W roku 1714 policzył papież Klemens XI Stanisława Kostkę w poczet Świętych.

Tymczasem rodzina jego oddawna w Polsce wygasła. Najstarszy brat św. Stanisława Kostki, Wojciech, zaziębił się na pogrzebie ojca i wkrótce po nim umarł bezżenny. Paweł Kostka, słysząc o cudownym żywocie i śmierci świątobliwego swego brata Stanisława, przez całe życie nie mógł sobie darować dawnego z nim postępowania. Ostrą czynił pokutę, tonąc we łzach i bynajmniej nie myśląc o godnościach światowych; nie ożenił się, a cały swój

majątek obrócił na ubogich i na wystawienie pięknego kościoła i klasztoru w Przasnyszu.

Starego dworu dawnych możnych panów na Rostkowie już dziś niema i szczątków. Różni dziedzice mieli kolejno w posiadaniu włość, a z imienia dumnego starosty zakroczymskiego ani śladu nie pozostało na ziemi. Nikt nie pamięta już dzisiaj, kto tam był wojewodą a kto kasztelanem, tylko nadziemska postać ostatniego Kostków potomka unosi się promienna wiekuistą chwałą, i nietylko Polska cała, lecz i cały świat katolicki pada przed nim na kolana, wołając: — „Módl się za nami!"

ŚW. JOZAFAT KUNCEWICZ

(ur. r. 1580 † r. 1623).

Tak zwana „unja florencka", która przyszła do skutku podczas panowania Władysława Warneńczyka za staraniem papieża Eugenjusza IV, na soborze we Florencji r. 1439, a której celem było połączenie Kościoła wschodniego, czyli greckiego, z zachodnim czyli rzymsko-katolickim, z papieżem jako jedyną głową Kościoła, utrzymała się w Grecji niestety tylko lat kilkanaście. W Moskwie nie przyjęto jej wcale, a w Polsce i na Litwie upadła już w szesnastym wieku prawie zupełnie. Do upadku jej przyczyniła się obojętność dla niej rządów Zygmunta I Starego i Zygmunta II Augusta. Dopiero gdy za Stefana Batorego, a bardziej jeszcze za Zygmunta III Wazy, Kościół katolicki przychodził do dawniejszego znaczenia, wówczas i Kościół wschodni począł się odradzać i powstała wśród niego myśl odnowienia unji z Kościołem katolickim. Najmożniejsi Rusini, między nim kniaź Bazyli Ostrogski, popierali tę

myśl, zajęli się nią też gorliwie jezuici, a zabiegi ich poparł wymownie ks. Piotr Skarga w dziele swem „O jedności Kościoła Bożego".

Unja stała się koniecznością, przedewszystkiem ze względów politycznych, zwłaszcza, że r. 1589 powstał w Moskwie, za sprawą regenta Borysa Godunowa, osobny patrjarchat zależny w zupełności od cara, skutkiem czego i Kościół ruski w tę samą musiałby popaść zależność. Bezpośrednim jednak powodem do rozpoczęcia sprawy, było zdzierstwo carogrodzkich i innych patrjarchów, którzy się od ruskich biskupów, mianowicie za nominację, domagali wielkich sum pieniężnych. Gdy z tego powodu powstał spór między patrjarchą Jeremjaszem a metropolitą kijowskim Michałem Rahozą, skorzystali z niego w celach unji przychylni jej biskupi ruscy, za nimi zaś poszedł i sam metropolita. Po kilku synodach wstępnych i rokowaniach z nuncjuszem, królem i robiącym teraz trudności księciem Ostrogskim, ułożono na synodzie w Brześciu Litewskim r. 1595 warunki unji. Zastrzeżono sobie w całości właściwe Kościołowi greckiemu obrzędy i liturgję, przyrzeczono przyjąć nowy kalendarz gregorjański z zatrzymaniem świąt greckich i proszono o zrównanie biskupów ruskich z biskupami łacińskimi, a mianowicie o przypuszczenie pierwszych do senatu. Na odnośnym akcie podpisał się metropolita wraz ze wszystkimi biskupami

ruskimi obrządku wschodniego, między nimi biskup lwowski Gedeon Bałaban i przemyski Michał Kopystyński.

Wysłani od synodu do Rzymu biskupi, Pociej i Terlecki, przyjęci zostali przez papieża Klemensa VII z otwartemi rękoma, poczem pod powyższemi warunkami stanął 23-go grudnia r. 1595 wiekopomny akt, mocą którego Kościół ruski ponownie został z rzymskim zjednoczony.

Tymczasem rozwinęli przeciwnicy unji namiętną agitację, a na ich czele stanął książę Ostrogski, mimo że poprzednio był najzagorzalszym jej zwolennikiem. Również i biskupi Bałaban i Kopystyński, którzy dotąd unji sprzyjali, wystąpili przeciwko niej. Kiedy więc podczas nowego synodu w Brześciu r. 1596 miał zostać akt unji na zlecenie papieża ogłoszony, utworzył książę Ostrogski wraz ze swymi popleczníkami antysynod, który unję odrzucił i biskupom unickim posłuszeństwo wypowiedział. Wprawdzie większość biskupów ruskich wytrwała przy unji, zatrzymując tylko dawniejszy kalendarz, jednakże przynajmniej trzecia część wyznawców Kościoła ruskiego pozostała przy schizmie wraz z biskupami lwowskim i przemyskim. Tym sposobem zamiast pożądanego zjednoczenia nastąpiło raczej nowe szkodliwe rozdwojenie. Rozpoczęła się teraz na Rusi między unitami a dyzunitami walka,

która doprowadziła wkońcu do ogólnego zamieszania.

Za panowania Zygmunta III Wazy, który gorliwie popierał unję, najwybitniejszymi jej apostołami na Rusi byli: następca Rahozy na metropolji kijowskiej, Welamin Rutski, i arcybiskup połocki, Jozafat Kuncewicz.

Słusznie powiada też ks. Kalinka w przedmowie do polskiego przekładu żywota św. Jozafata Kuncewicza, napisanego przez benedyktyna, ojca Guépin: „że Pociej zapewnił byt legalny unji w Rzeczypospolitej, Rutski dał jej kształt organiczny, ale św. Jozafat tchnął w nią swoją duszę".

Jozafat Kuncewicz pochodził z niezamożnej, lecz szlachetnej i pobożnej rodziny; urodził się r. 1580 we Włodzimierzu na Wołyniu z Gabrjela i Maryny Kuncewiczów. Na chrzcie św. otrzymał imię Jana, które później w klasztorze zamienił na Jozafata.

Już w pierwszych latach dziecięcych okazywał rzadką gorliwość w służbie Bożej. Po ukończeniu szkoły miejscowej przeznaczyli go niezamożni rodzice do stanu kupieckiego i oddali na naukę do zamożnego kupca Jacka Popowicza w Wilnie. Jan przybył do stolicy jako młodzieniec dorastający, w czasie gdy po zawarciu unji brzeskiej wrzała zacięta walka przeciw niej i jej biskupom.

Czas wolny od zajęć spędzał na modlitwie lub czytaniu pobożnych książek. Ponieważ podówczas wszystkie prawie cerkwie były schizmatyckie, uczęszczał na nabożeństwo do jednej, przynajmniej z imienia unickiej cerkwi św. Trójcy, przy której istniał klasztor.

Zawód kupiecki nie odpowiadał jednak usposobieniu i duchowi młodzieńca. Pragnął on czegoś wyższego, ale czuł, że dla zaspokojenia tych pragnień brak mu nauki. Opatrzność zesłała wtenczas Kuncewiczowi przyjaciół, którzy się zajęli jego dalszemi losami. Przebywający w Wilnie Grek Piotr Arkadjusz, rektor kolegjum greckiego, i dwaj jezuici, profesorowie akademji wileńskiej, Walenty Fabrycy i Grzegorz Grużewski, ujęci niezwykłą świątobliwością Jana, zaopiekowali się nim, udzielając mu prywatnej nauki języka łacińskiego i wdrażając go w znajomość prawd wiary oraz w tajniki życia duchownego. Obcowanie z uczonymi mężami wpłynęło na wybór stanu Jana i po kilku latach wytrwałej pracy dojrzało w młodzieńcu powołanie do zakonu. Opuścił więc dom chlebodawcy swego, Jana Popowicza, który polubił zczasem Kuncewicza i chciał go zrobić swym spadkobiercą, a wstąpiwszy r. 1604 do klasztoru św. Trójcy, otrzymał z rąk metropolity Pocieja suknię zakonną.

W klasztorze, opustoszałym z powodu ustawicznych zamieszek religijnych, znajdował

się przeor i kilku tylko braci. Wszystko, co do zakonu należało, zagrabili ludzie świeccy, a budynki klasztorne wynajęto częściowo na mieszkania. Bolał Jozafat bardzo nad takim stanem rzeczy, jak i nad brakiem ducha unickiego wśród zakonników, lecz tem więcej się modlił i ostre zadawał sobie umartwienia. Ile mógł zachęcał znaną sobie w mieście młodzież, aby wstępowała do klasztoru, a z nowicjuszami dzielił się jak najchętniej zasobem swej nauki i głębokiej wiary. Tak pozyskał dla zakonu Welamina Rutskiego, późniejszego metropolitę, o którym papież Urban VIII powiedział, że był: „Atlasem Unji", „Słupem Kościoła" i „Atanazym ruskim".

Pan Bóg zdaleka przygotowuje i zbliża do siebie ludzi, którzy później mają pracować wspólnie nad jednem dziełem. Rutski żył do dwudziestego pierwszego roku życia w błędach kalwińskich jak wielu wykształceńszych Rusinów w owych czasach. Nawrócony przez jezuitów, poszedł do Rzymu, gdzie papież Klemens VIII poznawszy jego zdolności, przypuścił go, mimo że już liczył dwadzieścia i trzy lata, za dyspensą do kolegjum greckiego. Po ośmiu latach wrócił do Wilna jako kleryk i tu zapoznał się z Kuncewiczem, który jeszcze był kupczykiem. Bez zbliżenia się z Jozafatem i zawiązania z nim ściślejszej przyjaźni nie byłby prawdopodobnie Rutski, mimo wykształcenia

i zalet wielkich, nigdy doszedł do zaszczytów i rozgłosu, jakie później osiągnął. Wniósł on do klasztoru bazyljanów, oprócz wielkiego zasobu wiedzy i znajomości świata, potężny zmysł organizacyjny, Jozafat zaś przyświecał wszystkim dobrym przykładem surowego życia. Obaj postanowili pracować wspólnie dla dobra swego zakonu i obrządku.

Rokosz, który podniosła r. 1607 przeciw wytrwałemu obrońcy unji, Zygmuntowi III, szlachta z Zebrzydowskim na czele, a do którego przyłączyli się wszyscy heretycy i schizmatycy, żądając od króla i sejmu rozmaitych ustępstw, rozzuchwalił również i duchowieństwo, nie sprzyjające unji. Archimandryta klasztoru św. Trójcy, Sienczyłło, skryty schizmatyk, któremu była solą w oku owocna działalność Welamina i Jozafata, zetknął się z wrogami unji w Wilnie i usiłował klasztor świętej Trójcy odebrać unitom. W celu przeprowadzenia niecnych swych zamiarów, postanowił wpierw usunąć niewygodnego sobie Welamina i wysłał go w daleką podróż. Kuncewicza, jako ulubieńca wszystkich, zdolnego, jak mniemał, pokryć przewrotność jego postępowania, starał się prośbą i groźbą skłonić do odszczepieństwa. Lecz daremne były jego wysiłki, Jozafat pozostał niewzruszony przy unji, a metropolita Pociej, uwiadomiony o zdradzie i odstępstwie, pozbawił Sieńczyłłę urzędu,

który następnie powierzono Welaminowi Rutskiemu.

W r. 1609 otrzymał Kuncewicz święcenia kapłańskie i wystąpił odrazu jako wybitny kaznodzieja, niestrudzony spowiednik i gorliwy apostoł jedności Kościoła. Do kazań obierał sobie najchętniej przedmioty sporne pomiędzy unitami a schizmatykami i tak jasno umiał je wykładać, że wielu zagorzałych innowierców nawracało się do Boga. W czasie wolnym od zajęć duszpasterskich wychodził do miasta, zwiedzał szpitale i posługiwał chorym.

Po śmierci Pocieja wyniesiony został Welamin Rutski do godności metropolity i mianował bezzwłocznie Jozafata swoim następcą na stanowisku archimandryty klasztoru św. Trójcy. Chociaż zarząd klasztoru, liczącego już podówczas sześćdziesięciu zakonników, wymagał wielkiej pracy, nie zaniedbywał gorliwy przełożony na chwilę głównego swego posłannictwa, t. j. nawracania schizmatyków. Jako archimandrycie wypadało mu nieraz wyjeżdżać w sprawach zakonu. Podczas każdej takiej podróży starał się pozyskać zbłąkane dusze dla Pana Boga. I tak, kiedy przybył raz nad Niemen, a wskutek kry przeprawa okazała się niemożliwą, urządził dla czekających na zamarznięcie rzeki podróżnych naprędce misję, wygłosił kilka zbawiennych nauk i wkońcu wszystkich wyspowiadał.

Metropolita Welamin Rutski, który uważał za swój obowiązek wziąć uroczyście w posiadanie katedralną swoją cerkiew św. Zofji w Kijowie, wybrał się tam, zabierając ze sobą archimandrytę Kuncewicza. Zaledwie stanęli na miejscu przeznaczenia, pośpieszył Jozafat odwiedzić sławną Ławrę Pieczerską, najstarszy z wszystkich ruskich klasztorów, ale też najzaciętszy w schizmie. Gorliwość o wzmocnienie i rozszerzenie unji spowodowała Jozafata do tej pielgrzymki. Kiedy się zbliżał do monasteru, spotkał myśliwca, otoczonego gromadą strzelców i sforą psów. Był to sam archimandryta Ławry Pieczerskiej, który ujrzawszy Jozafata, zapytał go o nazwisko, a dowiedziawszy się, kogo ma przed sobą, zaczął lżyć Świętego i zdawało się, że w niepohamowanej złości lada chwila każe go wrzucić do Dniepru. Po kilku słowach Kuncewicza, nacechowanych godnością i pokorą, uspokoił się archimandryta i powiódł go z sobą do klasztoru. Na jego przybycie zadzwoniono i zaraz zbiegło się około dwustu mnichów, aby „duszochwata", jak Kuncewicza już dawniej przezwali schizmatycy, obejrzeć. Wszczął się zgiełk nie do opisania. Kiedy na skinienie przełożonego nastąpiła cisza, odezwał się Jozafat, tłumacząc w słowach pełnych miłości, że celem przybycia jego do klasztoru było pragnienie poznania się z zakonnikami, jako ze swymi braćmi. Poprosił potem, aby mu

podano biblję i księgi liturgiczne, a otrzymawszy je, bronił dzielnie unji z tych samych ksiąg, których zakonnicy Ławry Pieczerskiej codziennie do czytania i służby Bożej używali. Mnisi osłupieli, słysząc, że bezwiednie powtarzali w modlitwach liturgicznych każdego dnia potępienie swoich błędów i potwierdzenie nauki katolickiej. Wkońcu wezwał ich, aby mu udowodnili, że jest w błędzie, a wtedy gotów jest przejść na ich stronę. Nikt nie odpowiedział ani słowa, tylko słychać było, jak mówili szeptem między sobą: „Oto prawdziwy duszochwat!" Św. Jozafat zyskał sobie poważanie zakonników Ławry Pieczerskiej do tego stopnia, że już nie jako wroga, lecz jako ojca i przyjaciela i choć nie nawróceni, ale głęboko upokorzeni, odprowadzili go do mieszkania, gdzie z wielkim niepokojem oczekiwał go metropolita.

Po kilku latach niestrudzonej, bogatej w owoce pracy apostolskiej powołał metropolita Kuncewicza r. 1617 na stanowisko biskupa-sufragana na Białoruś do Połocka, gdzie miał wyręczać chorego arcypasterza Gedeona Brolnickiego, z prawem następstwa. Skromny kapłan nie chciał przyjąć ofiarowanej sobie godności, dopiero przyjaciel i spowiednik jego o. Fabrycy skłonił św. Jozafata do poddania się woli zwierzchnika.

Wiadomość o nominacji Kuncewicza przyjęto w Połocku naogół przychylnie. Ludność

białoruska nie była jeszcze wprawdzie unicką, kiedy nowy biskup przybył do diecezji, lecz narazie nie stawiała ona czynnego oporu unji. W kilka miesięcy po objęciu rządów koadjutora przez św. Jozafata, umarł stary arcybiskup Brolnicki i z tą chwilą ujrzał się Kuncewicz w posiadaniu tytułu i władzy arcypasterza połockiego. Niezwłocznie zabrał się też z zapałem do naprawy stosunków w swej diecezji, poznawszy w krótkim czasie dokładnie jej niedostatki. Odwiedzał parafję po parafji, zachęcając lud do pobożności i ucząc księży, jak mają sprawować wzniosły a odpowiedzialny urząd kapłański. Aby zaś owoc swych nauk utrwalić, ułożył z nich katechizm, który rozdał pomiędzy duchownych. Lud wiejski był zadowolony z nowego porządku rzeczy, a widując częściej swego pasterza, miał sposobność zbliżenia się do niego i korzystania z jego apostolskich wskazówek. Również większe miasta, jak Witebsk i inne, powitały pasterza z ufnością. Jedynie Mohylów, gdzie się znajdowało tak zwane bractwo schizmatyckie, wrogie unji, zamknął przed nim bramy.

Między wszystkiemi bractwami ruskiemi istniało, zwłaszcza po zawarciu unji brzeskiej, ustawiczne porozumienie. Z chwilą więc odebrania wiadomości o nominacji św. Jozafata na koadjutora arcybiskupstwa połockiego, z prawem następstwa, uprzedziło bractwo wileńskie

przyjaciół swych mohylowskich do biskupa, i niebawem podniosło całe duchowieństwo i mieszczaństwo Mohylowa zbrojny bunt przeciw arcypasterzowi. Chcąc uniknąć rozlewu krwi, ustąpił św. Jozafat, lecz doniósł królowi o wykroczeniu miasta przeciw powadze monarchy. Zygmunt III powierzył zbadanie sprawy kanclerzowi litewskiemu Lwu Sapieże, który r. 1619 zawyrokował karę śmierci na buntowników i zawezwał, aby wszystkie cerkwie i klasztory poddały się w przeciągu sześciu tygodni władzy nowego pasterza.

Wyrok śmierci nie został wprawdzie nigdy wykonany, lecz kiedy mohylowszczanie, trwając w uporze, ani myśleli o wydaniu kościołów, odebrał je arcypasterz sam, a księży schizmatyckich zastąpił unickimi.

Wkrótce uspokoiły się cokolwiek wzburzone umysły, zwłaszcza, że oszczerstwa rzucane przez podżegaczy na unję, okazały się bezpodstawne. Lud umiał ocenić gorliwą pracę nowoustanowionych kapłanów i odzyskał zaufanie, widząc, że unja starego obrządku nie znosi, ani go nawet nie zmienia, lecz owszem służbę Bożą z tem większą pełni gorliwością.

Zdawać się mogło, że dzięki olbrzymiej pracy i bohaterskim cnotom św. Jozafata, nastąpił na całej Białorusi zwrot ku unji. Tymczasem samozwańczy patrjarcha jerozolimski Teofan, wracając z Moskwy, dokąd jeździł jako

wysłannik sułtana, przybył na prośby braciw do Kijowa i ustanowił hierarchję schizmatycką, przeciw istniejącej unickiej, mianując w każdej diecezji biskupa przeciw biskupowi. Arcybiskupstwo połockie oddał Melecemu Smotryckiemu, mężowi wielkich zdolności. Otrzymawszy święcenie, zjechał Melecy najpierw do Wilna, osiadł w klasztorze cerkwi Świętego Ducha i wysyłał stamtąd na wszystkie strony archidiecezji połockiej zakonników schizmatyckich z odezwami podburzającemi ludność białoruską przeciw prawowitej władzy. Wichrzyciel potrafił uderzyć w najtkliwszą stronę ludu, wyzyskując obłudnie pewne błahe pozory, popierające pozornie zarzuty czynione arcypasterzowi. Wysłannicy głosili, że św. Jozafat , jako oddany Kościołowi rzymsko-katolickiemu, odprawiał nabożeństwo w świątyni łacińskiej w Warszawie, że brał tam udział w nabożeństwie i w procesji Bożego Ciała i że przestawał z jezuitami. To wystarczyło, aby rzucić niepokój w serca ciemnego ludu i odwrócić go od ukochanego pasterza.

W chwili, kiedy się taka zawierucha gotowała na Białej Rusi, przebywał arcybiskup w Warszawie, gdzie wspólnie z metropolitą Welaminem Rutskim bronił na sejmie cerkwi unickiej przeciw uroszczeniom nowowyświęconych biskupów schizmatyckich. Przerażony odebraną wiadomością o zajściach połockich, wy-

jechał niezwłocznie i stanął niebawem w swej stolicy.

Dwóch mieszczan z Połocka, którzy wskutek wichrzenia niejakiegoś Sylwestra, mnicha, od samego początku jawną okazywali pasterzowi niechęć, wybrało się wówczas do Wilna, aby się osobiście znieść ze Smotryckim. Powróciwszy do Połocka, zostali zapalonymi wrogami św. Jozafata. Wkrótce znikł mnich Sylwester z miasta i przeniósł się do Witebska. Tu dobrał sobie jakiegoś popa i zbuntował całe miasto przeciw Kuncewiczowi.

Św. Jozafat uspokoiwszy nieco Połock, pośpieszył do Witebska, a następnie do Mohylowa i Orszy. Daremne były jednak usiłowania jego, aby obałamuconych przywieść do upamiętania. Wyczerpawszy wszystkie środki łagodności, przyszedł do przekonania, że trzeba będzie uciec się ostatecznie do powagi królewskiej. Ponieważ Smotrycki głosił w swych odezwach, jakoby miał zatwierdzenie króla na archiepiskopat połocki, uprosił św. Jozafat monarchę o wydanie uniwersału do zbuntowanych miast i oznajmienie w nim, że tylko on sam jest prawowitym, przez władzę królewską mianowanym arcybiskupem połockim. Pojawił się żądany uniwersał i został opublikowany przez wojewodę Michała Sokolińskego najpierw w Połocku w obecności pasterza. Podczas czytania orędzia powstała wśród ludności dyzunickiej,

tłumnie zgromadzonej przed ratuszem, ogromna wrzawa i odezwały się groźne protesty.

„Nie chcemy unji!" — wołano zewsząd. — „Nie chcemy mieć Jozafata arcybiskupem! Śmierć zdrajcy, ciemiężycielowi wiary!"

W Witebsku przybrały sceny burzliwe jeszcze większe rozmiary i kiedy św. Jozafat odprawiał w jednej z cerkwi nabożeństwo, wpadł tłum schizmatyków do domu Bożego, a pobiwszy służbę biskupią, złupił doszczętnie skarbiec i zakrystję.

Nie zrażał się Kuncewicz niepowodzeniami, i wrócił r. 1621 po odebraniu cerkwi witebskich z rąk schizmatyków, którzy je sobie poprzednio przywłaszczyli, spokojnie do Połocka, spełniając nadal wytrwale swój urząd apostolski. Po roku usilnej pracy odzyskał pewną, choć małą część straconych owieczek.

Niedługo zaczęły jednak burzliwe żywioły w Witebsku na nowo podnosić głowę, a mianowicie magistrat miejski pod przewodnictwem dwóch swoich członków przybierał coraz groźniejszą postawę wobec unji i arcypasterza. Nie mając odwagi, przez wzgląd na dekret monarchy, przywłaszczyć sobie po raz drugi cerkwi, wybudowali dwie nowe za rzeką Dźwiną, w której księża odszczepieńcy odprawiali nabożeństwo. Św. Jozafat, dowiedziawszy się o tem, postanowił raz jeszcze osobiście upomnieć po ojcowsku obałamucony lud. Przyja-

ciele w Połocku starali się odwieść pasterza od tego kroku, tłumacząc mu, że naraża się na niebezpieczeństwo utraty życia, lecz Święty odrzekł: „Nie lękam się śmierci; oby mi Bóg dał, abym na koronę męczeńską sobie zasłużył!"

W końcu października r. 1623 przybył z małym orszakiem do Witebska i podczas dwutygodniowego pobytu w mieście odprawiał codziennie w rozmaitych cerkwiach nabożeństwo. Ilekroć służba biskupia pokazała się na ulicy, spotykały ją ze strony obywateli pogróżki i czynne zniewagi, mające na celu spowodowanie starcia.

W dniu św. Dymitra, męczennika, wygłosił arcypasterz kazanie, mówiąc między innemi: „Oto przychodzi godzina, w której ktokolwiek was zabić będzie się starał, sądzić będzie, że odda przysługę Bogu! I wy chcecie mi zadać śmierć, czynicie na mnie zasadzki na ulicach, mostach i drogach. Oto jestem wśród was, jako wasz pasterz; wiedzcie, że największem szczęściem mojem będzie umrzeć za was. Oby mi Bóg dał łaskę, abym dał życie za unję świętą, za zwierzchnictwo św. Piotra i za następcę jego, papieża! Jestem gotów umrzeć za prawdę pod waszemi ciosami!"

Spodziewał się może święty pasterz, a więcej pragnął, niż się spodziewał, nakłonić do upamiętania zbójców, jak ongi Zbawiciel zdrajcę Judasza. Ale napróżno!

Na ratuszu postanowiono dokonać zbrodni w niedzielę 12 listopada, i zapowiedziano to z urąganiem służbie św. Jozafata. Prawowierny rajca Iwanowicz, znając plan schizmatyków, błagał pasterza, aby opuścił Witebsk. Ale Święty odpowiedział, że pasterzowi nie przystoi uciekać. Noc całą leżał krzyżem, modląc się za Kościół, za unję, za lud i za nieprzyjaciół, ofiarując Panu swe życie. Od czasu do czasu podnosił się i ostro się biczował.

„Tej nocy — mówi stary kronikarz, — widzieli ludzie o trzy mile od Witebska gęste chmury nad pałacem biskupim, poprzerzynane krwawemi pasami, a niektórzy rozpoznawali wśród nich krzyż krwawy".

Następnego dnia poszedł św. Jozafat, jak zwykle, o wczesnej godzinie do cerkwi na jutrznię. U wejścia do kościoła czekał już na niego odstępca, niejakiś pop Eljasz, i zaczął mu złorzeczyć. Towarzyszący arcybiskupowi archidiakon Doroteusz polecił jednemu ze służących uwięzić nędznika. Na to tylko czekali schizmatycy. Uderzono bezzwłocznie na ratuszu w dzwony, a w tej chwili odezwały się dzwony wszystkich cerkwi, oprócz katedralnej. Czerń, uzbrojona w siekiery i inne mordercze narzędzia, rzuciła się ku pałacowi arcybiskupiemu. Gdy po skończonej jutrzni pasterz opuszczał świątynię, niezliczone tłumy stały między kościołem a mieszkaniem.

„Śmierć mu, bijcie, zabijcie go!“ — wołano. Nikt przecież nie odważył się podnieść ręki na pomazańca Bożego. Spokojnym krokiem przeszedł biskup do swych komnat, a dowiedziawszy się, że przyczyną zbiegowiska było uwięzienie Eljasza, kazał go wypuścić na wolność. Lecz sprawcom tumultu nie chodziło jedynie o uwolnienie burzyciela, bo byliby, po osiągnięciu tego, ludność uspokoili i do rozejścia się zawezwali. Im chodziło o zabicie św. Jozafata, wszak wyznaczyli dzień ten na wykonanie niecnego zamachu!

Zaledwie arcybiskup wszedł z towarzyszami do mieszkania, rzuciło się pospólstwo, jak potok wezbrany, z rykiem ku izbom zamieszkiwanym przez niego, niszcząc po drodze wszystko, pastwiąc się niemiłosiernie nad służbą i raniąc ciężko archidiakona Doroteusza.

Święty, zatopiony w modlitwie, usłyszał zgiełk i wrzawę, opuścił więc komnaty, postąpił na dziedziniec, podniósł oczy i ręce ku niebu i błogosławił napastnikom, odzywając się do nich: „Synaczkowie, dlaczego tak bijecie służbę moją? Jeżeli co macie do mnie, oto jestem w ręku waszym!“ Złożył potem ręce i czekał na cios śmiertelny.

Wystraszona tłuszcza nie śmiała się ruszyć z miejsca. W tej chwili wypadło z bocznych izb dwóch zbirów z okrzykiem: „Ubijcie go, ubijcie!“ Jeden z nich ugodził Świętego

potężnym kijem, a drugi zadał mu toporem głęboką ranę w głowę. Upadł mąż święty na ziemię, a wtenczas zaczęła się wściekła czerń w najokropniejszy sposób znęcać nad poranionym. Wkońcu dobił go jeden z opryszków dwoma strzałami z rusznicy. Do ciała Męczennika przywiązano następnie ciężki kamień i rzucono je w najgłębsze miejsce Dźwiny, aby unici pasterza nawet nieżywego wśród siebie nie mieli.

Tysiące ludu towarzyszyły topieniu zwłok sługi Bożego. Rozchodziły się jak ongi z Golgoty w milczeniu. Po szale nastąpiło przebudzenie połączone z przerażeniem. Przez cały ten dzień panowała w Witebsku gęsta mgła, a ciemność i niezwykłe znaki przerażały mieszkańców miasta. Z Połocka widziano słup, gorejący szeroką i krwawą łuną nad Witebskiem.

Zwłok św. Męczennika długo szukano daremnie. Dopiero szóstego dnia po dokonanej zbrodni słup światła, unoszący się z wody, o ćwierć mili od miasta, naprowadził rybaków na miejsce, gdzie spoczywały. Po wydobyciu ciała, wystawiono je najpierw w katedrze witebskiej. W uroczystej procesji przeniesiono następnie święte szczątki do cerkwi katedralnej św. Zofji w Połocku.

Ojciec św. Urban VIII wydał 16 maja 1643 roku dekret, mocą którego św. Jozafat miał być

odtąd uważany za Błogosławionego, a r. 1867 policzył go papież Pius IX w poczet Świętych.

Obawiając się, aby wśród wojny relikwje wielkiego Patrona unji nie były narażone na zbezczeszczenie ze strony rozszalałych bolszewików, wywieziono je do Wiednia, gdzie dotąd spoczywają w kościele Bazyljanów.

BŁOG. ANDRZEJ BOBOLA

(ur. r. 1592 † r. 1657).

Do Polski, położonej pomiędzy wschodnio-północną a zachodnio-południową Słowiańszczyzną, jakoby jej sercem, przybywało w różnych czasach mnóstwo pobratymców z obu stron, którzy następnie pozostawali w kraju, stając się obywatelami nowej ojczyzny i biorąc czynny udział w życiu narodowem.

Z pomiędzy tych przechodniów wyróżniała się szczególniej czeska rodzina Bobolów, herbu Leliwa, osiadła w Polsce rzekomo około r. 1300, za panowania króla Wacława.

Andrzej Bobola, syn Krysztofa, przyszedł na świat w województwie sandomierskiem r. 1592, a więc w czasie zabiegów około zjednoczenia Rusi z Kościołem rzymskim. Z pierwszych lat młodości Andrzeja żadne prawie nie przechowały się szczegóły, zwłaszcza, że podczas zawieruch wojennych tego wieku, nietylko prywatne, lecz i publiczne archiwa doszczętnie spłonęły. Jedynie ze starego spisu uczniów

Bł. Andrzej Bobola T. J.

(Nieśm. św.)

szkół sandomierskich wiemy, że młodego Bobolę stawiano współtowarzyszom za wzór anielskiej pobożności i pilności w naukach.

Idąc za głosem powołania, wstąpił jako dziewiętnastoletni młodzieniec r. 1611 do klasztoru jezuitów w Wilnie, gdzie po odbyciu nowicjatu złożył śluby zakonne. Kształcił się następnie w filozofji, poczem przeznaczono go r. 1617 na nauczyciela gramatyki do Brunsbergi, a stamtąd posłano po roku do Połtawy. Dwa lata przepędził tam Bobola, wrócił następnie do Wilna, ukończył chlubnie nauki teologiczne i wyświęcony został 11 grudnia 1622 przez biskupa wileńskiego ks. Eustachego Wołłowicza na kapłana.

Gdy tak młody żołnierz Chrystusowy, przybrany w pełną broń duchowną, zabierał się do boju, w Polsce ważne zaszły wypadki.

Za sprawą wracającego z Moskwy samozwańczego patrjarchy jerozolimskiego, Teofana, ustanowiono na Rusi i Litwie biskupów schizmatyckich. W Kijowie topiło lub mordowało pospólstwo wspólnie z kozactwem kapłanów unickich, a w Witebsku zgładził tłum, podbechtany przez dyzunickiego archiepiskopa Smotryckiego, ks. Jozafata Kuncewicza, arcybiskupa połockiego. Podczas takiego stanu rzeczy rozpoczął nowowyświęcony Andrzej Bobola swoją działalność, obejmując roku 1624 urząd kaznodziei przy kościele św. Kazimierza

w Wilnie. Na stanowisku tem był on wzorem męża apostolskiego, kierując się zawsze cnotą sprawiedliwości i bezstronności. Kiedy razu pewnego trybunał wileński rozpatrywał sprawę, która dotyczyła również Zgromadzenia Jezusowego, rozstrzygnęli ją sędziowie według orzeczenia Boboli, zapytywanego o radę. Jedna ze stron, niezadowolona z wyroku, odwołała się do trybunałów wyższych, lecz i te potwierdziły wyrok wileński. Zasłynął wówczas nasz Błogosławiony szeroko i daleko, tak że dom warszawski jezuitów chciał go koniecznie pozyskać dla siebie. Na usilne prośby ojców wileńskich pozostawiono jednak Bobolę w Wilnie.

Podczas ciężkiej zarazy, jaka nawiedziła trzykrotnie Wilno, poświęcał się Andrzej z narażeniem życia chorym i o mało życiem nie przypłacił swego bohaterstwa.

W r. 1631 powołał prowincjał jezuitów, Mikołaj Łęczycki, Bobolę na rektora do Bobrujska, gdzie w czasie pięcioletnich rządów zaskarbił sobie miłość i poważanie braci zakonnych i był duszą zgromadzenia. Pod jego opiekę udali się bracia z Orszy i Smoleńska, zagrożeni chwilowo napadem Moskwy przy wstąpieniu na tron Władysława IV. Ilekroć choroba nie dozwalała któremu z podwładnych wypełnić swego obowiązku, wyręczał Bobola każdego najochotniej.

W lipcu r. 1655 zawezwano go na zebranie prowincjonalne do kolegjum warszawskiego. Tutaj zapoznał się z wielu współbraćmi, których pobożność i gorliwość były dla niego bodźcem do coraz większego pragnienia chwały Bożej i doskonałości. Po zjeździe rozjechali się zakonnicy na misje po całej Polsce, zagrożonej przez różnowierców i schizmę, a naszemu Błogosławionemu powierzono, jako pole przyszłej działalności apostolskiej, Polesie. Zwolniony z przełożeństwa, oddał się z zapałem pozyskiwaniu dusz dla Chrystusa. Siłą swej wymowy zdziałał, że jedni porzucali schizmę lub złe życie, inni utwierdzeni w zachwianej wierze, poświęcali się Bogu, wstępując do zakonu. Nie dziw więc, że Ruś nazwała błog. Andrzeja, jak poprzednika jego w męczeństwie, błog. Jozafata, „duszochwatem".

Bobola miał wielkie nabożeństwo do Najświętszej Marji Panny, wiedząc, że Ona jest Królową Apostołów i że wszystkie różnowierstwa świata unicestwić może.

Każdą misję rozpoczynał zawsze od postów o chlebie i wodzie i od rozmaitych umartwień, a udawał się na misje zazwyczaj pieszo. W kraju biednym, zniszczonym przez wojny, z ludnością poczęści nieprzychylną misjonarzom, posilał się kawałkiem suchego chleba i sypiał często na gołej ziemi.

Moskwa, doświadczywszy niejednokrotnie ciężkiej polskiej prawicy, siedziała spokojnie, lecząc się z ran i przygotowując do odwetu. Tymczasem burzyła kozaków, rozdmuchując pożar, który niebawem miał ogarnąć całą Polskę. Władysław IV załatwił roku 1632 na sejmie koronacyjnym ugodę z dyzunitami, mocą której diecezje: lwowska, przemyska, łucka i mohylewska do nieunitów, pozostałe zaś miały należeć nadal do unitów. Ale zarządzenie to nie wydało spodziewanych owoców, a starcia między unitami a nieunitami nie ustawały. Kozactwo przedewszystkiem tak się wskutek tych zmian na korzyść schizmy rozzuchwaliło, że domagało się stanowczo zupełnego zniesienia unji i odjęcia kościołów katolikom, a mianowicie jezuitom. Po śmierci Władysława IV i wstąpieniu na tron Jana Kazimierza, rozpoczął Bohdan Chmielnicki walkę, mordując bez litości lud i księży katolickich. Patrjarcha carogrodzki przysłał mu miecz poświęcony, mnisi z góry Atos poszli na Ruś, każąc rodzaj wojny świętej za prawosławie, słowem zawierucha kozacka przybierać zaczęła religijne piętno.

Dopiero r. 1651 po olbrzymich, lecz nierozstrzygniętych zapasach pod Zbarażem i Zborowem, zgniótł Jan Kazimierz potęgę Chmielnickiego w trzydniowej walce pod Beresteczkiem. Buntownik, widząc, że nie może uzys-

kać od Turcji, czego pragnął, i że nawet obietnica przyjęcia wiary mahometańskiej nie daje mu dostatecznej i pewnej pomocy do zwyciężenia Polski, udał się pod opiekę cara moskiewskiego, Aleksego, który stanąwszy pod Smoleńskiem, wysłał dwa potężne wojska na Białoruś i Litwę, a trzecie na Ukrainę. Kozactwo rzuciło się najpierw na klasztory. Jezuici musieli uciekać ze Smoleńska i tułać się w ustawicznem niebezpieczeństwie życia. W Połocku zbezczeszczono kościoły, zabrano lub poniszczono domy, włości zdobyto i spalono.

Okropniejszy jeszcze los spotkał jezuitów w Nowogródku, gdzie w klasztorze pozostało tylko trzech braci. Było to 8 września, kiedy wpadli Moskale do kolegjum, wysadzili drzwi i pierwszego napotkanego, ojca Grzegorza, zabili cięciem siekiery w głowę. Dwóch drugich braci poraniwszy, skrępowali i uprowadzili z sobą. Okrucieństwa te trwały jeszcze przez następne dwa lata, podczas których sami jezuici stracili czterdziestu członków swego zgromadzenia.

Polesie, kraj bagnisty, po obu stronach Prypeci położony, rozdziela Wołyń i Ukrainę od Litwy. Fale walk i namiętności wrzących po obu stronach Pińszczyzny, aż tam dochodziły.

Ukrywali się tam najzajadlejsi odszczepieńcy i popi, grasowały bezkarnie bandy opry-

szków, jednem słowem, schizma założyła sobie tam na Polesiu niezdobytą warownię. Chcąc położyć tamę niecnym knowaniom, założył książę Albert Stanisław Radziwiłł, wielki kanclerz litewski, gorący katolik, w Pińsku klasztor jezuitów, aby zapomocą misyj przeciwdziałać szerzeniu się różnowierstwa. Zionęła tedy schizma śmiertelną nienawiścią przeciw temu kolegjum, prześladowała zakonników wyruszających na apostolstwo wśród ludu okolicznego, a przedewszystkiem niecierpiała Boboli, bo pomiędzy gorliwymi był on najgorliwszym. Wiedzieli dobrze, jak skutecznie walczył błog. Andrzej ze schizmą na Litwie i Białej Rusi, i byli przeświadczeni, że nic nie zdziałają, dopóki Bobola będzie żył i pracował na Polesiu. Trafił on nietylko do przekonania panów ruskich, ale umiał się zniżyć do pojęć prostego ludu i drobnych dziatek. Widząc, że nie mają nic do przeciwstawienia świątobliwości żywota szlachetnego kapłana, krom nienawiści, kłamstwa i gwałtów, postanowili dostać go w swe ręce i zgładzić ze świata. Nienawiść bowiem dochodzi u niektórych ludzi do tego stopnia, że nie szczędzą żadnej doczesnej ofiary, nawet i duszy własnej, byle dopiąć swego. W takiem usposobieniu znajdowali się obecnie w przeważnej ilości mieszkańcy Polesia. Pamiętając jednak chłostę, jaką odebrali witebszczanie za morderstwo błog. Jozafata, nie

śmieli podnieść ręki na zakonnika. Skarżyli się tylko wciąż kozactwu, a tymczasem przeszkadzali misjom i dokuczali misjonarzom. Skoro chłopcy wiejscy ujrzeli gdzie Bobolę, wołali za nim: „Lach! Lach!", a obrzuciwszy go błotem, uciekali, aby nie słyszeć jego głosu, aby się od niego nie zarazić i nie poumierać W tak niecny sposób straszyli rodzice i popi dzieci i zaszczepiali w ich sercach nienawiść do apostoła.

Nadszedł rok 1657 i hultajstwo kozackie pod wodzą Zielenieskiego i Popęki postanowiło pojmać misjonarza. Według donosu szpiegów, szukano go najpierw w Janowie, lecz napróżno. Wściekli wskutek doznanego zawodu, popędzili kozacy drogą z Janowa do Peredylny.

Ojciec Andrzej otrzymał tam w chwili dziękczynienia po odprawionej mszy św. wiadomość, że się znajduje w niebezpieczeństwie. Siadł wprawdzie bezzwłocznie do przygotowanego mu przez przyjaciół powozu, lecz kiedy woźnica zoczył nadjeżdżających kozaków, uciekł w las, pozostawiwszy błog. Bobolę w powozie na drodze. Działo się to niedaleko osady Mohylna. Opuścił wtedy sługa Boży powóz, ukląkł wśród drogi, a podnosząc oczy i ręce ku niebu, wyrzekł: „Stań się wola Twoja!" Wkrótce otoczyli rozjuszeni kozacy kapłana, a zdarłszy z niego zwierzchnie szaty

i przywiązawszy go do drzewa, siekli rózgami bez upamiętania. Zarzucili mu następnie powróz na szyję i przytroczonego pomiędzy dwoma jeźdźcami zawlekli do Janowa i stawili przed dowódcę. W toku badania oświadczył Bobola kozakowi, że wyznaje wiarę katolicką i gotów jest za nią umrzeć. Na groźby zbira, że mu wiarę wydrze mękami, odpowiedział napomnieniem apostolskiem, aby się wyrzekł odszczepieństwa. Nie posiadając się z wściekłości, spuścił kozak z całej siły miecz na głowę męczennika. W pierwszym popędzie przyrodzonej obrony wstrzymało podniesione przez błogosław. Andrzeja ramię, siłę ciosu, lecz ręka zwisła bezwładnie, męczennik zaś runął na ziemię. Podskoczył ku niemu rozbójnik i rozpłatał głębokiem cięciem nogę. Następnie jeden z ciurów widząc, że zakonnik w jedno miejsce ma wlepione źrenice, bojąc się, aby nie przyzwał skąd pomocy, wyłupił mu kindżałem oko. Wszystkie te okrucieństwa były jednak tylko wstępem do zamordowania Błogosławionego.

Blisko drogi znajdował się sklep rzeźnicki. Tam zawlekli oprawcy kapłana, obnażyli go zupełnie i zaczęli zapalonem łuczywem przypiekać mu piersi i boki. Bobola, zwyciężając okropne cierpienia, odpowiedział na wzywania do odstępstwa nawracaniem do Kościoła katolickiego i zapalał coraz bardziej wściekłość

zbirów. Jedni dobywszy noży, zdzierali żywcem skórę z głowy i rąk jego, a szydząc z święceń i stroju kapłańskiego, zasypywali świeże rany plewami z jęczmienia, inni bili go w policzki i kułakowali z całej siły. Jak baranek cierpliwy, rozdzierany żywcem, wzywał jedynie najświętszych imion Jezusa i Marji i błagał Boga o przebaczenie dla swych oprawców. Lecz łagodność jego, jak oliwa spływająca na ogień, pobudzała tylko wściekłość zbójów.

Wkońcu obcięli mu nozdrza i usta, a otworzywszy z tyłu głowy szeroką ranę, wyrwali mu język wraz z korzeniem. Umierającego rzucono potem w błoto uliczne. Konał tam przez kilka godzin, jakgdyby czekał na śmierć od żelaza, aż go herszt opryszków potężnem cięciem w bok dobił.

Tak okropną śmiercią zginął błog. Andrzej Bobola 16 maja r. 1657.

Tegoż roku poszedł na sąd Boży potworny Chmielnicki, żałując, że dokuczywszy katolikom Polakom, oddał swawolnych kozaków swoich na zawsze pod ciężkie jarzmo moskiewskie.

Zdawałoby się, że męczeństwo, jakiego się trudno doczytać w dziejach nowszych czasów, złagodziło na chwilę gniew Boga nad ludem poleskim i ubłagało złamanie głównego narzędzia ciężkiej jego kaźni.

Zaledwie błog. Męczennik przeszedł do wieczności, oprawcy jego, czy przerażeni niezwykłem światłem, jak niektórzy twierdzą, czy tylko w sumieniu po dokonanej zbrodni wytrzeźwieni, wraz z całem kozactwem z Janowa i całej okolicy uciekli. Lud, który snać z wyższego natchnienia zbiegł się dla oglądania ofiary zbrodni, patrząc na nią, wołał ze łzami: „Ha! poganie zabili świętego kapłana!" A gdy się wieść rozniosła dalej, mówili wszyscy: „O, święty Męczenniku!"

Proboszcz Janowa, ks. Zaleski, przechował na plebanji zwłoki, nie wydające najmniejszej złej woni, chociaż przez cztery dni letnią porą na działanie powietrza wystawione, a potem dopiero odesłał je kolegjum ojców jezuitów w Pińsku, gdzie pochowane zostały we wspólnym grobie zakonnym.

I długo smutno było i głucho na Polesiu, jak bywa po wielkiem nieszczęściu i po wielkiej zbrodni. W r. 1702 dokonał ojciec Marcin Godebski, ówczesny rektor jezuitów w Pińsku, budowy nowego kolegjum i przemyśliwał, jakiego sobie z niebieskich obrać opiekunów, któryby chronił dom od klęsk. Kiedy jednego dnia po modlitwie wieczornej poszedł na spoczynek, ukazał mu się w nocy mąż poważny w stroju Towarzystwa Jezusowego i odezwał się w te słowa: „Jestem Andrzej Bobola, brat wasz, przez kozaków za wiarę św. zamordo-

wany; szukajcie zatem ciała mego, a ponieważ taka wola Boża, podnieście je z pośród innych, a będziecie mieć mnie rzecznikiem i opiekunem waszego kolegjum!"

Na drugi dzień kazał rektor szukać zwłok sługi Bożego, lecz pomiędzy całym stosem trumien, od sześćdziesięciu lat tam składanych, niepodobna było odnaleźć tej, która zawierała szczątki błog. Boboli. Po trzech dniach objawił się Męczennik ks. Prokopowi Łukaszewiczowi, zakrystjanowi kościoła, i tak doń przemówił: „Zwłoki moje leżą pod ziemią, w kącie po lewicy ku wielkiemu ołtarzowi, szukajcie tam, a z pewnością je znajdziecie". I w istocie znaleziono trumnę z napisem łacińskim: „O. Andrzej Bobola T. J. przez kozaków w Janowie zamordowany". Zdarzyło się zaraz dużo cudów przy grobie, lecz z powodu wojny szwedzkiej wieść o nich po za Pińsk się nie rozeszła. Na prośby księżnej Wiśniowieckiej, której mąż za przyczyną św. Boboli cudownym sposobem został wybawiony z niewoli moskiewskiej, kazał prowincjał oo. jezuitów przenieść trumnę błog. Andrzeja do zakrystji, złożyć w ofiarowaną przez księżnę skrzynię i zamknąć w szafie. Później przeniesiono szczątki do podziemi kościelnych i umieszczono je w kaplicy.

Spoczywały tak zwłoki aż do zajęcia kolegjum pińskiego przez mnichów schizmatyckich za czasów Katarzyny. Rząd rozkazał wtenczas

spuścić trumnę do ziemi, lecz tak, aby łatwo ją można było rozróżnić od innych. Stamtąd wydobyto szczątki błog. Andrzeja r. 1808 i przeniesiono do Połocka. Bolszewicy, pałając nienawiścią do tego Patrona polskiego, który przepowiedział zmartwychwstanie Polski, wywieźli jego relikwje do Petersburga. Usilnem staraniem Stolicy Apostolskiej udało się wydobyć je z ich rąk w stanie nieskażonym i przewieźć do Watykanu. Obecnie znajdują się w prześlicznej świątyni jezuickiej w Rzymie, al Gesu.

Papież Pius IX policzył O. Bobolę r. 1853 w poczet Błogosławionych.

ŚWIĄTOBLIWY
KS. WOJCIECH MĘCIŃSKI

(ur. r. 1598 † r. 1643).

Z końcem dziesiątego stulecia przybył do Polski starożytny ród Porajczyków i dał naszemu krajowi wielu znakomitych mężów, z których jedni piastowali wysokie godności, drudzy zasłynęli wiekopomnemi czynami wojennemi. Pierwsi przodkowie tego domu pisali się z Kurozwęk, od hrabstwa tej nazwy. Z nabyciem dóbr Męciny, rozpoczyna się znana po dziś dzień gałąź Porajczyków z Kurozwęk Męcińskich.

Jan Olbracht Męciński i żona jego Szczęsna z Głoskowskich, posiadali u schyłku szesnastego stulecia majętność Osmolice, położoną niedaleko Lublina. Tutaj przyszedł na świat r. 1598 nasz Wojciech, niosąc z sobą błogosławieństwo Boże dla bogobojnej rodziny, gdyż w dzień chrztu syna wrócił Jan Męciński, wychowany w błędach heretyckich, na łono Kościoła katolickiego. W cztery lata potem

umarł, a małym Wojciechem zajęła się pobożna matka, zaszczepiając w sercu dziecka szczególnie nabożeństwo ku Najśw. Marji Pannie.

Ukończywszy lat czternaście wstąpił młody Męciński wraz z bratem swym Stanisławem do szkół jezuickich w Lublinie, gdzie celował w naukach i cnotach chrześcijańskich, wyróżniając się powagą, łagodnością i szczerością w obcowaniu z towarzyszami. Jako pilny i uzdolniony uczeń był ulubieńcem profesorów i na gorące prośby przyjęto go w poczet sodalisów Marji. Do kongregacji Marjańskiej mogli należeć tylko młodzieńcy, którzy ściśle wypełniali warunki obowiązujące członków, t. j. odznaczali się pilnością, prawym charakterem, zgodnością, pobożnością i miłością ku Matce Bożej.

Podczas pobytu Męcińskich w kolegjum lubelskiem nadchodziły do kraju okropne wieści o prześladowaniu chrześcijan w Japonji. Wojciech, słuchając opowiadań o popełnianych przez pogan okrucieństwach na wyznawcach wiary Chrystusowej, zapragnął poświęcić się Bogu i wstąpić do zakonu jezuitów. Pod koniec nauk w kolegjum umyślił zwierzyć się w czasie bytności w Osmolicach z zamiarami swemi matce. W chwili stanowczej wkradły się jednak rozmaite pokusy i wątpliwości do chwiejnego jeszcze umysłu młodzieńca. Zaczął rozumować, że będąc majętnym i dobrze uro-

dzonym, lepiejby uczynił, gdyby się nie zamykał w klasztorze, tylko pozostał w świecie i przysporzył rodzinie sławy, starając się o zdobycie godności i zaszczytów w życiu publicznem. Wśród takich walk wewnętrznych uciekał się do Najświętszej Panienki, błagając Ją o siłę wytrwania. Jednej nocy objawiła mu się Święta jego Orędowniczka i podała mu złote jabłko. Równocześnie zdawało mu się, że słyszy żebraka śpiewającego na ulicy słowa Psalmisty: „Nie ufajcie w książętach: w synach człowieczych, w których niema zbawienia. Wynijdzie duch jego, a obróci się w ziemię swoją: w ten dzień zginą wszystkie myśli ich". Matka Boska wytłumaczyła Wojciechowi znaczenie tych słów, poczem, zwyciężywszy wszystkie pokusy czartowskie i powaby świata, utwierdził się w swem przedsięwzięciu.

Czekała go teraz jeszcze rozprawa z matką. Męcińska była wprawdzie niewiastą bogobojną, lecz kiedy Wojciech z szczerością i prostotą przedstawił jej swoje zamiary, niespodziewana wiadomość, krzyżująca jej plany, takie na niej zrobiła wrażenie, że stanowczo odmówiła mu swego zezwolenia. Wojciech ponowił prośby, ale oburzona do żywego matka, wymierzyła mu policzek. Młodzieniec zniósł pokornie dotkliwą karę, nie mówiąc o niej nikomu, i trwał niezłomnie w swem postanowieniu. Mniemając, że zmiana miejsca wpłynie korzystnie na usposo-

bienie syna i odwiedzie go od powziętych zamiarów, Szczęsna Męcińska wysłała Wojciecha do akademji krakowskiej. Tutaj uzupełniał on gorliwie swoją wiedzę i chociaż nie miał zostać lekarzem, kształcił się z zamiłowaniem w medycynie, która mu się później miała tak bardzo przydać w zawodzie misjonarskim.

Przed ukończeniem nauk doszła go wiadomość o śmierci matki. Podążył więc do Osmolic, aby zmarłej oddać ostatnią przysługę. Po pogrzebie zwołano radę familijną i uchwalono wysłać obu młodzieńców, Wojciecha i Stanisława, na dalsze studja zagranicę. Pod opieką dobranych towarzyszów, przeznaczonych im przez opiekuna, wyruszyli niebawem w drogę. Młodszy, Stanisław, pośpieszył na Węgry, Wojciech do krajów nadbałtyckich a stamtąd do Włoch.

Podczas całej podróży, z której zapiski do dziś dnia się przechowały, doznawał Wojciech prawie na każdym kroku łask i opieki Najświętszej Marji Panny. Niedaleko Szczecina napadnięty został w gęstym lesie przez zgraję opryszków i zdawało się, że nic go nie uchroni od niechybnej śmierci. W groźnem niebezpieczeństwie udał się Wojciech o pomoc do Matki Boskiej i oto w chwili, kiedy w gorących modłach błagał Królową Niebios o ratunek, nadeszli jacyś ludzie i uwolnili go od napastników.

Ponieważ podróż po Niemczech narażała Męcińskiego na ustawiczne nieprzyjemności ze strony licznych innowierców, zamieszkujących kraj, zmienił plan podróży i udał się do Belgji, a następnie nad granicę Francji, aby wstąpić na jaki uniwersytet katolicki. W tym celu przybył do Sedanu, lecz niebawem opuścił to miasto, zwłaszcza że nauczyciele akademji byli heretykami. W dalszej wędrówce zawitał do Poznania, gdzie go biskup Andrzej Opaliński, spokrewniony z Męcińskimi, przyjął z otwartemi rękoma. U schyłku r. 1619 wyjechali razem do Włoch. W zapiskach z podróży, o których poprzednio wspomnieliśmy, czytamy, że Wojciech, idąc nocą pieszo z Padwy do Wenecji, wpadł do rzeki Brenty w miejscu bardzo głębokiem i otoczonem skałami. I tym razem zawdzięczał ocalenie swoje Najświętszej Panience. Kiedy skostniały od zimna i prawie bezprzytomny wezwał Jej pomocy i odnowił ślub wstąpienia do zakonu, znalazł się nagle u brzegu. Ludzie, którzy go wyratowali, nie mogli wyjść z podziwienia, widząc młodzieńca żywego, zwłaszcza, że wypadek zaszedł podczas ostrej zimy. Ale Wojciech wiedział, za czyjem przyczynieniem uniknął śmierci.

W Wenecji pozostali nasi podróżni dłuższy czas, a po zwiedzeniu jeszcze rozmaitych innych miast Włoch północnych przybyli do Medjolanu i zamieszkali w kolegjum jezuickiem.

Tutaj przypomniał sobie Wojciech lata spędzone w domu tego zakonu w Lublinie i stanęły mu żywo w pamięci opowiadania o misjach japońskich, kiedy słuchając ich z zajęciem, poczuł powołanie do stanu duchownego. To też bez namysłu postanowił teraz wprowadzić w czyn dawne swoje zamiary. Uprosiwszy biskupa Opalińskiego o przyśpieszenie wyjazdu do Rzymu, znalazł się wkrótce w wiecznem mieście. Zwiedził najpierw miejsca święte, zroszone krwią pierwszych chrześcijan i groby Apostołów, zanosząc gorące modły do nieba, aby za wzorem św. Stanisława Kostki mógł w tym samym co on zakonie rozpocząć życie duchowne. Udał się następnie do ks. Mucjusza Vitelleschi, ówczesnego generała Towarzystwa Jezusowego, z prośbą o przyjęcie go do zgromadzenia.

Ks. generał, przekonawszy się, że prawdziwe powołanie skłania młodzieńca do porzucenia świata, przyjął go do zakonu i przeznaczył po odbytej próbie, której wszyscy nowowstępujący podlegać musieli, do nowicjatu rzymskiego u św. Andrzeja na Kwirynale.

Wojciech prowadził się wzorowo i tak umiał przestrzegać obowiązujących przepisów, że stał się wzorem dla wszystkich nowicjuszów. Stosownie do przyjętego zwyczaju musiał każdy z członków Towarzystwa Jezusowego należeć do tego kraju, z którego pochodził. Męcińi-

skiego wysłano zatem na dokończenie nowicjatu do Polski. Ponieważ i sprawy rodzinne wymagały jego obecności w domu, wyruszył 13 stycznia r. 1623 do Krakowa, a po załatwieniu interesów udał się na nauki filozoficzne do Kalisza. Wszystek czas wolny od nauki trawił na modlitwie i umartwieniach, gotując się do przyszłego męczeństwa, zwłaszcza że myśl jego stale śledziła wypadki w dalekiej Japonji, gdzie okrucieństwa przybierały coraz straszniejsze rozmiary.

Kiedy się zdawać mogło, że pobożnym zamysłom Wojciecha nic już nie stanie w drodze, umiera r. 1623 brat jego młodszy Stanisław. Za zezwoleniem przełożonych śpieszy tedy na pogrzeb do Osmolic. Po dopełnieniu smutnego obrzędu spada na Wojciecha ciężar uregulowania rozlicznych spraw majątkowych. Siostra jego, Zofja, od lat kilku zamężna za Sewerynem Kurdwanowskim, odebrała już swój dział rodzinny, tak że obecnie zostaje Wojciech jedynym spadkobiercą i dziedzicem wielkiej fortuny. Rodzina, zgromadzona w Osmolicach, chce na niego wpłynąć, aby opuścił zakon i oddał się zarządowi rozległych włości, lecz Męciński zwalcza chwilowe pokusy i wyjeżdża bezzwłocznie do Kalisza, dobrami zaś rozporządza na rzecz kolegjum krakowskiego.

Pozbywszy się w ten sposób odrazu wszystkiego, rzekł do oo. jezuitów: „Już nie posia-

dam nic, cobym mógł Bogu ofiarować, dałem wszystkie majątki, dam i krew dla Imienia Jego!"

Po ukończeniu trzyletniego kursu filozofji, podążył Męciński zpowrotem do Rzymu i zapoznał się tam z ks. Sebastjanem Vieirą, który przybył właśnie z Japonji celem zyskania nowych pracowników dla winnicy Pańskiej w miejsce pomordowanych przez Japończyków. Męciński wyjawił mu chęć wyjazdu na misje i prosił, aby przemówił za nim u księdza generała. Ze względu jednak na młody wiek i słaby organizm Wojciecha, a przedewszystkiem z tego powodu, że Polska pogrążona w błędach heretyckich sama potrzebowała dzielnych kapłanów, odmówił ks. generał prośbie młodzieńca. Niepomyślną dla siebie wiadomość przyjął Męciński z pokorą, lecz nie stracił nadziei, że zdoła cel swój osiągnąć. W uroczystość ŚŚ. Piotra i Pawła poszedł do bazyliki, padł na kolana przed wizerunkiem Niepokalanej i błagał Ją gorąco, żeby się przyczyniła do urzeczywistnienia jego planów. I w istocie tak się złożyło, że w dniu tym odebrał zupełnie niespodzianie pozwolenie na wyjazd. Opuścił Rzym i udał się do Ewory w Portugalji, gdzie ukończył nauki teologiczne i wyświęcony został 2 lutego r. 1628 na kapłana. Kiedy potem przebywał jeszcze kilka miesięcy w Lizbonie, czekając na przybycie okrętu, który miał go za-

wieźć do Japonji, nadszedł list z Rzymu, odwołujący go zpowrotem do Polski. Przyczyną nagłego rozkazu była sprawa, którą wytoczył przed trybunałem lubelskim szwagier o. Wojciecha, Seweryn Kurdwanowski, przeciwko krakowskiemu kolegjum jezuitów o zwrot otrzymanych w darowiźnie dóbr Męcińskich. Kurdwanowski nie mógł przeboleć, że majątek dostał się zakonowi, i zaczął intrygować, twierdząc, iż zapis ks. Wojciecha był nieprawny, ponieważ ten, obdarowując klasztor, nie był jeszcze pełnoletnim. Czynił to w przekonaniu, że Wojciech albo gdzie zaginął, albo w dalekich przebywa już krajach i nie będzie mógł stanąć przed sądem, celem złożenia świadectwa.

Tymczasem przybył o. Męciński do Krakowa, odwiedził księży w kolegjum i wyjechał do Warszawy, aby całą sprawę przedłożyć królowi Zygmuntowi III. W dniu wyznaczonym na termin stawił się w Piotrkowie. Niespodziane zjawienie się jego wywołało ogromny popłoch. Przeciwnicy oo. jezuitów, brnąc dalej w kłamliwych wykrętach, zaczęli nawet utrzymywać, że przybyły nie jest właściwym Męcińskim, lecz kimś podstawionym. Na mocy niezbitych dowodów stwierdzono przecież tożsamość osoby świadka i uznano zapis jako zupełnie prawny. Celem uniknięcia w przyszłości podobnego wypadku, spisał o. Męciński powtórnie akt da-

rowizny przed sądem piotrkowskim i wyjechał do Rzymu.

Po przebyciu dość ciężkiej choroby oczu, udał się stamtąd najpierw do Francji, a następnie do Lizbony. Tutaj wsiadł wraz z kilku towarzyszami w połowie kwietnia r. 1631 na okręt, który go miał zawieźć do Indyj.

W owych czasach, kiedy się posługiwać musiano jeszcze statkami żaglowemi, była podróż taka połączona z niemałemi niebezpieczeństwami i trwała nieraz rok a nawet dłużej. Chcąc się dostać do Indyj lub Japonji, trzeba było płynąć nasamprzód wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki, skierować się potem około przylądka Dobrej Nadziei na północ i wzdłuż wschodniego wybrzeża płynąć oceanem Indyjskim i morzem Arabskiem.

W pierwszych tygodniach odbywała się żegluga pomyślnie. Niebawem nawiedziła jednak załogę silna gorączka, zabierając liczne ofiary. O. Męciński miał teraz sposobność poświęcić się dla bliźnich. Słuchał spowiedzi umierających i usługiwał chorym, nie dbając wcale o siebie, tak że wkrótce wskutek niewygód sam nabawił się ciężkiej choroby. Nadomiar złego zapędziły wiatry przeciwne okręt zpowrotem do Portugalji. O. Męcińskiego złożonego niemocą, musiano spuścić po linie ze statku do łodzi i zawieźć na brzeg, poczem przeleżał dłuższy czas w łóżku.

Przyszedłszy do zdrowia, żegnał się o. Wojciech 6 marca r. 1633 po raz wtóry z Europą, aby już nigdy do niej nie powrócić. Wsiadł na pokład okrętu Betleem, poświęconego Najświętszej Marji Pannie, który odpłynął niebawem ku Indjom.

Podczas podróży odprawiał jeden z księży codziennie mszę świętą dla załogi, miewał nauki i inne ćwiczenia duchowne. Gdy po trzech miesiącach okręt zawijał do wyspy Madery, wybuchła wśród podróżnych po raz drugi zabójcza febra. Zapadli na nią wszyscy misjonarze, oprócz o. Męcińskiego, który z zaparciem siebie otaczał chorych jak najtroskliwszą opieką.

W połowie lipca stanął w Mozambiku, posiadłości portugalskiej, gdzie istniało kolegjum jezuickie. Ojcowie zgromadzenia przybyli na okręt, niosąc dary złożone z owoców miejscowych i ofiarując braciom gościnę u siebie. Przyszedłszy do siebie na lądzie po trudach podróży i przebytej chorobie, wsiedli misjonarze zpowrotem na statek, aby popłynąć dalej. Lecz w tej chwili zerwała gwałtowna burza kotwicę i popędziła okręt na pełne morze. Chcąc uniknąć rozbicia statku o skały i utrzymać się na wzburzonych falach, rzucali marynarze jedną kotwicę po drugiej do wody, lecz daremnie. Wówczas uprosił kapitan o. Woj-

ciecha, żeby uczynił jaki ślub ku czci św. Franciszka Ksawerego, patrona Indyj. O. Męciński posiadał przypadkiem relikwję Świętego z sobą, przytwierdził ją więc do kotwicy i wśród gorących modłów, wpuścił na dno morza. Ufność w pomoc św. Franciszka nie zawiodła, kiedy się bowiem wszystkie poprzednio wrzucane kotwice pourywały, ta ostatnia trzymała, mimo nieustającej nawałnicy, okręt na uwięzi. Po przejściu burzy wyciągnięto kotwicę z wody i znaleziono ku ogólnemu zdumieniu haki, stanowiące całą siłę odporną narzędzia, doszczętnie połamane. Kapłani wraz z załogą padli na kolana, dziękując Stwórcy za cudowne ocalenie z groźnego niebezpieczeństwa.

Wśród pięknej pogody wylądowali nasi podróżni 20 sierpnia w Goy, posiadłości portugalskiej w Indjach. Prowincjał miejscowego kolegjum oo. jezuitów wybierał się właśnie w podróż, celem zwiedzenia pozostających pod jego kierunkiem domów zakonnych, zabrał więc o. Męcińskiego z sobą do Salzetty, gdzie młody zakonnik miał rozpocząć pracę misjonarską. Bez wytchnienia wziął się o. Wojciech do dzieła apostolskiego. Pełne zapału i ducha Bożego musiały być słowa świątobliwego męża, skoro trafiały do przekonania pogan i powodowały liczne nawrócenia. Niewymowna radość napełniała jego serce, gdy widział błogie skutki swych trudów. Niewiernych, proszących

o chrzest św. obmywał wodą zbawienną, nadając im imiona Świętych polskich.

W maju r. 1634 opuścił o. Męciński kolegjum goańskie i udał się na żądanie przełożonych do Malabaru, a stamtąd do Malakki. Pomiędzy Holandją a Portugalją toczyła się wówczas walka o tę posiadłość, która r. 1641 przeszła na własność Holendrów. Oo. jezuici w Malacce ucieszyli się bardzo z przybycia o. Wojciecha. Wskutek wojny były szpitale przepełnione i zabrakło rąk do pielęgnowania chorych. Ochoczo zabrał się o. Męciński do pracy. Przyrządzał, znając medycynę, lekarstwa, opatrywał rannych, spowiadał i pocieszał umierających. Kiedy po kilku miesiącach pobytu jego w Malacce nastąpił pomiędzy wojującemi stronami pozorny spokój, pragnął on skorzystać z tej sposobności i dostać się wreszcie do Japonji. Z końcem czerwca r. 1636 miało kilka okrętów kupieckich wyjechać z Malakki do Makao, nadbrzeżnego miasta chińskiego, które należało jednak do Portugalji. Wraz z kilku braćmi zakonnymi wsiadł na jeden z żaglowców, uradowany, że wreszcie spełnią się jego marzenia. Podróż odbywała się bez wypadku, lecz kiedy okręt miał zawijać do Makao, napadły go znienacka trzy statki holenderskie i zabrały do niewoli. Siedm miesięcy pozostawał o. Męciński w więzieniu u Holendrów, cierpiąc głód i niedostatek. Przypadkiem tylko dostał się na

okręt portugalski, który stał na kotwicy w Turanie, mieście portowem, położonem na brzegach Kochinchiny i przybył wreszcie po wielu przygodach do Makao, gdzie wskutek niewygód i niezdrowego pożywienia podczas niewoli niebezpiecznie się rozchorował. Jedynie myśl, że z Makao już niedaleko do Japonji, wlewała w serce o. Wojciecha otuchę. Przyszedłszy do zdrowia, chciał wspólnie z towarzyszem swym o. Antonim Capecim wyruszyć ostatecznie na miejsce przeznaczenia, lecz mieszkańcy Makao oparli się wyjazdowi misjonarzy z całą stanowczością z obawy przed stratami, na jakie byłby narażony ożywiony ich handel z Japonją, gdyby się rząd tego państwa dowiedział, że właśnie stamtąd wypłynęli kapłani katoliccy, celem nawracania Japończyków.

Istniał bowiem wyraźny zakaz cesarza, aby żaden ksiądz katolicki nie odważył się przybyć do Japonji. Przełożony misji w Makao ks. Emanuel Diaz, zniewolony naleganiami ludności, wysłał ojców zamiast do Japonji, na misje do Kambodży. Tutaj uczył się o. Męciński pilnie języka i pisma japońskiego, zapoznawszy się z rodowitymi Japończykami, którzy tam w interesach kupieckich przebywali. W tym czasie umarł o. Diaz, a na jego miejsce wyznaczył ks. generał na wizytatora misji japońskiej ks. Antoniego Rubina, który oddawna czekał na sposobność poświęcenia się pracy apostolskiej

w Japonji i przelania krwi dla Chrystusa. Nowy wizytator pośpieszył czem prędzej do Manili, a omówiwszy tam plan podróży z gubernatorem wysp Filipińskich, gotował się na wyjazd. Zamysły o. Rubino nie były ks. Wojciechowi obce, nalegał więc na prowincjała, aby dobierając sobie uczestników podróży, nie pominął jego i ó. Capeci. O. Rubino uczynił chętnie zadość prośbie Męcińskiego i zawezwał go wraz z o. Capecim do Manili, skąd misjonarze wspólnie wyjechać mieli do Japonji.

Przed ostatecznym wyjazdem napisał Męciński do siostry swej w Polsce list pełen duchownych napomnień i żądzy męczeństwa. Żegnając również i braci zakonnych w Krakowie, wyraził w swem piśmie pragnienie śmierci za wiarę świętą. Do kolegjum jezuitów w kraju ofiarował krucyfiks z kości słoniowej oraz wizerunek Matki Boskiej malowany na blasze.

Z zachowaniem największych ostrożności przedostali się uczestnicy wyprawy szczęśliwie na okręt i popłynęli na wysepkę Satsumę, należącą już do Japonji. Wylądowawszy tutaj, zbudowali sobie szałas, aby się uchronić od zimna, i przebrali się, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, w szaty japońskie. Lecz zaraz na drugi dzień wyśledzili przybyszów strażnicy graniczni, pojmali ich i powlekli zakutych w kajdany do Nagasaki, rezydencji guberna-

tora. Bezzwłocznie stawiono misjonarzy przed sąd i chociaż o. Męciński oświadczył, że włada dostatecznie językiem krajowym, przywołano tłumacza w osobie odstępcy, niejakiegoś Jendo. Zapytani, co są za jedni i jakiem prawem ośmielili się przybyć do Japonji, kiedy cesarz pod karą śmierci zabronił pobytu w kraju wszystkim chrześcijanom, a mianowicie księżom, odpowiedzieli przez usta o. Rubino, że są kapłanami Towarzystwa Jezusowego i że przybyli głosić wiarę Chrystusową Japończykom. Wiedzieli o rozkazie cesarskim, lecz byli posłuszni rozkazowi Boskiemu. Wówczas zaczął ich Jendo zapewniać, że otrzymają wszystko, czego tylko sobie życzyć będą, jeżeli się wyrzekną wiary Chrystusa, tak jak on się jej wyrzekł. Z oburzeniem odparli ojcowie bezczelnemu wiarołomcy, że nie uczynią tego nigdy i chętnie umrą dla Jezusa.

Następnie wtrącono zakonników do smrodliwej kaźni, w której o ryżu i wodzie przesiedzieli siedm miesięcy. Wreszcie postanowił gubernator zmusić ich do odstępstwa zapomocą strasznej tortury tak zwanego: „pojenia wodą". Okrutna ta męczarnia polegała na tem, że przywiązywano każdego zosobna do drabiny, pozostawiając wolną lewą rękę w tym celu, aby każdej chwili mógł dać znak do odstępstwa przez podniesienie jej ku piersiom. Potem przechylano głowę cokolwiek wtył, wkładano do

ust lejek i tak długo wlewano wodę, aż wnętrzności były nią przepełnione. Wkońcu kładziono skazanych w prasę między dwie deski i tak długo deptano, dopóki nie wyduszono wszystkiej wody. Mężnie znosili ojcowie straszliwe katusze, modląc się za swoich oprawców. Gubernator rozwścieczony stałością Męczenników, wydał na nich ostatecznie wyrok śmierci przez powieszenie głową nadół. Dowiedziawszy się o zapadłem postanowieniu, padli zakonnicy na kolana i dziękowali Bogu, że pozwoli im wkrótce zdobyć koronę męczeńską. Zdziwiony spokojem, z jakim skazani przyjęli wiadomość, polecił gubernator w mniemaniu, że go nie zrozumieli, przeczytać im wyrok powtórnie, lecz ci oświadczyli po japońsku, że wiedzą dobrze, co ich czeka, atoli nie lękają się śmierci, wzdychają do niej i wyczekują jej z upragnieniem, by otworzyła im bramy ojczyzny niebieskiej i zapewniła szczęście wieczne.

Niebawem pochwycili ich siepacze, ogolili każdemu głowę, pomalowali do połowy karminem, zakneblowali usta i przytwierdzili nad nimi metalową tabliczkę z następującym napisem: „Cesarz japoński skazuje tych na śmierć, ponieważ głoszą wiarę rzymską, zakazaną już przed kilku laty w jego państwie". Następnie oprowadzano ich dla pośmiewiska po większych ulicach, przytroczonych łańcuchami do jucznych zwierząt i przywiedziono wkońcu na

wzgórze, położone za miastem, a nazwane przez tamtejszych chrześcijan: „Górą Męczenników". Zsiadłszy na ziemię, tak długo całowali męczennicy narzędzia swej męki, dopóki oprawcy nie wyrwali im tychże z rąk. Teraz przywiązano każdemu jedną rękę i obie nogi do słupa, drugą zaś rękę pozostawiono wolną do dania znaku, gdyby który z nich, nie mogąc wytrzymać katuszy, skłaniał się do odszczepieństwa. W poprzednio wykopane doły nawrzucano rozmaitych cuchnących nieczystości i spuszczono do nich Męczenników głowami nadół. Wreszcie zakryto otwory deskami, pozostawiając jedynie szparę, którą wyglądały nogi, przywiązane sznurem do szubienicy. Mijały godziny, dni i noce, straż zmieniała się ustawicznie, wyczekując, rychło się znajdzie jaki odstępca między umierającymi. Lecz Stwórca czuwał nad swymi sługami. Pierwszy zakończył życie wśród tych męczarni świecki człowiek, Japończyk Tomasz, służący i towarzysz o. Męcińskiego. W dwa dni później umarł prowincjał o. Rubino. Siódmego dnia t. j. 23 marca r. 1643 dokonał świątobliwego żywota o. Wojciech Męciński. Najdłużej męczyli się o. Antoni Capeci i dwóch innych misjonarzy. Przez dziesięć dni wisieli w dole, aż wreszcie gubernator rozkazał ich wydobyć i ściąć.

Zwyczajem japońskim poćwiartowano ciała śś. Męczenników i spalono, a popioły wrzu-

cono w workach do morza, aby przeszkodzić jakiejkolwiek czci ze strony chrześcijan.

Dopiero w maju r. 1644 rozeszła się w Manili i Makao wieść o męczeńskiej śmierci o. Męcińskiego i towarzyszy. Ojcowie jezuici uczcili pamięć ich uroczystem nabożeństwem.

Ks. Jan Morawski, członek Towarzystwa Jezusowego, zapoczątkował swego czasu starania o kanonizację o. Męcińskiego, lecz po jego śmierci, która nastąpiła r. 1700, poszła sprawa w zapomnienie. Dalsze kroki, celem przeprowadzenia beatyfikacji świątobliwego sługi Bożego, poczyniono w Rzymie r. 1893, t. j. w 250 lat po śmierci Męczennika, pozostały one jednak dotąd bez skutku.

ŚW. KLEMENS MARJA DWORZAK
(HOFBAUER)

(ur. r. 1751 † r. 1820).

W miasteczku Tasowice, niedaleko Znaimu w Morawji urodził się 26 grudnia r. 1751 z ojca Pawła i matki Marji z Steerów, świątobliwy sługa Boży, Klemens Marja Hofbauer, który później kilkanaście lat spędził w Polsce, pracując nad zbawieniem wielu tysięcy dusz, i zasłużył sobie na miano apostoła Warszawy.

Ojciec Klemensa, Paweł Hofbauer, był z zawodu rzeźnikiem i nazywał się właściwie Dworzak, lecz że wówczas niemczono bezwzględnie wszelkie nazwy słowiańskie, z Dworzaka zrobiono Hofbauera. Kiedy Klemens, licząc niespełna siedm lat, stracił ojca, wzięła bogobojna matka chłopca za rękę, zaprowadziła go przed wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego i rzekła: „Dziecię, patrz, oto Ten, który odtąd będzie twym Ojcem, staraj się żyć tak, aby się Jemu podobać". Mały Klemens zapamiętał sobie słowa matki i wdzięczny Stwórcy,

że mu dał taką rodzicielkę, odznaczał się zawsze pokorą, skromnością, bogobojnością i posłuszeństwem. Do szkoły uczęszczał w Tasowicach, a księża miejscowi poznawszy zdolności chłopca udzielali mu początków łaciny. Kiedy skończył lat szesnaście, pragnął się kształcić dalej, aby zostać księdzem, lecz brak środków nie pozwalał mu na to. Poszedł więc na naukę do piekarza w miasteczku Znaim, wyuczył się zawodu i został czeladnikiem, jednak myśli poświęcenia się służbie Bożej nie porzucił. Chcąc się zapoznać z naukami duchownemi, przyjął miejsce piekarczyka w klasztorze norbertanów w Brück, niedaleko Znaimu, gdzie odrazu zwierzył się ze swemi zamiarami przełożonemu. Szlachetny kapłan powierzył Hofbauerowi czynności służącego w refektarzu, a przytem miał czas do odwiedzania szkoły zakonnej.

Atoli widoki na uzupełnienie nauk w wyższym zakładzie były małe, ponieważ nie posiadał żadnych zasobów pieniężnych. Porzucił tedy Hofbauer po czteroletnim pobycie w klasztorze świat i udał się na pustynię.

W pobliżu Znaimu jest miejscowość Mühlfrauen z cudownym obrazem Najświętszej Marji Panny. Tutaj zbudował sobie obok kapliczki strzechę i pędził życie na modlitwie i w umartwieniach, utrzymując się z jałmużny. Nauczał

gorliwie pielgrzymów zwiedzających miejsce cudowne, a sława młodego pustelnika ściągała tłumy ludu do Mühlfrauen. Dwa lata przebywał Hofbauer w swojem ustroniu, kiedy rozkaz cesarza Józefa II, znoszący wszystkie pustelnie, zniewolił go do opuszczenia samotności. Nie namyślając się długo, poszedł do Wiednia i wstąpił jako czeladnik do piekarni „Pod zieloną gruszką". Po niejakim czasie porzucił po raz drugi zawód, aby w towarzystwie przyjaciela swego Piotra Kuntzmana pośpieszyć z pielgrzymką do Rzymu. Ale jak poszedł, tak wrócił, nie wiedząc, co z sobą począć, i wziął się wkońcu ponownie do piekarstwa.

W roku 1782 przybył papież Pius VI do Wiednia, chcąc skłonić cesarza Józefa II, — który choć był katolikiem, przejął się fałszywemi zasadami reformatorskiemi i dążył do tego, aby całe duchowieństwo i wszelkie sprawy kościelne uczynić zależnemi od władzy świeckiej, — do porzucenia tak zgubnej dla Kościoła i państwa drogi. Usiłowania Ojca św. nie odniosły pożądanego skutku, lecz widok Namiestnika Chrystusowego, który wielu mieszkańców Wiednia utwierdził w zachwianej wierze, wpłynął również dodatnio na Hofbauera i kiedy po miesięcznym pobycie opuścił papież stolicę Austrji, podążył młodzieniec, party głosem powołania, wślad za nim powtórnie do Rzymu, zabierając Kuntzmana z sobą. Po przybyciu do stolicy

Piotrowej oglądali się pątnicy za jaką pustelnią, a dowiedziawszy się o bardzo pobożnym biskupie z Tivoli benedyktynie Barnabie Chiaramonti, który mógł im być pomocnym w wyszukaniu odpowiedniego ustronia, poszli do niego z prośbą o wskazówki. Biskup wysłuchał młodzieńców łaskawie i wyznaczył im mieszkanie w okolicy Rzymu, obok kaplicy Najśw. Marji Panny z Kwintyljonu, zbudowanej na ruinach dawnego pałacu wodza rzymskiego Kwintyljusza. Przyjąwszy imię Klemensa Marji, pędził Hofbauer, odziany w szaty pokutnicze, żywot zdala od świata, ćwicząc się w cnotach chrześcijańskich, martwiąc ciało i walcząc z pokusami. Owocem długich rozmyślań podczas pobytu w pustelni było niezłomne już teraz postanowienie Hofbauera, które uważał za wyraźną wolę Bożą, aby się poświęcić pracy misyjnej nad zbawieniem dusz nie w odosobnieniu, lecz na szerokim świecie. Wrócił więc bezzwłocznie do Wiednia, celem ukończenia nauk teologicznych, a nie chcąc się narażać na nowe pokusy, nie przyjął już posady w piekarni „Pod zieloną gruszką" tylko wyszukał sobie gdzie indziej zatrudnienie, przeznaczając wolny od zajęć czas na naukę i modlitwę. Kiedy pewnego dnia opuszczał po ukończonem nabożeństwie kościół katedralny, ujrzał przy kruchcie trzy panie, które się tam schroniły przed ulewnym deszczem. Zmiarkowawszy o co chodzi, po-

biegł czem prędzej i postarał się dla nich o powóz. Ucieszone grzecznością młodego człowieka, poprosiły go panie, które były rodzonemi siostrami, aby wsiadł z niemi do karety. Podczas drogi wypytywały Hofbauera o stosunki jego i dowiedziały się, że jest biednym studentem teologji i że brak mu środków na ukończenie nauk. Ujęte szczerością Klemensa przyrzekły dopomóc mu do osiągnięcia upragnionego celu, co też niebawem uczyniły. Uwolniony od troski o chleb powszedni zabrał się teraz Hofbauer z większym jeszcze zapałem do pracy. Reformacja szerzyła się wówczas w zastraszający sposób wśród ludności Wiednia, nie dziw więc, że i na wszechnicy w wykładach profesorów znalazły oddźwięk przewrotne nauki Lutra i Kalwina. Podczas jednej z prelekcyj zaczął pewien uczony prawić z katedry herezje. Wówczas podniósł się Hofbauer spokojnie z miejsca i rzekł: „Panie profesorze, to co pan nauczasz, nie jest katolickie!" Zabrał następnie książki i wyszedł, aby na wykłady te już nie wrócić. Po wielu latach, kiedy Hofbauer był już księdzem, zatrzymał go na ulicy w Wiedniu jakiś nieznany mu starzec mówiąc: „Księże! Oto masz przed sobą owego nauczyciela, któregoś skarcił za błędną naukę, będąc akademikiem. Bóg ci zapłać za zbawienne zawstydzenie, poznałem bowiem błąd mój, a tobie zawdzięczam moje nawrócenie!"

W ostatnim roku pobytu swego w Wiedniu przechodził Hofbauer pewnego dnia obok kościoła św. Szczepana i spostrzegł kartę przylepioną na drzwiach świątyni, zawierającą prośbę Tadeusza Hübla, młodego Czecha, w której tenże prosił litościwych ludzi o nastręczenie mu pracy, ponieważ znajduje się w wielkiej biedzie. Hofbauer poszedł niezwłocznie pod wskazany adres, poznał się z ubogim, lecz zacnym młodzieńcem i polecił go swoim opiekunkom, które potrzebującemu chętnie udzieliły pomocy.

Hofbauer i Hübl polubili się serdecznie i do śmierci się już z sobą nie rozstali. Celem ukończenia studjów wybierał się Hofbauer do Rzymu i pragnął zabrać przyjaciela z sobą. Wskutek choroby tego ostatniego wyruszyli dopiero latem r. 1784. Po długiej i uciążliwej podróży stanęli późnym wieczorem w mieście wiecznem. Kładąc się do snu w ubogiej gospodzie powiedzieli sobie, że nazajutrz wstąpią do tego kościoła, z którego usłyszą najpiew odgłos dzwonu, wzywającego na modlitwę.

O czwartej rano wyszli na ulicę i usłyszeli dzwon z kościoła św. Juljana. Skierowali więc tam swe kroki, nie przeczuwając, że był to głos Boży, który oznajmiał im powołanie. W świątyni zastali nieznanych zakonników w czarnych habitach z białemi kołnierzami, z różańcami u pasa, zgromadzonych na jutrzni. Po nabożeństwie zapytał Hofbauer chłopca stojącego u drzwi,

coby to byli za księża. „Są to kapłani zgromadzenia Przenajświętszego Zbawiciela czyli redemptoryści!" — odparł chłopiec. — „I wy do nich wstąpicie?" — dodał po chwili. Ostatnie słowa, jakby prorocze, wypowiedziane przez obcego chłopczynę, wzruszyły Hofbauera do głębi i z nagłem postanowieniem zadzwonił u furty klasztornej. Ojciec Franciszek di Paola, przełożony zakonu, przywitał go życzliwie i na gorące prośby przyjął do zgromadzenia. Hübl, który się początkowo wahał pójść w ślady ukochanego przyjaciela, dał się wkońcu nakłonić do obleczenia sukienki oo. redemptorystów.

O klasztorze św. Juljana dodać trzeba, że Pius VI zażądał, aby się zgromadzenie św. Alfonsa Liguorego przeniosło z Nocery pod Neapolem, gdzie żył jeszcze założyciel zakonu, do Rzymu, i oddał r. 1783 pierwszemu rzymskiemu wikaremu redemptorystów, Franciszkowi di Paola, kościółek ten do użytku. W klasztorze opustoszałym następnie wskutek rewolucji aż do r. 1848, założyła za zezwoleniem Piusa IX matka Makryna Mieczysławska nowicjat dla bazyljanek, redemptoryści zaś otrzymali obszerny klasztor w dawniejszej Villa Caserta.

Po złożeniu r. 1784 ślubów zakonnych rozpoczęli Hofbauer i Hübl nowicjat. Na studja teologiczne wysłano ich do klasztoru we Frosinone, położonego na południe od Rzymu. Oderwani od reszty świata, pośród odmiennej przy-

rody i pomiędzy obcymi ludźmi, spędzili obaj z wytrwałą pokorą i pilnością dwa lata nowicjatu i wyświęceni zostali przez biskupa z Voroli w miasteczku Allatri na kapłanów. Posłano ich tam pieszo, a gdy wieczorem wrócili, przeznaczył rektor Hofbauera do usługi podczas wieczerzy, Hüblowi zaś kazał przy stole głośno czytać. Z radością wypełnili młodzi żołnierze Chrystusowi rozkaz przełożonego, bo trzeba było takiej pokory, by stanąć przygotowanym do trudnego zadania, jakie ich czekało. Nowowyświęceni księża pozostali narazie we Frosinone, gdzie Hofbauer wprawiał się w kaznodziejstwie i przygotowywał się do misyj, wnikając w ducha zakonu, którego niebawem miał się stać wybranym od Boga krzewicielem. Gotów wreszcie do walki z herezją, która zapuściła korzenie w Wiedniu, prosił przełożonych, aby mu pozwolili przenieść zakon misjonarski za Alpy.

Kiedy Hofbauer obłóczył sukienkę redemptorystów, daleko jeszcze było zakonowi do dzisiejszego rozwoju. Oprócz kilku klasztorów w Sycylji i państwie kościelnem, nie istniał jeszcze ani jeden po za Alpami. Dopiero wstąpienie Hofbauera i Hübla przyczyniło się do rozwoju zgromadzenia. Rozwój ten przewidywał założyciel, św. Alfons Liguori; dla 90-letniego już wówczas starca był on jedną z największych pociech, wśród licznych ucisków ostatnich jego dni.

Przełożeni, widząc, jak o. Klemens szybko przejął się duchem zakonu, nie stawiali mu przeszkód w przeprowadzeniu zamiaru i nie zawiedli się też na nim. Uzyskawszy pozwolenie podążyli Hofbauer i Hübl pieszo do Wiednia, w mniemaniu, że jako poddani austrjaccy znajdą tam najlepsze pole do pracy misyjnej. Zawiedli się jednak srodze w swoich rachubach, bo lata miały upłynąć, zanim światli słudzy Boży byli w możności rozpocząć owocną swą działalność w stolicy kraju. O utworzeniu nowego zgromadzenia nie było można nawet marzyć, skoro za panowania Józefa II pozamykano nawet klasztory już istniejące. Nie dość, że zabroniono Hofbauerowi wszelkiej pracy apostolskiej, lecz nie mógł się on nawet pokazać na ulicy w nieznanym tam habicie zakonnym. Nie lepiej wyglądały stosunki religijne w innych krajach. W Anglji szalały walki wyznaniowe, a rządy innych państw, przejęte zasadami rewolucji francuskiej, dążyły do zniesienia wszystkich zakonów, rozpoczynając od jezuitów. Jedynie Polska, choć już częściowo rozebrana, użyczyła Kościołowi katolickiemu wolności. O. Hofbauerowi nie przyszła wówczas na myśl nasza ojczyzna, bo jej dotąd nie znał, lecz kiedy mu ją Opatrzność wskazała, poznał ją i pokochał.

Nie mogąc żadną miarą spełnić przyjętych na siebie zobowiązań, napisał o. Hofbauer do Rzymu, prosząc o dalsze wskazówki, i zaznaczył,

że w Wiedniu, względnie w Austrji, rząd tamuje wszelką jego pracę misjonarską. Franciszek di Paola polecił mu udać się więc na misje do Stralsundu, na Pomorzu, które wtenczas należało jeszcze częściowo do Szwecji.

Wyruszył tedy wraz z Hüblem do Warszawy, zyskując w drodze jeszcze jednego towarzysza w osobie Kuntzmana. Nuncjusz apostolski, rezydujący w Warszawie, ks. Ferdynand Saluzzo, do którego się misjonarze, przybywszy do Warszawy, zgłosić mieli po dalsze rozkazy, ucieszył im się bardzo, a gdy ich bliżej poznał, przyszedł do przekonania, że takich kapłanów może potrzebować w stolicy i nie powinien się ich pod żadnym warunkiem pozbywać z kraju. Postarał się w Rzymie natychmiast o pozwolenie na nieograniczony pobyt zakonników w Warszawie. Otrzymał je też wkrótce.

W Warszawie rozpoczął niedawno obrady sejm czteroletni, którego koroną była konstytucja 3-go Maja. Naród zapragnął wówczas łącznie z królem Stanisławem Augustem zaprowadzić w kraju reformy i ład, zamiast dotychczasowego rozprzężenia, przez które Polska chyliła się coraz więcej ku upadkowi. I oto w czasie, kiedy się ważyły losy naszej ojczyzny, przybywał do niej mąż opatrznościowy, aby apostołować tam niestrudzenie przez 21 lat i patrzeć na ostatnie chwile dogorywającej Rzeczypospolitej.

W stolicy istniało bractwo pod wezwaniem św. Benona, w którego posiadaniu był kościół dla Niemców-katolików. Pierwotnie odprawiali w nim nabożeństwa oo. jezuici, lecz po zniesieniu zakonu r. 1773 świeciła świątynia pustkami. Gdy się tylko członkowie bractwa dowiedzieli o przybyciu zakonników do Warszawy, zaofiarowali im kościołek wraz z przylegającym domem i małym ogródkiem, do użytku. Następnie zawezwał do siebie misjonarzy król Stanisław August i przyrzekł im troskliwą opiekę oraz stały zasiłek pieniężny z własnej szkatuły, na założenie zgromadzenia redemptorystów.

Trzej przyjaciele zamieszkali w domu św. Benona i rozpoczęli pracę misjonarską. Głosili zbawienne nauki po ulicach podczas targów i jarmarków, zbierali ulicz ników, nędznych młodych żebraków, zabierali ich z sobą, karmili, przyodziewali ich, uczyli porządku, pracy, katechizmu i modlitwy. Z garnkami zawierającemi żywność odwiedzali chorych i ubogich, nie pytając, co świat na to powie, a mianowicie ówczesny świat warszawski, zepsuty do szpiku kości i obojętny na wszystko, co święte.

Niechęć do cudzoziemców, spotęgowana jeszcze w kraju po pierwszym rozbiorze, udzieliła się także mieszkańcom Warszawy, zwłaszcza teraz, kiedy rozeszła się wieść, że w kościele św. Benona wznowiono kazania niemieckie. W rzeczywistości jednak odprawiano na-

bożeństwo niemieckie bez uszczerbku dla polskiego. Służba Boża u św. Benona przeznaczona była głównie dla robotników i rzemieślników. Lecz o. Hofbauerowi nie wystarczyło zajmować się tylko zbawieniem dusz, pragnął on i nauką podźwignąć niezamożnych. W domu obok kościoła założył trzy odrębne szkoły dla dzieci ubogich, t. j. szkołę elementarną dla przychodnich chłopców, szkołę dla sierót wychowywanych w domu i wreszcie szkołę dla kleryków zgromadzenia samego.

Lecz wkrótce wyczerpały się skromne fundusze klasztoru i zabrakło pieniędzy nawet na potrzeby najgwałtowniejsze. Ofiarowanej Hofbauerowi przez króla pensji nie wypłacono ani razu, zwłaszcza, że Stanisław August sam się znajdował w kłopotach finansowych. Zakon liczył już dość pokaźną liczbę członków, a ponieważ rzeczone dochody nie dopisały, pewnego dnia nie było nawet za co przygotować obiadu. O. Hofbauer poszedł wówczas do kościoła, ukląkł przed ołtarzem i w gorących modłach błagał Pana Jezusa utajonego w Najświętszym Sakramencie o pomoc. Wysłuchał Pan Bóg prośbę świątobliwego męża, bo oto wywołano o. Hofbauera ze świątyni do furty klasztornej, gdzie pewien nieznajomy wręczył mu znaczną kwotę na rzecz klasztoru.

Apostolskie prace o. Hofbauera i jego przyjaciół przejętych duchem swego założyciela św.

Alfonsa Liguorego i swego kierownika, zdążającego do chwały niebieskiej, musiały zjednać zakonowi serca wszystkich prawych katolików. Lud warszawski patrzył na nich na ulicy jak na świętych. Osobliwie kiedy się pojawił o. Hofbauer, chwytano go za szaty i całowano, matki z dziećmi rzucały mu się do nóg, prosząc o błogosławieństwo, a on z pogodną twarzą przyjmował prośby i pełnił miłosierne uczynki. W listopadzie r. 1794 przeszła Warszawa pod panowanie Moskali. Suworow wziął szturmem przedmieście Pragę i rozwścieczony stratami, jakie poniósł, wyciął w pień dwanaście tysięcy mieszkańców, bez różnicy płci i wieku. O. Hofbauer przygarnął w tej okropnej chwili setki ubogich sierót, a rząd rosyjski nie robił mu nadspodziewanie nietylko żadnych trudności, lecz zamierzał nawet przyczynić się do poparcia pracy zakonników.

Niedługo miały jednak trwać rządy Moskali w Warszawie i kiedy po trzecim rozbiorze Polski r. 1795 wkroczyli Prusacy do Warszawy, aby ją wziąć w posiadanie, rozpoczęły się na dobre prześladowania zakonu. Zaraz na wstępie oskarżono bogobojnych misjonarzy u nowego rządu o spiski polityczne i rozmaite brudne sprawy. Donosy nie pozostały bez skutku, bo władze pruskie rozkazały na podstawie tychże zamykać odtąd kościoły godzinę przed wieczorem, zabroniły kazań i nauk na miejscach publi-

cznych i nie pozwoliły przyjmować odtąd nowicjuszów do klasztoru przed ukończeniem 24 roku życia. Zażądały nadto, aby o każdem święceniu na subdiakonat uwiadomiono wpierw władzę świecką. Z cierpliwością i spokojem znosili ojcowie przykrości, a pobożny lud tem troskliwiej garnął się do swych kapłanów.

Tymczasem, po wejściu Francuzów do stolicy, zmieniły się stosunki, lecz jeszcze na gorsze. Z chwilą zawarcia pokoju z Rosją i Prusami w Tylży, utworzył Napoleon r. 1807 tak zwane Księstwo Warszawskie i oddał je pod panowanie króla saskiego Fryderyka Augusta. W rzeczy samej nie rządził jednak król, tylko marszałek francuski Davoust i nawet wydział policyjny znajdował się w ręku Francuzów. Nieprzyjaciele Kościoła ponowili zamachy swoje na dom św. Benona. Podczas gdy za rządów pruskich oskarżono o. Hofbauera i jego zakonnych braci o spiski polityczne przeciwko państwu zaborczemu, posądzano ich obecnie o knowania przeciw rządowi narodowemu i o niedozwoloną korespondencję z rządami nieprzyjaznemi Polsce i Francji. Francuzi podsycali niechęć do duchowieństwa, wskutek czego przychodziło niejednokrotnie do napaści ulicznych na redemptorystów. Słowem szukano tylko sposobności, aby zakon rozpędzić. O. Hofbauer był na wszystko przygotowany.

W Wielką Sobotę r. 1808 wpadło kilku pijanych oficerów do kościoła św. Benona, wywołując z umysłu zamieszanie. Podczas bójki, jaka niebawem powstała, poturbowano wiele osób, a pomiędzy innemi jednego z księży. Ludzie złej woli przedstawili ministrowi wyznań rzecz całą w świetle wręcz odmiennem, twierdząc, że sam ks. rektor Hofbauer uderzył w twarz oficera, który nic nie zawinił. Ponieważ najście było zgóry uplanowane, aby uzyskać nakaz zniesienia zakonu, nie znalazł się nikt, ktoby stanął w obronie kapłana i odparł czynione mu zupełnie bezpodstawnie zarzuty. Król Fryderyk August, który wówczas bawił w Dreźnie, nie chciał, ceniąc bardzo o. Hofbauera, przyczynić się do zagłady zakonu i kazał sobie przedłożyć prawne dowody rzekomej winy księdza. Lecz wrogowie Kościoła udali się z pominięciem króla wprost do Napoleona, przedstawiając ojców jako buntowników spiskujących z nienawistnymi cesarzowi Burbonami. To wystarczyło Napoleonowi, żeby go jak najgorzej usposobić do Hofbauera i zmusić króla saskiego do potępienia działalności oo. redemptorystów w Warszawie.

Uprzedzony o grożącem klasztorowi niebezpieczeństwie, rozdzielił o. Hofbauer relikwje pomiędzy ojców i braci a najkosztowniejsze sprzęty i ornaty ukrył w podziemiach kościoła, skąd je po wielu latach przewieziono do Wie-

dnia. Każdy z zakonników zaopatrzył się w bieliznę i odzież potrzebną w podróży. Nabożeństwo w świątyni odbywało się jak zwykle najregularniej.

Pewnego dnia zaległo wojsko francuskie wszystkie ulice, prowadzące do kościoła św. Benona. Przerwano komunikację i dwadzieścia wozów zajechało przed klasztor. Kościół zamknięto szczelnie i obstawiono strażą. Przy każdym wozie stanęło sześciu konnych żołnierzy, całą eskortę podzielono na oddziały po trzy wozy i do każdego oddziału przydano osobnego komisarza policyjnego. Naczelny komisarz wszedł z urzędnikami do mieszkania o. Hofbauera, wzywając go, aby zgromadził wszystkich zakonników i braciszków w refektarzu. Nabożeństwo w kościele zostało przerwane, zwołano członków zgromadzenia i przeczytano im dekret rozwiązujący zakon. Następnie rozkazał komisarz zająć księżom miejsca na przygotowanych wozach, na których wywieziono ich do twierdzy w Kistrzynie, gdzie po czterech tygodniach wręczono każdemu paszport i skierowano do miejsca jego urodzenia.

O. Hofbauer nie miał co począć w rodzinnem miasteczku Tasowicach, pojechał zatem do Wiednia. Zaledwie się jednak pokazał w stolicy, policja, uprzedzona przez warszawskich innowierców, aresztowała go i osadziła w więzieniu. O wypadku, jaki spotkał kapłana, do-

wiedział się zamieszkały w Wiedniu baron Penkler, gorliwy i niezmienny przyjaciel zgromadzenia. Użył więc swojego wpływu, uwolnił o. Hofbauera z więzienia, zaprosił do swego domu i przemówił za nim u arcybiskupa wiedeńskiego ks. Zygmunta Hohenwarta. Dostojnik wyznaczył bezdomnemu tułaczowi posadę rektora przy kościele włoskim i pozwolił mu wygłaszać kazania oraz słuchać spowiedzi, z czego o. Hofbauer jak najskwapliwiej korzystał. Sprowadził zaraz księży rozproszonego zakonu do Wiednia i poumieszczał ich przy rozmaitych zakładach, ponieważ wspólnie nie było wolno zakonnikom mieszkać. Rządy józefińskie pozostawiły bowiem w prawodawstwie austrjackiem na długie czasy nietylko nieufność, ale i nienawiść do wiary katolickiej.

Szczególną pieczołowitością otaczał o. Hofbauer młodzież akademicką Wiednia, gromadząc codziennie kilku, a często nawet i kilkunastu młodzieńców u siebie, nawołując ich do pobożności i chroniąc od złego życia.

W dowód wdzięczności za gorliwą pracę obdarzył arcybiskup o. Hofbauera wkrótce posadą spowiednika przy klasztorze urszulanek i rektora ich kościoła. Wraz z dwoma księżmi swego zgromadzenia zamieszkał Hofbauer w pobliżu klasztoru. Z rana o 4-tej godzinie wychodził słuchać spowiedzi do ormiańskiego kościoła mechitarystów, gdzie się zbierała ulubiona jego

publiczność t. j. wyrobnicy, służące i rzemieślnicy. O godzinie szóstej szedł do urszulanek i odprawiał codziennie nabożeństwo, spowiadał, odwiedzał następnie chorych, a w południe wracał do domu, gdzie zasiadał wraz z domownikami i gromadką studentów do obiadu. Co niedziela i święto miewał nauki, przeznaczone dla prostego ludu, lecz świątynia była przepełniona najznakomitszemi osobistościami stolicy.

Jeden z kaznodziejów, widząc razu pewnego z kazalnicy licznych swych słuchaczów, mocno skruszonych, powiedział kończąc naukę: „Jeżeli pragniecie się nawrócić zupełnie i dokonać dzieła, które się tutaj przez wasze wzruszenie poczęło, idźcie na nauki o. Hofbauera, bo jest to mąż, któremu ja nie jestem godzien rozwiązać rzemyków u obuwia!“ Łatwo pojąć, że prace świątobliwego kapłana pomnażane łaską błogosławieństwa Bożego, nie mogły się podobać nieprzyjaciołom Kościoła. Przeciwnicy Chrystusa pienili się ze złości, widząc, jak się pod ręką o. Hofbauera szerzyło królestwo niebieskie.

Pewnej niedzieli rozpuszczono w Wiedniu wiadomość o ogłoszeniu dekretu, zakazującego o. Hofbauerowi kazań. Niezliczone tłumy zapełniły kościół św. Urszuli po brzegi w mniemaniu, że uwielbiany kapłan, wstępując dzisiaj po raz ostatni na kazalnicę, pożegna się ze słuchaczami. Lecz jakież było ogólne zdzi-

wienie, gdy o. Hofbauer ani słowem nie wspomniał o całem zdarzeniu, a władze przygotowany zakaz cofnęły.

Atoli prześladowania rozpoczęły się na dobre. Obwiniano Hofbauera bezustannie nietylko przed władzą świecką, lecz nawet przed konsystorzem, zarzucając mu, że należy do jakiegoś niedozwolonego w Austrji zakonu i że ma u siebie kilku zakonników tego zgromadzenia. Zwróciły również uwagę policji częste schadzki studentów w domu ks. rektora. Na podstawie tych denuncjacyj, zawezwał konsystorz o. Hofbauera, aby się wytłumaczył, ale arcybiskup zakazał władzy kościelnej wszelkich dalszych kroków przeciw kapłanowi.

Tak chcieli wrogowie Kościoła nadużyć władzy duchownej do przeprowadzenia swych niecnych zamiarów względem osoby świątobliwego męża, lecz dobroć arcypasterza udaremniła ich usiłowania. Kiedy następnie biurokracja rozpoczęła prześladowania na swoją rękę, dała mimowoli powód do świetnego zwycięstwa dobrej sprawy.

Pewnego dnia zjawiło się niespodziewanie kilku urzędników u o. Hofbauera. Przetrząsnęli całe mieszkanie zakonnika i oczywiście nic nie znaleźli. Wkońcu spisali protokół opiewający, że władza policyjna wzywa Klemensa Marję Hofbauera, aby z powodu przynależności do niedozwolonego w Austrji zakonu, albo z niego

wystąpił, albo opuścił bezzwłocznie kraj. Na to oświadczył o. Hofbauer, że zakonu nigdy nie porzuci, tylko wyjedzie do Ameryki, z powodu podeszłego wieku prosi jednak o zwłokę do wiosny.

Gdy urzędnicy z podpisanem przez o. Hofbauera pismem mieli opuszczać mieszkanie, zapytał ich ks. rektor, czy już nic więcej nie mają do załatwienia. „Nic!" odpowiedział jeden z nich. „A przecież coś jeszcze pozostaje!" odparł Hofbauer. „Cóż takiego?" pytali zaciekawieni urzędnicy. Wówczas podniósł o. Hofbauer ręce i oczy ku niebu i odpowiedział: „Sąd ostateczny!"

Lotem błyskawicy rozeszła się wśród katolików Wiednia wiadomość o mającem nastąpić wydaleniu o. Hofbauera, i przerażenie ogarnęło wszystkich. Baron Penkler pobiegł zaraz do arcybiskupa a ten do cesarza: „Najjaśniejszy Panie!" rzekł dostojnik zaraz na wstępie, „jeżeli o. Hofbauer opuści Wiedeń, stracę najgorliwszego kapłana!" Głos sędziwego pasterza, nauczyciela cesarskiego, nie pozostał bez skutku. Cesarz wybierał się właśnie do Włoch, rozkazał więc na wyjezdnem, aby rozporządzenie władz wstrzymano aż do jego powrotu. Zanim przybył do Rzymu, uprzedzono już papieża Piusa VII o całym wypadku. Skorzystał więc ze sposobności i dał Franciszkowi I, podczas jego bytności na posłuchaniu, poznać jak

wielce Stolica Apostolska ceni zasługi o. Hofbauera. Powróciwszy do Wiednia, wyraził cesarz arcybiskupowi swoje ubolewanie z powodu niegodnego wystąpienia władz wobec tak zacnego męża i polecił pozostawić go na zajmowanem dotychczas stanowisku.

Z dobrego usposobienia cesarza skorzystali przyjaciele kapłana i wpłynęli na niego, aby zaraz wniósł prośbę do tronu o prawne zatwierdzenie kongregacji redemptorystów w Austrji. Hofbauer napisał odpowiednie podanie, załączył do niego spis kandydatów zakonnych oraz przekład reguły na język niemiecki i wręczył wszystko osobiście cesarzowi.

Franciszek uwzględnił chętnie życzenie Hofbauera i ofiarował na cele zgromadzenia stary kościół Maria Stiegen, jedną z najpiękniejszych świątyń Wiednia.

Po tylu latach walki, trudów i zawodów stanął mąż święty wreszcie u celu swych dążeń. Otwarcie zakonu było zapewnione i nastręczała się obecnie dogodna chwila do rozkrzewienia go na północy. Ile to razy pocieszał on podczas najtrudniejszych okoliczności swych braci, mawiając: „Bądźcie cierpliwi, zaledwie ja oczy zamknę, będziecie mieli domów i fundacyj aż nazbyt!"

W lutym r. 1820 szedł o. Hofbauer z jednym z zakonników ulicą i widocznie wzruszony odezwał się do towarzysza w te słowa: „Dotąd

spotykały mnie w życiu same tylko przeciwności, niepowodzenia i prześladowania, teraz czeka mnie wielki zaszczyt, ale umrę, zanim się to wszystko spełni!" Mówił widocznie o bliskiem założeniu kolegjum, przeczuwając śmierć.

Opatrzność Boska zrządziła, że ostatnią mszę św. odprawił o. Hofbauer, chociaż daleko od naszego kraju, za duszę Polki, księżnej Tekli Jabłonowskiej, której był spowiednikiem, przebywając jeszcze w Warszawie. Powróciwszy z kościoła, zaniemógł ciężko i położył się do łóżka, z którego nie miał już powstać. Dnia 14-go marca w nocy oświadczyli lekarze wobec otoczenia, że się zbliża koniec. Przywołany kapłan opatrzył umierającego Sakramentami św. na drogę wieczności. Nazajutrz o godzinie szóstej z rana wymówił jeszcze pierwsze słowa ulubionej swej pieśni: „Wszystko Panu Bogu na chwałę!"

O jedenastej rozpoczął jeden z księży modlitwy za konających. Chory leżał spokojnie, lecz oddychał coraz wolniej. Po ukończeniu modlitw odezwał się nagle do otaczających go uczniów: „Odmówcie Anioł Pański!" I w istocie, choć nikt w komnacie nie zwracał na to uwagi, on sam usłyszał głos dzwonka, wzywającego do pozdrowienia anielskiego. W tej samej chwili zasnął na wieki. Zwłoki bogobojnego sługi Bożego, ubrane w habit zakonny,

pochowano na cmentarzu w Maria Enzensdorf, w okolicy Wiednia.

Wskutek licznych cudów, które się działy u jego grobu, pozwolono oo. redemptorystom przenieść szczątki przeora do kościoła klasztornego.

W roku 1888 policzył papież Leon XIII Klemensa Marję Hofbauera w poczet Świętych Pańskich.

Za długoletnią pracę apostolską i zasługi, jakie św. Klemens Dworzak położył dla naszej ojczyzny, oddajemy mu cześć, jako Patronowi Polski. Wypędzony z Warszawy nie zapomniał o naszym kraju i zawsze szczerze pragnął powrócić na ziemię polską, aby pracować dla dobra Kościoła i religji, od której zależy całe przyszłe szczęście narodu.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	VII
Św. Wojciech	1
Św. Andrzej Żórawek	9
Św. Stanisław Szczepanowski	15
Błog. Bogumił	29
Czcig. Jutta z Chełmży	36
Błog. Wincenty Kadłubek	46
Św. Jacek Odrowąż	51
Błog. Czesław Odrowąż	58
Błog. Bronisława Odrowążówna	61
Błog. Salomea z Zawichostu	65
Św. Kunegunda	83
Błog. Jolenta	88
Św. Jadwiga z Trzebnicy	95
Błog. Sadok	102
Błog. Jan Prandota	112
Błog. Jakób Strepa	117
Błog. Jan z Dukli	126
Św. Kazimierz Jagiellończyk	134
Błog. Władysław z Gielniowa	141

Str.

Błog. Izajasz Boner 151
Błog. Stanisław z Kazimierza 159
Błog. Michał Gedrojć 163
Błog. Szymon z Lipnicy 167
Św. Jan Kanty 172
Błog. Ludwina z Kent 179
Św. Stanisław Kostka 189
Św. Jozafat Kuncewicz 204
Błog. Andrzej Bobola 224
Świątobl. ks. Wojciech Męciński 237
Św. Klemens Marja Dworzak (Hofbauer) 256

X E
cc

POL
KOM 772

AUTHOR
KOMPF, ADAM
TITLE Nieśmiertelne Swieczniki
Narodu Polskiego 6-3
DATE DUE BORROWER

POL
KOM 772

KOMPF, ADAM

Nieśmiertelne Swieczniki
Narodu Polskiego

6-3

Printed in Poland